

Philip K. Dick

Wyznania łgarza

(Confessions of a Crap Artist)

Przełożył Tomasz Jabłoński

Rozdział 1

Jestem zrobiony z wody. Nie zorientowalibyście się, ponieważ mam tę wodę w środku. Moi znajomi też są z wody. Wszyscy. Nasz problem polega na tym, że musimy poruszać się tak, żeby nie wsiąknąć w ziemię, a jednocześnie zarabiać na życie.

Właściwie jest jeszcze jeden, większy kłopot. Czujemy się obco, gdziekolwiek byśmy się znaleźli. Dlaczego tak jest?

Odpowiedź brzmi: z powodu drugiej wojny światowej.

Druga wojna światowa zaczęła się 7 grudnia 1941 roku. Miałem wtedy szesnaście lat i chodziłem do szkoły średniej w Seville. Kiedy usłyszałem w radiu wiadomość o wybuchu wojny, zdałem sobie sprawę, że wezmę w niej udział i że nasz prezydent ma wreszcie okazję dokopać Japończykom i Niemcom, co będzie wymagało naszego wspólnego wysiłku, ramię przy ramieniu. To radio sam zbudowałem. Od dawna budowałem pięciolampowe superheterodyny. W moim pokoju było pełno słuchawek, cewek, kondensatorów i innego sprzętu technicznego.

Wiadomość w radiu przerwała reklamę chleba, która brzmiała tak:

„Homer! Kup raz bochenek gospodarskiego!”

Nienawidziłem tej reklamy i rzuciłem się, żeby przełączyć radio na inną częstotliwość, kiedy nagle kobiecy głos umilkł. Zauważyłem to, oczywiście. Nie musiałem się wiele zastanawiać, żeby sobie uświadomić, że coś się dzieje. Moje znaczki z niemieckich kolonii – te, które przedstawiały Hohenzollerna, jacht kajzera – leżały rozłożone niedaleko plamy słonecznego światła i musiałem powkładać je do klasera, zanim coś im się przytrafi. Stałem jednak na środku pokoju i nie robiłem absolutnie nic, tylko oddychałem, no i naturalnie utrzymywałem inne normalne procesy życiowe. Podtrzymywałem biologiczną stronę istnienia, a mój umysł skoncentrował się na radiu.

Siostra, matka i ojciec wyszli oczywiście na całe popołudnie, nie było więc komu powiedzieć, co się stało. To doprowadziło mnie do wściekłości. Kiedy usłyszałem, że samoloty tych żółtków zrzuciły na nas bomby, zacząłem biegać w kółko, zastanawiając się, do kogo by tu zadzwonić. W końcu zbiegłem do living roomu i wykręciłem numer Hermanna Haucka, mojego szkolnego kolegi, z którym siedziałem w jednej ławce na kursie fizyki. Powiedziałem mu, co się stało, a on zaraz przyjechał na rowerze. Siedzieliśmy, czekając na kolejne wiadomości, i omawialiśmy sytuację.

W czasie tej dyskusji zapaliliśmy po camelu.

– To oznacza, że Włochy i Niemcy też od razu się wtrąca – powiedziałem. – To oznacza wojnę ze wszystkimi państwami Osi, nie tylko z Japończykami. Oczywiście będziemy musieli najpierw załatwić Japończyków, a potem zająć się Europą.

– Jestem bardzo zadowolony, że mamy wreszcie okazję dołożyć Japończykom – oświadczył Hauck. Co do tego obaj byliśmy zgodni. – Najchętniej od razu bym zaczął – dodał.

Przechadzaliśmy się po pokoju, paląc papierosy i wsłuchując się w komunikaty.

– Żółte gnojki – powiedział Hermann. – Wiesz, że oni nie mają własnej kultury? Całą swoją cywilizację, wszystko ukradli Chińczykom. Właściwie to oni bardziej niż inni pochodzą od małpy. Właściwie to nie są ludzie. Nie będziemy walczyć z prawdziwymi ludźmi.

– To prawda – zgodziłem się z nim.

Wszystko to działo się oczywiście w 1941 roku, a wtedy nikt nie kwestionował podobnie nienaukowych twierdzeń. Dzisiaj wiemy już, że Chińczycy też nie mają żadnej kultury, przeszli na stronę Czerwonych jak kupa mrówek, którymi w gruncie rzeczy są. To dla nich naturalna egzystencja. Tak czy inaczej, nie ma to specjalnego znaczenia, bo kłopoty z Chińczykami były nam pisane. Pewnego dnia będziemy musieli ich załatwić, tak jak załatwiliśmy Japończyków. I zrobimy to, kiedy nadejdzie odpowiednia chwila.

Niedługo po siódmym grudnia władze wojskowe wywiesiły na słupach telefonicznych obwieszczenia, które nakazywały Japończykom opuścić Kalifornię do takiego a takiego dnia. W Seville, które leży około czterdziestu mil na południe od San Francisco, mieliśmy paru Japończyków, którzy zajmowali się różnymi interesami: jeden z nich hodował kwiaty, inny miał sklep spożywczy – prowadzili mało znaczące firmy i ciułali cent do centa, żywiąc się zwykle miską ryżu dziennie i zmuszając swoje dzieci, żeby wykonywały całą pracę. Żaden biały nie może z nimi konkurować, bo są gotowi pracować za darmo. W każdym razie teraz musieli się wynosić, obojętnie czy im się to podobało, czy nie. Według mnie, mogło im to wyjść tylko na dobre, ponieważ wielu z nas było mocno wzburzonych ze względu na to, że Japończycy mogli dokonywać aktów sabotażu i szpiegować. W szkole paru z nas pogoniło małego Japończyka i dokopało mu trochę, żeby zademonstrować nasze uczucia. O ile sobie przypominam, jego ojciec był dentystą.

Jedynym Japończykiem, którego znałem, był Japoniec mieszkający po drugiej stronie ulicy, agent ubezpieczeniowy. Tak jak oni wszyscy, miał duży ogród wokół domu. Wieczorami i w czasie weekendów pojawiał się ubrany w spodnie koloru khaki, koszulkę i tenisówki, uzbrojony w wąż do podlewania, worek nawozu, grabie i łopatę. Miał w tym ogrodzie dużo różnych japońskich warzyw, których nigdy nie potrafiłem rozpoznać: jakąś fasolę, dynie piżmowe, melony, a także normalne buraki, marchew i zwykłe dynie. Przyglądałem mu się często, jak wrywa chwasty pomiędzy dyń, i zawsze wtedy mówiłem: „Jaś Dynia znów poszedł do ogródka. Szuka sobie nowej głowy”.

Naprawdę wyglądał jak Kubuś Dyniogłowy z tą swoją chudą szyją i okrągłą głową. Włosy miał podgolone, jak u studenta college’u, i zawsze się szczyrzył. Miał wielkie zęby, których nie zakrywały wargi.

Wizja tego Japońca, który wędruje z gnijącą głową w poszukiwaniu nowej, prześladowała mnie w czasie, kiedy usuwano ich z Kalifornii. Wyglądał tak niezdrowo – głównie dlatego, że był wysoki, chudy i przygarbiony – że zastanawiałem się, co mu może dolegać. Wyglądało mi to na gruźlicę. Przez pewien czas bałem się – chodziło to za mną całymi tygodniami – że kiedyś w ogrodzie albo kiedy będzie szedł ścieżką do samochodu, ta szyja mu się złamie, a głowa spadnie pod nogi. Czekałem w strachu, kiedy to się stanie, ale za każdym razem, kiedy go słyszałem, nie mogłem się powstrzymać, żeby nie wyjrzeć. Zawsze go można było usłyszeć, kiedy był w pobliżu, bo stale chrząkał i spluwał. Jego żona była bardzo mała i ładna i też pluła. Wyglądała prawie jak gwiazda filmowa. Jednak po angielsku, jak twierdziła moja matka, mówiła tak źle, że nie było warto się do niej odzywać; potrafiła tylko chichotać.

To, że pan Watanaba wygląda jak Jaś Dynia, nigdy nie przyszło mi do głowy, gdybym w dzieciństwie nie czytał książek o krainie Oz. Właściwie ciągle jeszcze miałem parę z nich w pokoju, kiedy wybuchła druga wojna światowa. Trzymałem je razem z czasopismami fantastycznonaukowymi, starym mikroskopem, kolekcją kamieni i modelem układu słonecznego, który zbudowałem na początku szkoły średniej na lekcję fizyki. Kiedy powstały pierwsze opowieści o krainie Oz, gdzieś koło 1900 roku, wszyscy uważali, że to zupełna fikcja, podobnie jak w książkach Jules'a Verne'a czy H. G. Wellsa. Teraz jednak zaczynamy rozumieć, że chociaż niektóre postacie, takie jak Ozma, Czarnoksiężnik i Dorotka były produktami wyobraźni Bauma, to sam pomysł, że wewnątrz planety może istnieć inna cywilizacja, nie jest aż tak fantastyczny. Ostatnio Richard Shaver przekazał szczegółowy opis cywilizacji, która mieści się w środku Ziemi, a inni badacze liczą się z możliwością dokonania podobnych odkryć. Może być też tak, że zaginione kontynenty Mu i Atlantyda okażą się częścią starożytnej kultury, w której istniejące wewnątrz planety krainy grały ważną rolę.

Dziś, w latach pięćdziesiątych, oczy wszystkich skierowane są w górę, w niebo. Uwagę ludzi zaprzęta życie na innych planetach. A jednak w każdej chwili ziemia może się nam otworzyć pod stopami, a dziwne i tajemnicze istoty wypełzną stamtąd i znajdą się nagle wśród nas. Warto się nad tym zastanowić, a tu, w Kalifornii, gdzie zdarzają się trzęsienia ziemi, sytuacja jest szczególnie napięta. Za każdym razem, kiedy przytrafia się trzęsienie ziemi, zadaję sobie pytanie: Czy tym razem otworzy się szczelina, która ukaże nam podziemny świat? Czy to już teraz?

Czasami w trakcie godzinnej przerwy na lunch dyskutowałem o tym z kumplami z pracy, a nawet z panem Poitym, który jest właścicielem firmy. Przekonałem się, że jeśli nawet któryś z nich zdaje sobie sprawę z istnienia innych inteligentnych istot poza ludźmi, to interesuje ich tylko UFO i te istoty, które widzimy na niebie, nawet o tym nie wiedząc. To jest właśnie to, co nazywam nietolerancją, albo nawet uprzedzeniami, no ale nawet dzisiaj trzeba dużo czasu, żeby naukowe fakty stały się powszechnie znane. Wśród większości naukowców zmiany też zachodzą

wolno, więc to my, obznajomiona z nauką część opinii publicznej, musimy stanowić awangardę. A jednak zauważyłem, że nawet wśród nas jest wielu takich, których guzik to obchodzi. Na przykład moja siostra. Od kilku lat ona i jej mąż mieszkają w północno-zachodniej części hrabstwa Marin i poza buddyjską religią zen nic ich nie interesuje. A więc, niedaleko szukając, w mojej rodzinie mamy osobę, która zrezygnowała z naukowej dociekliwości na rzecz azjatyckiej religii, dla krytycznego, racjonalnego myślenia tak samo groźnej jak chrześcijaństwo.

W każdym razie pan Poity okazał zainteresowanie, pożyczyłem mu więc kilka książek pułkownika Churchwarda na temat Mu.

Choć praca, którą wykonuję w warsztacie „Opony w Jeden Dzień”, jest interesująca, mam tam okazję wykorzystywać głównie moje zdolności manualne, a tylko niewiele z tego, co wiem na tematy naukowe. Jestem nacinaczem opon. Bierzemy łyse opony, to znaczy takie, które są zjechane do tego stopnia, że prawie lub w ogóle nie mają bieżnika, a potem ja i inni nacinacze pogłębiamo rozgrzanym prętem stary bieżnik, aż rowki sięgają do samej osnowy. Opona wygląda po tym tak, jakby była na niej jeszcze guma, chociaż właściwie jest tam tylko tkanina, z której robi się osnowę. Następnie malujemy wszystko czarną farbą na bazie gumy i opona wygląda, jakby była nie wiem jak dobra. Oczywiście, gdybyście założyli ją na koło, to wystarczyłoby najechać przy cofaniu na zapaloną zapałkę i trach! Kapeć. Zwykle jednak nacięta opona starcza na jakiś miesiąc. Nawiasem mówiąc, nie moglibyście kupić tych opon. Sprzedajemy tylko hurtowo, to znaczy handlarzom używanymi samochodami.

Praca nie jest zbyt dobrze płatna, ale dosyć zabawne jest szukanie śladów starego bieżnika – czasami prawie w ogóle go nie widać. Tak naprawdę to tylko ekspert, wyszkolony technik, taki jak ja, potrafi znaleźć i naciąć rowek. A nacinać trzeba perfekcyjnie, bo kiedy się wyjedzie poza ślad, to powstaje wielkie wyżłobienie i nawet idiota potrafi się wtedy zorientować, że to nie oryginalny, maszynowy bieżnik. Kiedy skończę nacinać oponę, to wygląda ona dokładnie tak, jakby zrobiła to maszyna, a dla nacinacza nie ma na świecie większej satysfakcji.

Rozdział 2

Seville w stanie Kalifornia ma dobrą bibliotekę publiczną. Najlepsze jednak w Seville jest to, że od Santa Cruz, gdzie jest plaża i wesołe miasteczko, dzieli je tylko dwadzieścia minut jazdy samochodem. I to przez cały czas czteropasmówką.

Dla pogłębienia mojej wiedzy i kształtowania przekonań ważna jest jednak biblioteka. W każdy piątek, który jest moim dniem wolnym od pracy, przychodzę tam około dziesiątej rano i czytam „Life” oraz komiksy w „Saturday Evening Post”, a potem, kiedy bibliotekarka nie patrzy, biorę z półki czasopisma fotograficzne i przeglądam je, żeby znaleźć zdjęcia dziewczyn poustawianych w specjalnych artystycznych pozach. A jeśli przyjrzyście się starannie, to na początku i na końcu tych czasopism fotograficznych znajdziecie ogłoszenia, których nikt inny nie zauważa, ogłoszenia jakby specjalnie zamieszczone z myślą o was. Musicie jednak znać sformułowania, jakich się tam używa. W każdym razie to, co można dostać za pośrednictwem tych ogłoszeń, jeśli pośle się dolara, jest zupełnie inne niż to, co można zobaczyć nawet w najlepszych magazynach, takich jak „Playboy” czy „Esquire”. Przesyłają fotografie dziewczyn, które robią coś zupełnie innego, i w pewnym sensie te fotografie są lepsze, chociaż dziewczyny są zwykle starsze – czasami nawet są to stare, pomarszczone czarownice – i nigdy nie są ładne, a co najgorsze, mają wielkie, tłuste, obwisłe piersi. No, ale robią niezwykle rzeczy, rzeczy, których człowiek normalnie nie spodziewałby się zobaczyć na fotografii, choć niespecjalnie świńskie, ponieważ te zdjęcia są przesyłane za pośrednictwem federalnej poczty z Los Angeles i Glendale. Pamiętam na przykład takie, na którym jedna dziewczyna, w czarnym, koronkowym biustonoszu, czarnych pończochach i butach na francuskich obcasach, leży na podłodze, a druga myje całe jej ciało szczotką na kiju umoczoną w wiadrze z mydlinami. Ta fotografia zaprzętała moją uwagę całymi miesiącami. Pamiętam jeszcze jedną: dziewczyna, ubrana w to, co powyżej, spycha drugą, podobnie odzianą, z drabiny, tak że ofiara (jeśli tak to się mówi; ja przynajmniej zwykle używam tego słowa) jest całkiem zgięta i przechylona w bok, jakby miała połamane ręce i nogi i wygląda jak szmaciana lalka, zupełnie jakby przejechał ją samochód.

Za każdym razem przychodzą też fotografie, na których ta silniejsza, to znaczy domina, wiąże tę drugą. To się nazywa „zniewolenie”. Lepsze od zdjęć są w tym wypadku rysunki. Muszą je tworzyć naprawdę wykwalifikowani artyści... na niektóre rzeczywiście warto popatrzeć. Inne, a właściwie większość, to straszne śmieci i w ogóle nie powinno się ich przysyłać pocztą, takie są wulgarne.

Przez wiele lat, kiedy patrzyłem na te zdjęcia, ogarniało mnie dziwne uczucie, które jednak wcale nie było nieprzyzwoite – nie miało nic wspólnego z seksem czy miłością – było to

uczucie, jakie człowiek ma na szczycie góry, gdy wdycha czyste powietrze, tak jak w parku Big Basin, gdzie są sekwoje i górskie strumienie. Polowaliśmy wśród tych sekwoi, chociaż polowanie na terenie parku narodowego jest oczywiście zabronione. Od czasu do czasu przywoziliśmy stamtąd parę jeleni. Strzelby nie były jednak moje. Tę, z której strzelałem, pożyczyłem od Harveya St. Jamesa.

Kiedy szykuje się coś ciekawego, to zwykle dobieramy się w trójkę – ja, St. James i Bob Paddleford. Jeździmy fordem kabrioletem rocznik '57 z podwójną rurą wydechową, podwójnymi reflektorami i obniżonym tyłem. To naprawdę niezły wóz, znany w okolicach Seville i Santa Cruz. Złotą emalię z purpurowymi ornamentami, którą jest pokryty, wypalaliśmy ręcznie. A lśniące linie zrobione są z włókna szklanego. Wóz przypomina bardziej rakietę niż samochód i wygląda, jakby przyleciał z innej planety i potrafił rozwinąć prędkość niewiele mniejszą od prędkości światła.

Kiedy chcemy się naprawdę dobrze zabawić, jeździmy na drugą stronę gór do Reno. Wyjeżdżamy w piątek wieczorem, kiedy St. James kończy pracę u Hapsberga, w sklepie z odzieżą męską, gdzie sprzedaje garnitury. Potem lecimy do San Jose, zabieramy Paddleforda, który pracuje w Shell Oil przy kopiarkach, i dalej już prosto do Reno. W nocy z piątku na sobotę w ogóle nie kładziemy się spać. Przyjeżdżamy późno i od razu zabieramy się do jednoręcznych bandytów i oczka. Potem, gdzieś o dziesiątej rano w sobotę, ucinamy sobie drzemkę w samochodzie, szukamy jakiejś łazienki, żeby się ogolić i zmienić koszulę, a następnie wyruszamy na poszukiwanie kobiet. W okolicy Reno zawsze można znaleźć tego rodzaju kobiety, bo to naprawdę rozpustne miasto.

To ostatnie właściwie nie sprawia mi zbytnej przyjemności. Te rzeczy nie grają żadnej roli w moim życiu; w każdym razie nie większą niż inne czynności fizjologiczne. Wystarczy na mnie popatrzeć, żeby zrozumieć, że w moim wypadku głównym źródłem energii jest umysł.

Kiedy byłem w szóstej klasie, zacząłem nosić okulary, ponieważ czytałem zbyt wiele komiksów. *Tip Top Comics*, *King Comics*, *Popular Comics*... one pojawiły się pierwsze, w połowie lat trzydziestych, dopiero potem przysłała cała masa innych. Czytałem wszystkie jak leci w podstawówce i zamieniałem się z innymi dzieciakami. Potem, na początku szkoły średniej, zabrałem się do „Zadziwiających Historii, takiego pseudonaukowego magazynu, oraz „Niezwyczajnych Historii” i „Niesamowitych Zjawisk”. Mam nawet prawie wszystkie numery „Niesamowitych Zjawisk”, które były moim ulubionym czasopismem. To właśnie z ogłoszenia zamieszczonego w „Niesamowitych” kupiłem amulet z magnetytu, który ciągle noszę przy sobie. To było gdzieś w 1939.

Wszyscy w mojej rodzinie, z wyjątkiem matki, są szczupli i kiedy tylko założyłem na nos okulary w srebrnych oprawkach, które wtedy dawało się chłopcom, zacząłem wyglądać jak naukowiec, jak prawdziwy mól książkowy. Wysokie czoło miałem już przedtem. Później,

w szkole średniej, dostałem bardzo silnego łupieżu. Przez to moje włosy wydawały się jaśniejsze, niż były w rzeczywistości. Czasami jękałem się, co mnie dosyć martwiło, zauważyłem jednak, że kiedy się gwałtownie nachylam, jakbym chciał sobie coś strzepnąć z nogawki, to potrafię wypowiedzieć dane słowo poprawnie, nabrałem więc zwyczaju gwałtownego pochylania się. Na policzku, koło nosa, mam wgłębienie, które zostało mi po wietrznej ospie. Kiedy chodziłem do szkoły średniej, bywałem często podenerwowany i skubałem to wgłębienie, aż w końcu dostałem infekcji. Miałem też inne kłopoty ze skórą, takie jak trądzik, chociaż w moim wypadku wypryski nabierały purpurowego odcienia i dermatolog powiedział, że ma to związek z jakąś ukrytą infekcją całego organizmu. Trzeba powiedzieć, że chociaż mam już trzydzieści cztery lata, ciągle jeszcze wychodzą mi czasem czyraki, jednak już nie na twarzy, tylko na tyłku albo pod pachami.

W szkole średniej miałem parę niezłych ciuchów, co umożliwiło mi wyjście z cienia i zdobycie popularności. Najlepszy był taki niebieski, kaszmirowy sweter, który nosiłem przez prawie cztery lata, aż zaczął śmierdzieć tak bardzo, że nauczyciel gimnastyki kazał mi go wyrzucić. Ten nauczyciel i tak miał coś przeciwko mnie, ponieważ nigdy nie brałem prysznic po wyjściu z sali gimnastycznej.

A jednak to tygodnik „American Weekly”, a nie inne czasopisma, sprawił, że zacząłem interesować się nauką.

Może pamiętacie artykuł o Morzu Sargassowym, który opublikowano w numerze z 4 maja 1935 roku? Miałem wtedy dziesięć lat i chodziłem do czwartej klasy. Dopiero co wszedłem więc w wiek, kiedy można czytać coś więcej niż komiksy. Wielki rysunek w sześciu albo siedmiu kolorach zajmował dwie strony rozkładówki. Były na nim statki uwięzione od setek lat na Morzu Sargassowym. Widać było pokryte wodorostami szkielety marynarzy. Były tam też gnijące maszty i resztki żagli. Rysunek przedstawiał najróżniejsze statki, nawet okręty starożytnych Rzymian i Greków, statki z czasów Kolumba i łodzie wikingów. Wszystkie razem. Nie mogły nawet drgnąć. Były tam uwięzione na zawsze, zatrzymane przez Morze Sargassowe.

Artykuł mówił o tym, jak te statki zostały tam wciągnięte i że żadnemu z nich nie udało się odpłynąć. Było ich tam tyle, że stały całymi milami, burta przy burcie. Były tam wszystkie rodzaje statków, jakie kiedykolwiek istniały, chociaż kiedy zaczęto budować parowce, to mniej ich tam zostawało, ponieważ oczywiście parowce miały swoje własne źródło energii i nie były zależne od wiatru.

Artykuł zrobił na mnie wrażenie, bo pod wieloma względami przypominał mi pewien odcinek przygód Jacka Armstronga, Amerykańskiego Chłopca, który to odcinek wydawał mi się szczególnie ciekawy, ponieważ opowiadał o Zaginionym Cmentarzysku Słoni. Pamiętam, że Jack miał taki metalowy klucz, który wydawał dziwny dźwięk, gdy się w niego uderzyło. To był klucz do Zaginionego Cmentarzyska. Przez długi czas stukałem w każdy kawałek metalu, który

wpadł mi w ręce, żeby wprawić go w drgania, wydobyć ten dźwięk i samemu znaleźć Zaginione Cmentarzysko Słoni (drzwi miały się otworzyć w jakiejś skale). Kiedy przeczytałem artykuł o Morzu Sargassowym, zauważyłem pewne istotne podobieństwo – ludzie szukali Zaginionego Cmentarzyska, żeby zdobyć kość słoniową, a na Morzu Sargassowym w ładowniach statków były miliony dolarów w klejnotach i złocie, które czekały tylko na to, żeby ktoś je odnalazł i zabrał. Różnica między jednym a drugim polegała na tym, że istnienia Zaginionego Cmentarzyska Słoni nie można było uznać za fakt naukowy, lecz tylko za mit, przywieziony przez oszołomionych gorączką podróżników i tubylców, podczas gdy istnienie Morza Sargassowego było naukowo potwierdzone.

Rozłożyłem tygodnik z tym artykułem na podłodze living roomu, w domu, który wynajmowaliśmy wtedy przy Illinois Avenue, i kiedy rodzice wrócili z moją siostrą, próbowałem ją tą sprawą zainteresować. Jednak ona miała wtedy tylko osiem lat. Zaczęliśmy się strasznie kłócić, a efekt był taki, że ojciec wziął ten numer „American Weekly” i wrzucił do papierowej torby na śmieci, która stała pod zlewem. Zdenerwowało mnie to do tego stopnia, że zaraz wyobraziłem sobie ojca uwięzionego na Morzu Sargassowym. Czuję się tak obrzydliwie, że do dzisiaj boję się o tym myśleć. Był to jeden z najgorszych dni w moim życiu i zawsze zarzucałem Fay, mojej siostrze, że to ona jest odpowiedzialna za to, co się stało. Gdyby przeczytała ten artykuł i posłuchała, co mam na ten temat do powiedzenia, tak jak chciałem, nic złego by się nie wydarzyło. Przygnębiło mnie, że coś tak ważnego i w pewnym sensie pięknego zostało w ten sposób wrzucone w błoto. To tak, jakby zdeptać i zniszczyć kruche marzenie.

Ani ojciec, ani matka nie mieli zainteresowań naukowych. Ojciec pracował na spółkę z pewnym Włochem jako cieśla i malarz pokojowy, a przedtem przez wiele lat był zatrudniony przez koleje Southern Pacific i pracował w dziale konserwacji sprzętu na stacji rozrządowej Gilroy. Sam niczego nie czytał, z wyjątkiem wychodzącego w San Francisco „Examinera”, „Reader’s Digest” i „National Geographic”. Matka prenumerowała „Liberty”, a kiedy ta gazeta przestała wychodzić, zaczęła czytać „Porady Domowe”. Żadne z nich nie miało wykształcenia, ani ścisłego, ani jakiegokolwiek innego. Zawsze zniechęcali mnie i Fay do czytania, a kiedy byłem mały, od czasu do czasu urządzali mi rewizję w pokoju i palili każdy kawałek zadrukowanego papieru, który wpadł im w ręce, nawet książki z biblioteki. W czasie drugiej wojny światowej, kiedy służyłem w wojsku i walczyłem na Okinawie, weszli do mojego pokoju – do pokoju, który zawsze należał do mnie – wzięli wszystkie czasopisma fantastycznonaukowe, wszystkie albumy z powklejanymi zdjęciami dziewczyn, nawet książki o krainie Oz i numery „Popular Science”, i spalili to wszystko tak samo jak wtedy, kiedy byłem dzieckiem. Kiedy wróciłem z wojny, gdzie bronilem ich przed wrogiem, przekonałem się, że w całym domu nie ma nic do czytania. Wszystkie cenne fiszki, na których były odnotowane niezwykle fakty naukowe, zaginęły bezpowrotnie. Pamiętam jednak najbardziej zadziwiającą informację

z tysiąca. Światło słoneczne ma wagę. Co roku Ziemia staje się o dziesięć tysięcy funtów cięższa z powodu światła, które dociera do nas ze Słońca. Ta informacja nigdy nie ulotniła mi się z głowy i parę dni temu obliczyłem, że od czasu, kiedy się o tym dowiedziałem w 1940 roku, na Ziemię spadło prawie milion dziewięćset tysięcy funtów światła słonecznego.

Jest jeszcze jeden fakt, z którego inteligentni ludzie coraz częściej zdają sobie sprawę. Za pomocą siły umysłu można przesuwać przedmioty na odległość! O tym i tak wiedziałem od dawna, bo robiłem to, kiedy byłem dzieckiem. Właściwie cała moja rodzina to robiła, nawet ojciec. Była to dla nas zupełnie zwykła czynność. Często się tak zabawialiśmy, zwłaszcza w miejscach publicznych, na przykład w restauracji. Kiedyś wszyscy skupiliśmy uwagę na pewnym mężczyźnie w szarym garniturze i zmusiliśmy go, żeby podniósł prawą rękę i podrapał się po szyi. Innym razem, w autobusie, wpłynęliśmy na starą grubą Murzynkę, żeby wstała i wysiadła, chociaż wymagało to trochę roboty, prawdopodobnie dlatego, że była taka ciężka. Pewnego dnia całą zabawę popsuka moja siostra, która, kiedy koncentrowaliśmy się na mężczyźnie siedzącym naprzeciw nas w poczekalni, powiedziała:

– Kupa gówna.

Zarówno ojciec, jak i matka byli na nią wściekli i ojciec jej wlał, nie tyle za używanie w tym wieku podobnych słów (miała wtedy jakieś jedenaście lat), ile za to, że przerwała nam koncentrację umysłu. Myślę, że nauczyła się tego słowa od chłopaków z podstawówki imienia Millarda Fillmore'a, gdzie chodziła w tym czasie do piątej klasy. Już wtedy zaczynała się robić ostra i ordynarna; lubiła grać w piłkę nożną i w baseball i spędzała czas na boisku dla chłopców, zamiast bawić się z dziewczynkami. Podobnie jak ja, zawsze była szczupła. Bardzo dobrze biegła, prawie jak zawodniczka. Zdarzało się, że chwytała coś, na przykład powiedzmy moją tygodniową porcję cukierków, które kupowałem zawsze w sobotę rano za pieniądze od rodziców, a potem uciekała i zjadała. Nigdy nie miała kobiecej figury i nie ma jej nawet teraz, po trzydziestce. Ma jednak ładne, długie nogi, chodzi sprężystym krokiem, a dwa razy w tygodniu uczęszcza na lekcje tańca nowoczesnego i ćwiczy. Waży jakieś pięćdziesiąt dwa kilo.

Ponieważ była chłopczycą, zawsze mówiła tak jak mężczyźni, a pierwszy raz wyszła za mąż za właściciela niewielkiej wytwórni metalowych szyldów i bram. To był bardzo brutalny facet, zanim dostał ataku serca. Chodzili wspinać się na klifowe skały przylądka Reyes, w hrabstwie Marin, gdzie mieszkali i przez pewien czas mieli dwa arabskie konie pod wierzch. Co dziwne, mąż mojej siostry dostał ataku serca, kiedy grał w badmintona, taką dziecięcą grę. Fay przerzuciła lotkę nad jego głowę, on pobiegł do tyłu, potknął się na wykopanej przez susza norze i przewrócił na plecy. Potem wstał, zaczął cholernie przeklinać, kiedy zobaczył, że raketka złamała się na pół, poszedł do domu po inną i dostał ataku serca, kiedy wychodził znowu na dwór.

Oczywiście on i Fay jak zwykle bardzo się kłócili i to też mogło mieć jakiś związek z tym

atakami. Kiedy się wściekał, nie potrafił utrzymać języka na wodzy, a i Fay nigdy nie zachowywała się inaczej – używali rynsztokowych słów i nie zważali na to, jakimi obraźliwymi terminami się obrzucają, starając się zawsze trafić w słaby punkt przeciwnika i powiedzieć coś, co może zaboлеć. Innymi słowy, gadali, co im ślina na język przyniesie, i do tego tak głośno, że dzieci miały czego posłuchać. Nawet w czasie normalnej rozmowy Charley rzucał mięsem, czego można się zresztą spodziewać po kimś, kto wychował się w małym miasteczku w Kolorado. Fay zawsze podobał się jego język. Niezła z nich była parka. Pamiętam, jak siedzieliśmy kiedyś w trójkę na patio, wygrzewając się na słońcu, a ja akurat wspomniałem coś zdaje się na temat podróży kosmicznych i wtedy Charley powiedział do mnie:

– Isidore, ale z ciebie pieprzony łgarz.

Ponieważ mnie to zabolalo, Fay się roześmiała. Nie miało dla niej znaczenia, że jestem jej bratem: było jej wszystko jedno, kogo Charley obraża. Ironia faktu, że taki prostak, taki opity piwem grubas ze środkowego zachodu nazwał mnie łgarzem, została mi w głowie i sprawiła, że dla tej książki wybrałem taki właśnie ironiczny tytuł. Potrafię sobie wyobrazić wszystkich Charleyów Hume'ów tego świata z przenośnymi radioodbiornikami nastawionymi na transmisję meczu Gigantów, z wetkniętymi w usta cygarami, z bezmyślną tępotą wypisaną na nalanych, czerwonych twarzach... to właśnie takie prymitywy rządzą tym krajem, najważniejszymi przedsiębiorstwami, armią i marynarką wojenną, praktycznie wszystkim. Dlaczego tak jest, pozostanie dla mnie na zawsze zagadką. W swoim zakładzie metalowym Charley zatrudniał tylko siedmiu ludzi, ale pomyślcie no tylko: egzystencja siedmiu istot ludzkich zależała od takiego chama. Pozycja tego faceta pozwalała mu nasmarkać na nas wszystkich, na każdego wrażliwego i utalentowanego człowieka.

Dom w hrabstwie Marin kosztował ich masę pieniędzy, ponieważ sami go zbudowali. W 1951, kiedy wzięli ślub, kupili dziesięć akrów ziemi, a potem, kiedy mieszkali w Petalumie, gdzie Charley miał zakład, wynajęli architekta, który im zaprojektował ten dom.

Według mnie jedynym powodem, dla którego Fay zadała się z tym człowiekiem, była chęć zamieszkania w takim domu, w jakim w końcu zamieszkała. W końcu kiedy ją poznał, miał już ten zakład i zgarniał dobre czterdzieści tysięcy rocznie (jeśli wierzyć temu, co mówił). Nasza rodzina nigdy nie miała pieniędzy; przez dziesięć lat jedliśmy z talerzy z wzorkiem „niebieska wierzba”, kupionych w tanim sklepie, i wydaje mi się, że mój ojciec nigdy w życiu nie miał nowego garnituru. Oczywiście, kiedy Fay dostała stypendium i mogła pójść na studia, zaczęła spotykać się z facetami z dobrych domów – z chłopakami z korporacji studenckich, którzy opieprzają się jak mogą, pieką sobie dziczyznę na ogniskach i zajmują się innymi przyjemnymi rzeczami. Przez jakiś rok chodziła z gościem, który wybierał się na prawo, z takim podobnym do elfa typem, który nigdy mi się specjalnie nie podobał, chociaż lubił grać w mechaniczny bilard – żeby zapoznać się z teorią prawdopodobieństwa, jak mi kiedyś wyjaśnił. Charley spotkał ją

przypadkiem w sklepie spożywczym przy szosie numer jeden niedaleko Fort Ross. Stała przed nim w kolejce, żeby kupić bułki do hamburgerów, coca-colę i papierosy i podśpiewywała pod nosem melodię Mozarta, której nauczyła się w college'u na kursie muzyki. Charleyowi wydawało się, że to jakiś stary kościelny psalm, który śpiewał w Canyon City w Kolorado, i zaczął z nią rozmawiać. Przed sklepem stał jego mercedes z trójramienną gwiazdką sterczącą z chłodnicy, co ona rzecz jasna zauważyła. Charley miał też oczywiście przypięty do koszuli emblemat Mercedesa, żeby ona i cały świat mogli zobaczyć, do kogo ten samochód należy. A Fay zawsze chciała mieć dobry wóz, najlepiej zagraniczny.

Rozmowa, którą zrekonstruowałem dzięki dobrej znajomości obojga, musiała przebiegać w następujący sposób:

– Ten samochód ma sześć cylindrów czy osiem? – pyta Fay.

– Sześć – odpowiada Charley.

– Boże drogi – mówi Fay – tylko sześć?

– Nawet rolls-royce ma tylko sześć cylindrów. W Europie nie robi się ośmiocylindrowych samochodów. Po co komu osiem cylindrów?

– Boże drogi. Rolls-royce ma sześć cylindrów.

Przez całe życie Fay chciała jeździć rolls-royce'em. Widziała kiedyś taki wóz, zaparkowany przy krawężniku naprzeciwko szycownej restauracji w San Francisco. W trójkę – ona, ja i Charley – obchodziliśmy go dookoła.

– To jest dopiero samochód – powiedział Charley, a potem zaczął nam wyjaśniać, jak działa. Zupełnie mi to wisało. Gdybym mógł wybierać, to kupiłbym thunderbirda albo corvette. Fay przysłuchiwała się temu, co mówi, i chodziliśmy tak i chodziliśmy, aż w końcu zauważyłem, że ją też niezbyt to interesuje. Coś ją martwiło.

– Jest taki jakiś ostentacyjny – stwierdziła. – Zawsze myślałam, że rolls to samochód z klasą. Jak wojskowa limuzyna z pierwszej wojny światowej. Taka dla oficerów.

Zastanówcie się sami, jeśli widzieliście kiedyś na własne oczy nowego rollsa. Te samochody są małe, metaliczne, opływowe, a jednak pękate. Przypominają niektóre jaguary, z tym że robią większe wrażenie. Mają typowo brytyjską opływową sylwetkę, jeżeli potraficie to sobie wyobrazić. Sam nie wziąłbym takiego samochodu, nawet gdyby dawali mi go za darmo, i zauważyłem, że moja siostra walczy z taką samą reakcją. Ten akurat był srebrno-niebieski i miał masę chromowanych części. Właściwie cały był jakiś taki błyszczący, i to podobało się Charleyowi, który lubił metal, a nie drewno albo plastik.

– Oto prawdziwy samochód – oświadczył. Z pewnością widział, że żadnego z nas nie potrafi przekonać. Mógł tylko powtarzać w kółko to samo w swój zwykły, niezręczny sposób. Poza tym, że używał rynsztokowych wyrażań, mówił jak sześciolatek: parę słów, które wyrażały wszystko.

– To jest samochód – rzekł, kiedy w końcu znaleźliśmy się przed domem, który był celem

naszej wizyty w San Francisco. – Ale taki wóz nie pasowałby do Petalумы.

– Szczególnie gdyby był zaparkowany na placu przed twoim zakładem – powiedziałem.

– To by dopiero było marnotrawstwo – odezwała się Fay – wydać tyle pieniędzy na samochód. Dwanaście tysięcy dolarów.

– A tam – powiedział Charley. – Mógłbym go dostać o wiele taniej. Znam faceta, który jest przedstawicielem British Motor Car.

Nie było wątpliwości, że ma ochotę na ten samochód i że gdyby spuścić go z oka, prawdopodobnie by go kupił. Jednak pieniądze potrzebne były na dom – czy to się Charleyowi podobało, czy nie. Fay nie pozwoliłaby mu na jeszcze jeden samochód. Oprócz mercedesa miał jeszcze triumpha, studebackera golden hawk i oczywiście kilka ciężarówek na potrzeby firmy. Fay powiedziała architektowi, że w domu ma być ogrzewanie na prąd, a na wsi, gdzie mieli zamieszkać, oznaczało to olbrzymie rachunki za elektryczność. Wszyscy inni w okolicy mają ogrzewanie na propan-butan albo palą drewnem. Na krowim pastwisku Fay kazała sobie postawić elegancki, nowoczesny dom, w stylu tych, które buduje się w San Francisco z wpuszczonymi w podłogę wannami, masą kafelków i mahoniowych boazerii, światłem jarzeniowym, robioną na zamówienie kuchnią, pralką połączoną z suszarką – po prostu ze wszystkimi bajerami, nawet ze specjalnym zestawem hi-fi, którego kolumny wbudowane były w ściany. Jedna ściana domu, ta od strony pól, była cała przeszklona; na środku living roomu był kominek, taki okrągły, na którym można było piec mięso, a nad nim wielki czarny komin. Oczywiście podłoga musiała być z płytek, na wypadek gdyby z kominka wypadły płonące polana. Fay kazała wybudować cztery sypialnie i gabinet, którym można by też przenocować gości. Łazienki mieli w sumie trzy: jedna dla dzieci, jedna dla gości oraz jedna dla niej i Charleya. Był też pokój do szycia, pralnia, bawialnia, jadalnia i nawet specjalny pokój, w którym stała zamrażarka. No i oczywiście pokój z telewizorem.

Cały budynek stał na betonowej płycie. Ta płyta i kafelki powodowały, że w domu panował taki ziąb, że z wyjątkiem najgorętszych dni lata nie można było wyłączać ogrzewania. Gdyby je wyłączyć przed pójściem do łóżka, to na drugi dzień rano byłoby jak w chłodni. Kiedy dom był już gotowy i Charley i Fay z dwójką dzieci wprowadzili się do niego, odkryli, że mimo ognia palącego się w kominku i elektrycznego ogrzewania, od października do końca kwietnia w domu jest zimno, a kiedy padają deszcze, woda nie wsiąka w ziemię, tylko przedostaje się do środka przez obramowanie szklanej ściany i pod drzwiami. Przez dwa miesiące 1955 roku dom stał w małej sadzawce. Trzeba było zawołać przedsiębiorcę budowlanego, który zbudował nowy system odprowadzający wodę. A w 1956 Charley i Fay założyli w każdym pokoju nowe, 220-woltowe grzejniki ściennie ze zwykłymi wyłącznikami i z termostatem, bo ubrania i pościele wciąż były zimne i wilgotne. Przekonali się też, że w zimie przez kilka dni z rzędu może nie być prądu i że w tym czasie nie można gotować na elektrycznej kuchence, a pompa do wody wcale

jej nie pompuje, ponieważ też jest elektryczna, więc wszystko trzeba było podgrzewać i gotować na kominku. Fay musiała nawet prać bieliznę w ocynkowanym wiadrze stojącym na palenisku. Na dodatek od czasu, kiedy wprowadzili się do tego domu, cała czwórka chorowała każdej zimy na grypę. Mieli trzy niezależne systemy ogrzewania, a mimo to w domu były przeciągi; na przykład długi korytarz między pokojami dzieci a frontową częścią budynku zupełnie nie był ogrzewany i kiedy dziewczynki wyskakiwały w nocy w piżamach, musiały wyjść z ciepłych pokoi na zimno, a potem znów do ciepłego living roomu. A robiły tak co noc przynajmniej sześć razy.

Najgorsze było jednak to, że Fay nie mogła znaleźć w okolicy opiekunki do dzieci, przez co przestali z Charleyem odwiedzać znajomych. Znajomi musieli do nich przyjeżdżać, a San Francisco od Drake's Landing dzieli półtorej godziny męczącej jazdy.

Mimo wszystko kochali ten dom. Mieli cztery owce o czarnych pyskach, które gryzły trawę od strony, na którą wychodziła szklana ściana, konie arabskie i wielkiego jak kucyk owczarka collie, który zdobywał nagrody na wystawach, i kilka cudownych, sprowadzonych z zagranicy kaczek. W czasie, kiedy z nimi mieszkalem, przeżyłem najbardziej interesujące chwile w życiu.

Rozdział 3

Prowadził forda pikapa. Siedząca obok Elsie podskoczyła na fotelu, kiedy zjechali z asfaltu na wysypane żwirem pobocze drogi. Na wzgórzu pasły się owce. Niżej był pomalowany na biało dom.

– Kupisz mi gumę? – zapytała Elsie. – Kupisz, kiedy będziesz w sklepie? Kupisz mi gumę black jack?

– Gumę – powiedział, zaciskając palce na kierownicy. Przyspieszył. Dłonie obracały kierownicę. Muszę kupić pudełko tampaksów. Tampaksy i gumę do żucia. Co oni sobie pomyślą w Mayfair Market? Jak to zrobić? Jak ona może mnie do czegoś takiego zmuszać? – pomyślał. Żebym kupował jej tampaksy?

– A co mamy kupić w sklepie? – zapytała znowu Elsie.

– Tampaksy – odparł. – I gumę do żucia dla ciebie. – Powiedział to z taką wściekłością, że dziewczynka odwróciła głowę i spojrzała na niego z przestraszeniem.

– C... co? – powiedziała cicho i skuliła się, przywierając do drzwi.

– Wstydzi się je kupować – warknął. – Więc ja muszę to za nią robić. Zmusza mnie, żebym po nie chodził. – Zabije ją kiedyś, pomyślał.

Miała oczywiście niezłą wymówkę. To przecież on wziął samochód, żeby pojechać do znajomych do Olemy... zadzwoniła tam i powiedziała, żeby kupił je po drodze do domu. A Mayfair Market zamykają za jakąś godzinę, o piątej albo szóstej, nie mógł sobie dokładnie przypomnieć. Raz tak, a innym razem, to znaczy w zwykłe dni, inaczej.

A co się stanie, jeśli jej ich nie przywiozę? – zastanowił się. Czy kobieta może wykrwawić się na śmierć? Tampaks to zatyczka, taki korek. A może... spróbował sobie to wszystko wyobrazić. Nie wiedział jednak, skąd bierze się ta krew. Z jednego z tych intymnych miejsc. Cholera, nie powinienem o tym nic wiedzieć. To jej sprawa.

No, ale kiedy przychodzi czas, kobiety ich potrzebują. I muszą je jakoś zdobyć.

Na domach pokazały się szyldy. Przejechał przez most na Paper Mill Creek i znalazł się w Point Reyes Station. Potem, po lewej, były bagna... droga skręcała w lewo koło warsztatu samochodowego Cheda's Garage i sklepu Harolda. Dalej był stary, opuszczony hotel.

Na niebrukowanym sklepowym parkingu zatrzymał pikapa obok pustej ciężarówki do przewozu siana.

– Wysiadał – powiedział do Elsie, przytrzymując jej drzwi. Nie ruszyła się, złapał ją więc za ramię i gwałtownym ruchem ściągnął z siedzenia na ziemię. Potknęła się. Nie zwolnił uchwytu i poprowadził ją w stronę ulicy.

Mogę przecież kupić różne rzeczy, pomyślał. Załadować cały koszyk i wtedy nikt nie

zauważy.

Kiedy wchodził do Mayfair Market, ogarnął go strach; zatrzymał się i przykucnął, udając, że zawiązuje but.

– But ci się rozwiązał? – zapytała Elsie.

– Cholera, przecież widzisz. – Rozwiązał sznurowadło, a potem zawiązał je znowu.

– Nie zapomnij kupić tampaksów – przypomniała mu Elsie.

– Zamknij się – powiedział z wściekłością.

– Brzydki jesteś. – Elsie rozplakała się. Głos jej się trząsał. – Idź sobie. – Zaczęła go bić otwartą dłonią. Wstał, a ona cofnęła się, ciągle go bijąc.

Złapał ją za ramię i wepchnął do sklepu, a potem pociągnął obok drewnianej lady w stronę półek, na których stały konserwy.

– Słuchaj no, cholera jasna – rzekł, pochylając się nad nią. – Bądź cicho i trzymaj się mnie, bo jak nie, to kiedy wrócimy do samochodu, wleję ci tak, że popamiętasz, słyszysz? Rozumiesz? Jak będziesz cicho, to kupię ci gumę. Chcesz gumę? No chcesz gumę? – Poprowadził ją do stoiska ze słodyczami, które było niedaleko drzwi. Pochylił się i podał jej dwa opakowania gumy black jack. – Teraz bądź cicho, bo muszę się zastanowić – powiedział. – Muszę pomyśleć. Muszę sobie przypomnieć, co mam kupić – dodał jeszcze.

Włożył do wózka chleb, główkę sałaty i paczkę płatków owsianych. Kupił kilka rzeczy, o których wiedział, że zawsze mogą się przydać, mrożony sok pomarańczowy i karton pall malli. Potem podszedł do regału, gdzie leżały tampaksy. W pobliżu nie było nikogo. Położył opakowanie tampaksów w koszyku obok innych rzeczy.

– W porządku – powiedział do Elsie. – Idziemy. – Nie zwalniając, pchnął wózek w stronę kasy. Przy kasie stały dwie dziewczyny w niebieskich kitlach i pochylały się nad jakimś zdjęciem. Zdjęcie pokazywała im jakaś starsza klientka. Wszystkie trzy pochylały się nad nim i dyskutowały. Dokładnie naprzeciwko kasy młoda kobieta przyglądała się różnym gatunkom win. Odjechał więc z wózkiem na tył sklepu i zaczął wyjmować to, co przedtem do niego włożył. Ale wtedy zdał sobie sprawę, że przecież sprzedawczynie widziały, jak pchał wózek w kierunku kasy, nie może więc go opróżnić; musi coś kupić, bo inaczej pomyślą, że to dziwne – najpierw napelnił wózek, a teraz wychodzi bez niczego. Mogłyby sobie pomyśleć, że się pogniewał. Odłożył więc tylko paczkę tampaksów – reszta została w wózku. Podszedł do kasy i ustawił się w kolejce.

– A tampaksy? – zapytała go Elsie tak ostrożnie, że gdyby nie wiedział, o jakie słowo może chodzić, nigdy by go nie zrozumiał.

– Mniejsza o to – odpowiedział.

Zapłacił i przeszedł przez ulicę, niosąc torbę z zakupami do pikapa. Co teraz? – zadał sobie pytanie, czując ogarniającą go rozpacz. Muszę je kupić. Jeśli teraz wrócę do sklepu, to dopiero

zwrócić na siebie uwagę. A może pojechać do Fairfax i kupić je w jednym z tych dużych, nowych drugstore'ów?

Stał niezdecydowany. A potem zauważył kątem oka Western Bar. A do diabła z tym, pomyślał. Posiedzę tam chwilę i zastanowię się. Wziął Elsie za rękę i poprowadził ulicą w stronę baru. Kiedy jednak stanął na ceglanych stopniach, zdał sobie sprawę, że nie może tam wejść z dzieckiem.

– Będziesz musiała poczekać w samochodzie – oznajmił, ruszając z powrotem. Natychmiast zaczęła płakać, wieszając mu się na rękę. – Tylko parę chwil – powiedział. – No wiesz, nie wpuszczą cię do baru.

– Nie! – krzyknęła dziewczynka, kiedy ciągnął ją przez ulicę. – Nie chcę siedzieć w samochodzie! Chcę pójść z tobą!

Wsadził ją do szoferki i zamknął drzwi na klucz.

Co za cholerne jędze, pomyślał. Obie są takie. Szału można z nimi dostać.

W barze zamówił dzin. Nie było tam poza nim nikogo, więc czuł się rozluźniony i mógł pomyśleć. Bar był przestronny i jak zawsze panował w nim półmrok.

Mógłbym pójść do sklepu przemysłowego i kupić jej jakiś prezent, pomyślał. Może jakąś miskę. Coś do kuchni.

Potem wróciła chęć, by ją zabić. Pojadę do domu, wpadnę do środka i ją zatłukę. Pobię ją, bo tak mi się podoba.

Wypił następny dzin.

– Która godzina? – zapytał barmana.

– Piętnaście po piątej. – W barze siedziało już nad piwem kilku innych mężczyzn.

– Wie pan może, o której zamykają Mayfair? – zapytał barmana.

Jeden z siedzących w barze mężczyzn powiedział, iż wydaje mu się, że o szóstej. Między nim a barmanem wywiązała się sprzeczka.

– Mniejsza z tym – powiedział Charley Hume.

Kiedy wypił trzeci dzin, zdecydował się pójść znowu do Mayfair Market i kupić tampaksy. Zapłacił za drinki i wyszedł z baru. Znalazł się znowu w sklepie; błąkał się między półkami zastawionymi zupami w puszkach i paczkami spaghetti.

Oprócz tampaksów kupił słoik wędzonych ostryg, które Fay uwielbiała. Potem wrócił do samochodu. Elsie spała, oparta o drzwi. Przez chwilę ciągnął za klamkę, próbując je otworzyć, a potem przypomniał sobie, że przecież zamknął je na klucz. Gdzie do cholery jest klucz? Postawił papierową torbę na ziemi i zaczął grzebać po kieszeniach. Chyba nie w stacyjce... przycisnął twarz do szyby. Boże święty, tam też go nie ma. Gdzie on może być? Zapukał w okno.

– Hej, obudź się! – krzyknął. Znowu zastukał. W końcu Elsie podniosła się i zauważyła go.

Pokazał palcem schowek na rękawiczki. – Zobacz, czy nie ma tam klucza! – krzyknął znowu. – Pociągnij to w górę! – wrzasnął, pokazując przycisk blokady zamka. – Pociągnij, żebym mógł wejść.

W końcu Elsie odblokowała drzwi.

– Co kupiłeś? – zapytała, sięgając do papierowej torby. – Masz coś dla mnie?

Pod wycieraczką był zapasowy klucz; zawsze go tam trzymał. Tym kluczem uruchomił silnik. W życiu się nie dowiem, gdzie on się podział, pomyślał. Trzeba będzie dorobić duplikat. Jeszcze raz przeszukał kieszenie płaszcza... klucz był w kieszeni, tam, gdzie powinien. Tam, gdzie go przedtem włożył. Chryste Panie, pomyślał. Chyba naprawdę jestem pijany. Wycofał samochód z parkingu i pojechał drogą numer jeden w stronę, z której przybyli.

Kiedy znalazł się w domu, zatrzymał samochód w garażu koło buicka Fay, zabrał obie torby z zakupami i poszedł ścieżką w stronę drzwi frontowych. Były otwarte, a z wnętrza dobiegała klasyczna muzyka. Przez szklaną ścianę zobaczył Fay: stała przy suszarce do naczyń i przecierała talerze. Bing, ich owczarek collie, podniósł się z leżącej przed drzwiami wycieraczki, żeby przywitać jego i Elsie. Puszysty ogon musnął go po nogach i zwierzę rzuciło się na niego z taką radością, że prawie by się przewrócił i wypuścił jedną z toreb. Odsunął psa nogą i wcisnął się bokiem przez drzwi do living roomu. Elsie poszła dalej ścieżką w stronę patio i zostawiła go samego.

– Cześć! – zawołała Fay z drugiego końca domu. Radio tak hałasowało, że ledwo ją słyszał. Przez moment nie mógł się zorientować, że to jej głos; przez chwilę wydawało mu się, że to tylko jakiś fałszywy ton, który przerwał melodię. A potem pojawiła się Fay: szła w jego stronę płynnym, sprężystym, miękkim krokiem, wycierając po drodze dłonie w ręcznik do naczyń. Była w obcisłych spodniach i sandałach, a w pasie zawiązała szarfę. Włosy miała potargane. Boże, jak ona ładnie wygląda, pomyślał. Ten jej ostrożny krok... jakby w każdej chwili była gotowa odwrócić się błyskawicznie w przeciwnym kierunku. Zawsze świadoma ziemi pod stopami.

Kiedy otwierał torby z zakupami, spojrzął na jej nogi, wyobrażając sobie, jak szeroko potrafi je rozstawić, kiedy ćwiczy rano. Siada na podłodze, jedna noga w górze... zaciska palce wokół kostki i przechyla się w bok. Musi mieć bardzo silne mięśnie nóg, pomyślał. Wystarczająco silne, by przeciąć człowieka na pół. Przepołować. Wykastrować. Częściowo nauczyła się tego na koniu... jeżdżąc bez siodła i ściskając boki tego bydlaka udami.

– Zobacz, co ci przywiozłem – powiedział, wyciągając w jej stronę słoik wędzonych ostryg.

– Och – westchnęła Fay i wzięła od niego słoik w taki sposób, by mu dać do zrozumienia, iż wie, że kupował go z myślą o niej, że pragnął jej w ten sposób okazać swoje uczucie. Nikt lepiej niż ona nie potrafił przyjmować podarunków. Rozumiała, jak czuje się wtedy on, dzieci, sąsiedzi, czy w ogóle ktokolwiek. Nigdy zbyt wiele nie mówiła, nie przesadzała i zawsze potrafiła wydobyć najważniejsze cechy prezentu, pokazując, dlaczego jest dla niej tak ważny.

Spojrzała na męża i jej usta skrzywiły się szybko w coś w rodzaju uśmiechu. Patrzyła na niego z głową lekko przechyloną w bok.

– I jeszcze to. – Wyjął tampaksy.

– Dziękuję – powiedziała, biorąc je od niego. Kiedy wzięła pudełko, cofnął się nieco, usłyszał jeszcze, jak do jego płuc wpada raptownie powietrze, i uderzył ją prosto w pierś. Poleciała do tyłu, upuszczając słoik z ostrygami. Gdy osuwała się na podłogę koło stołu, stracając lampę w daremnej próbie utrzymania się na nogach, rzucił się na nią i uderzył po raz drugi, tym razem zrzucając jej z nosa okulary. Pokulała się po podłodze, a na nią posypały się rzeczy ze stołu.

Stojąca w drzwiach Elsie zaczęła krzyczeć. Za nią pokazała się Bonnie – zobaczył jej pobladłą twarz i szeroko otwarte oczy – lecz nie powiedziała ani słowa; stała tylko, uczepiona klamki... pewnie przyszła z sypialni.

– Zajmijcie się swoimi sprawami! – wrzasnął na córki. – No dalej! Wynoście się stąd! – Podbiegł kilka kroków w ich stronę; Bonnie się nie poruszyła, ale młodsza córka odwróciła się i uciekła.

Przyklęknął, chwycił mocno żonę i podciągnął ją do pozycji siedzącej. Gliniana popielniczka, którą Fay sama zrobiła, stłukła się; zaczął zbierać odłamki lewą ręką, podtrzymując Fay prawą. Opierała się o niego, oczy miała otwarte, obwisłą szczękę; wydawało się, że wpatruje się w podłogę, czoło miała zmarszczone, jakby usiłowała pojąć, co się właściwie stało. Odpięła dwa guziki bluzki, wsunęła pod nią rękę i przesunęła dłonią po piersi. Była jednak zbyt oszołomiona, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Przecież wiesz, jak się czuję, kiedy muszę kupować to draństwo – powiedział, tłumacząc się. – Czemu sama sobie tego nie załatwisz? Dlaczego ja muszę po to jeździć?

Przekręciła głowę i teraz patrzyła już prosto na niego. Jej ciemne oczy wyglądały tak samo jak oczy córek: rozszerzone i głębokie. I Fay, i córki zareagowały w ten sam sposób – odeszły od niego, oddalając się coraz bardziej jakąś drogą, której nie mógł sobie ani wyobrazić, ani pojąć. Wszystkie trzy... a on został sam. I patrzył na to wszystko z zewnątrz. Gdzie one są? Odeszły, żeby się naradzić i porozmawiać. Zawisło nad nim oskarżenie... nic nie słyszał, lecz widział bardzo dobrze. Nawet ściany miały oczy.

A potem Fay wstała, opierając się o niego nie bez trudności, i odepchnęła go dłonią. Jej palce wbiły się w jego ciało, pozbawiając go równowagi. Potrafiła bardzo silnie uderzyć. Przewróciła go, żeby uciec. Odkopnęła go w bok, żeby zerwać się na nogi. Podparła się na dłoniach, na stopach, przeszła nad nim i już jej nie było, przecięła pokój, ciężko tłukąc piętami w płytki podłogi. Stawiała mocno stopy, żeby utrzymać równowagę – nie mogła sobie pozwolić na upadek. Kiedy dotarła do drzwi, jakoś niezręcznie złapała klamkę – to był błąd, musiała się na chwilę zatrzymać.

Natychmiast ruszył w jej stronę, mówiąc bez chwili przerwy.

– Dokąd idziesz? – Nie spodziewał się odpowiedzi i nawet na nią nie czekał. – No powiedz, że rozumiesz, jak ja się czuję. Założę się, że myślisz, że poszedłem do baru i wypilem parę drinków. No to cię rozczaruję.

Teraz drzwi były już otwarte. Pobieгла wysadzaną cyprysami ścieżką. Widział tylko jej plecy, włosy, ramiona, szarfę, nogi i pięty. Pokazała mi plecy, pomyślał. Dotarła do zaparkowanego w garażu buicka. Stał w drzwiach i patrzył, jak wycofuje samochód. Boże jedyny, jak ona szybko potrafi jeździć do tyłu... długi, szary buick był już na podjeździe, maska, chłodnica, reflektory skierowane były w jego stronę. Przez otwartą bramę i na drogę. W którą stronę? Do domu szeryfa? Chce na mnie złożyć donos, pomyślał. Zasłużyłem sobie. Pobicie żony.

Buick zniknął mu z oczu, zostawiając po sobie wiszący w powietrzu dymek spalin. Ciągłe słyszał warkot silnika; wyobraził sobie, jak samochód jedzie wąską drogą, skręcając to w jedną, to w drugą stronę. Droga i samochód skręcają razem; znała tę trasę tak dobrze, że nigdy by z niej nie wypadła, nawet podczas najgorszej mgły. Jest znakomitym kierowcą, pomyślał. Chylę przed nią czoło.

No cóż, albo wróci tu z szeryfem Chisholmem, albo ochłonie.

Nagle zobaczył coś, czego się nie spodziewał: buick pojawił się znowu. Wjechał na podjazd, o włos mijając słupek bramy. Chryste Panie! Samochód podjechał bliżej i zatrzymał się dokładnie naprzeciw niego.

– Czemu wróciłaś? – zapytał, starając się, by jego głos brzmiał możliwie jak najbardziej rzeczowo.

– Nie chcę, żeby dzieci tu z tobą zostały – odparła Fay.

– Cholera – powiedział, zbity z tropu.

– Mogę je zabrać? – spytała. – Nie masz nic przeciwko temu? – terkotała jak karabin maszynowy.

– A rób, co chcesz. – Słowa ledwo przechodziły mu przez gardło. – To znaczy na jak długo? Tylko na razie?

– Nie wiem – powiedziała.

– Wydaje mi się, że powinniśmy o tym porozmawiać. Pogadajmy o tym. Chodź, wejdziemy do środka, dobrze?

– Nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli spróbuję uspokoić dziewczynki? – spytała, mijając go i wchodząc do domu. Kuchenne szafki zasłoniły mu jej widok; po chwili usłyszał, jak woła córki gdzieś w okolicy sypialni.

– Nie martw się, już nigdy ci nic nie zrobię – obiecał, idąc za nią.

– Co? – Głos Fay dobiegał z przylegającej do ich sypialni łazienki, z której czasem

korzystały także ich córki.

– Muszę się tego oduczyć – powiedział, stając w drzwiach, kiedy chciała wyjść z łazienki.

– Dziewczynki poszły na dwór? – zapytała.

– Bardzo możliwe – odparł.

– Czy mógłbyś mnie przepuścić? – W jej głosie było słycać napięcie. Zauważył, że Fay przyciska pierś wsuniętą pod bluzkę dłonią. – Chyba złamałeś mi zebro – powiedziała, łapiąc powietrze ustami. – Ledwo oddycham. – Mimo wszystko była spokojna. Znow całkowicie panowała nad sobą; zrozumiał, że nie boi się go, tylko ma się na baczności. Ta jej ostrożność... szybkość reakcji. A jednak udało mu się na nią zamachnąć i uderzyć... nie była dostatecznie ostrożna. Okazuje się, że jednak nie jest aż tak wyjątkowym okazem, pomyślał. Jeśli jest w tak doskonałej formie, jeśli te jej poranne ćwiczenia są czegoś warte, powinna była zablokować mój cios. Świetnie gra w tenisa i w ping-ponga... jest w porządku. A figurę ma lepszą niż którakolwiek z sąsiadek. Założę się, że ma najlepszą figurę ze wszystkich członkiń komitetu rodzicielskiego hrabstwa Marin.

Fay znalazła dziewczynki i zaczęła je pocieszać, a on błąkał się po domu, zastanawiając się, czym by tu się zająć. Wyniósł na zewnątrz karton śmieci, wrzucił do spalarki i podpalił. Potem przyniósł z warsztatu śrubokręt i przykręcił duże mosiężne śrubki, które przytrzymywały uchwyty nowej skórzanej torebki Fay... te śrubki odkręcały się od czasu do czasu, sprawiając, że uchwyt urywał się w najmniej odpowiednich momentach.. Coś jeszcze? – zastanowił się, kiedy skończył tę robotę.

Urwała się muzyka klasyczna dobiegająca ze stojącego w living roomie radia. Jej miejsce zajął spokojny jazz. Podeszedł do radia, żeby poszukać innej stacji. Kiedy kręcił gałką, pomyślał o kolacji. Doszedł do wniosku, że powinien pójść do kuchni i zobaczyć, jak tam przygotowania.

Zrozumiał, że przerwał jej, kiedy przygotowywała sałatkę. Na blacie stała wpół otwarta puszka z rybami, obok leżała główka sałaty, pomidory i zielona papryka. W czajniku stojącym na dużej elektrycznej kuchence, którą instalowano pod jego nadzorem, gotowała się woda. Przetawił pokrętło w niższe położenie. Wziął nóż do owoców i zaczął obierać awokado... Fay nigdy nie umiała porządnie obierać awokado – była zbyt niecierpliwa. Sam musiał się tym zajmować.

Rozdział 4

Wiosną 1958 mój starszy brat Jack, który mieszkał w Seville w stanie Kalifornia i miał wtedy trzydzieści trzy lata, został złapany przez kierownika sklepu na kradzieży puszek mrówek w czekoladzie i przekazany policji.

Przyjechaliśmy z mężem z hrabstwa Marin, żeby pomóc mu w ciężkiej sytuacji.

Policja już go puściła, a sklep nie złożył oficjalnej skargi, chociaż zmusili go, żeby podpisał oświadczenie, że ukradł te mrówki. Chodziło o to, żeby nigdy już nie ukradł im puszek mrówek, ponieważ gdyby to zrobił, podpisane przez niego oświadczenie zaprowadziłoby go do miejskiego więzienia. Był to uczciwy interes: Jack wrócił do domu – o niczym innym nawet w tym swoim ograniczonym umyśle nie marzył – a sklep mógł liczyć na to, że odtąd Jack się w nim nie pojawi – nie ośmieliliby się tam pokazać ani nawet pałętać koło pustych skrzynek po pomarańczach stojących za sklepem przy rampie.

Od kilku miesięcy Jack wynajmował pokój przy Oil Street w pobliżu Tyler Street, czyli w dzielnicy Seville, w której mieszkają kolorowi, chociaż trzeba powiedzieć, że mimo to jest ona jednym z niewielu interesujących miejsc w mieście. Na każdy oddzielony dwoma przecznicami odcinek ulic przypada dwadzieścia starych sklepików, których właściciele codziennie rozstawiają na chodniku sprężyny do łóżek, galwanizowane wanny i noże myśliwskie. Kiedy mieliśmy po paręnaście lat, zawsze wyobrażaliśmy sobie, że każdy z tych sklepików to tylko przykrywką dla jakiejś tajemniczej działalności. Czysze nie są tu wysokie, a Jack z tą swoją obrzydliwą robotą w złodziejskim warsztacie oponiarskim, uwzględniając wydatki na ubranie i wysoki z kolegami, nie mógłby mieszkać gdzie indziej.

Zostawiliśmy samochód na miejscu do parkowania, które kosztowało dwadzieścia pięć centów za godzinę, i wymijając żółte autobusy, poszliśmy przez ulicę w stronę domu, gdzie mieszkał Jack. Ta dzielnica najwyraźniej działała Charleyowi na nerwy. Bez przerwy przyglądał się swoim spodniom, żeby sprawdzić, czy się pobrudził – reakcja w oczywisty sposób nerwowa, ponieważ w pracy sypią się na niego iskry i metalowe opiłki i chodzi umazany smarem po sam tyłek. Chodnik był zapaskudzony papierkami po gumie do żucia, plwocinami, psim moczem oraz używanymi prezerwatywami i na twarzy Charleya pojawił się ten typowy dla protestantów srogi grymas dezaprobaty.

– Nie zapomnij umyć rąk, jak stąd wrócimy – powiedziałam.

– Czy można zarazić się chorobą weneryczną od ulicznej lampy albo skrzynki pocztowej? – zapytał Charley.

– Można, jeśli człowiek cały czas o tym myśli – odparłam.

Znaleźliśmy się na górze, w ciemnym, wilgotnym korytarzu, i zapukaliśmy energicznie do

drzwi Jacka. Byłam tam przedtem tylko raz, ale poznałam jego pokój po wielkiej plamie na suficie, która prawdopodobnie powstała bardzo dawno w wyniku zapchania się muszli klozetowej.

– Myślisz, że sądził, że to jakiś delikates? – spytał Charley. – Czy miał coś przeciwko temu, że w sklepie sprzedają mrówki?

– Wiesz, że zawsze kochał zwierzęta – powiedziałam. Usłyszeliśmy, że za drzwiami coś się rusza; brzmiało to tak, jakby Jack leżał jeszcze w łóżku. Było wpół do drugiej. Drzwi się jednak nie otworzyły, a dźwięki ucichły.

– To ja, Fay – powiedziałam, nachylając się ku drzwiom. Przez chwilę nie działo się nic, a potem drzwi się otworzyły.

Pokój był schludny, czego można się było oczywiście spodziewać po miejscu, w którym mieszkał Jack. Dbał o czystość, a wszystkie przedmioty starannie poukładał, żeby mógł je łatwo znaleźć. Gromadził już nawet reklamówki ze sklepów. Koło okna miał ich cały stos, poukładanych i starannie wygładzonych. Zbierał wszystko, a najchętniej folię aluminiową i sznurki. Pościel była odrzucona, żeby łóżko się przewietrzyło, i Jack siedział na samym prześcieradle. Położył ręce na kolanach i przyglądał się nam.

Rzecz jasna z powodu tego, co się stało, zaczął znów nosić rzeczy, w które ubierał się w domu rodziców, kiedy był jeszcze dzieckiem. Raz jeszcze zobaczyłam parę brązowych spodni ze sztruku, które matka kupiła mu na początku lat czterdziestych. Miał na sobie niebieską bawełnianą koszulę – czystą, lecz tak wyblakłą od częstego prania, że zrobiła się prawie biała. Kołnierzyk był w strzępach, a wszystkie guziki odpadły. Jack pozapinał ją na biurowe spinacze.

– Ty durniu – powiedziałam.

– Czemu zbierasz te wszystkie śmieci? – zapytał Charley, krążąc po pokoju. Natrafił właśnie na stół, na którym leżały wygładzone przez wodę kamienie.

– Pozbierałem je, ponieważ istnieje możliwość, że zawierają radioaktywne rudy – wyjaśnił Jack.

Oznaczało to, że mimo iż pracuje, ciągle jeszcze zdarzają mu się dłuższe odjazdy. Z pewnością w szafie, pod stosem swetrów, które pospadały z wieszaków, miał związany starannie szpagatem i opisany na wpół czytelnym charakterem pisma karton, w którym były znoszone buty z demobilu. Mniej więcej co miesiąc, zupełnie jak chłopak ze szkoły średniej, niszczył jedną parę tych staroświeckich, wysokich butów zapinanych u góry na haczyki.

To wszystko wydało mi się bardziej poważne niż kradzież którą popełnił, wzięłam więc z krzesła plik egzemplarzy „Life’a” i usiadłam, zdecydowana spędzić tu tyle czasu ile będzie trzeba, żeby przeprowadzić z bratem zasadniczą rozmowę. Charley oczywiście nie usiadł, aby dać mi do zrozumienia, że chce już iść. Jack go denerwował. Nie znali się wcale, ale podczas gdy Jack nie zwracał w ogóle uwagi na Charleya, mojemu mężowi zawsze wydawało się, że

Jack może mu coś zrobić. Kiedy go pierwszy raz zobaczył, powiedział mi wprost – Charley nigdy nie potrafił trzymać języka za zębami – że mój brat to najbardziej pokrecony facet, jakiego spotkał w życiu. Kiedy go spytałam, dlaczego tak twierdzi, odparł, że jest całkowicie przekonany, że Jack nie musi się zachowywać tak, jak się zachowuje, lecz robi to, ponieważ ma na to ochotę. Dla mnie ta różnica nie miała żadnego znaczenia, ale Charley przywiązywał do podobnych spraw wielką wagę.

Te dłuższe odjazdy zaczęły się na początku szkoły średniej, w latach trzydziestych, jeszcze przed wojną. Mieszkaliśmy wtedy przy ulicy Garibaldiego, której nazwa, z powodu resentymentu do Włochów, została zmieniona w czasie wojny domowej w Hiszpanii na Cervantesa. Jack szybko doszedł do przekonania, że teraz zostaną zmienione wszystkie nazwy, i przez pewien czas wydawało się nam, że żyje już wśród tych nowych ulic, które oczywiście nosiły imiona dawnych pisarzy i poetów. Lecz kiedy okazało się, że nie zmieniono już nazwy żadnej innej ulicy, ten stan ducha go opuścił. W każdym razie przez jakiś miesiąc docierało do niego, co dzieje się na świecie, a my uznaliśmy to za spory postęp, ponieważ dotychczas najwyraźniej nie potrafił pojąć, że wojna to coś rzeczywistego czy, powiedzmy, że świat, gdzie toczy się ta wojna, naprawdę istnieje. Nigdy nie potrafił rozróżnić między tym, co czytał, a tym, co działo się naprawdę. Dla Jacka najważniejszym kryterium była wartkość akcji, a przyprawiające o mdłości historie o zaginionych kontynentach i boginiach z dżungli zamieszczane w niedzielnych dodatkach do gazet uważał za bardziej wiarygodne i przekonywające niż nagłówki w codziennych wydaniach.

- Pracujesz jeszcze? – zapytał stojący za jego plecami Charley.
- Oczywiście, że pracuje – zapewniłam go. Jack jednak powiedział:
- Czasowo przerwałem pracę w warsztacie oponiarskim.
- Dlaczego? – zapytałam stanowczo.
- Jestem zbyt zajęty.
- Czym?

Pokazał palcem stos zeszytów, zapisanych, jak zobaczyłam, jego charakterem pisma. Już kiedyś pisywał w wolnych chwilach listy do gazet, a teraz najwidoczniej znów zajął się jakimś zabierającym masę czasu, pokreconym pomysłem, na przykład opracowywaniem planu nawodnienia Sahary. Charley wziął do ręki pierwszy zeszyt i przerzucił kilka kartek, a potem rzucił z powrotem na pozostałe.

- To jest pamiętnik – powiedział.
- Nie – zaprzeczył Jack, wstając. Jego chuda, koścista twarz przybrała chłodny wyraz wyższości, jakby parodiował arogancką minę uczonego, który patrzy na dyletanta. – To naukowy wykaz sprawdzonych faktów – wyjaśnił.
- A jak zarabiasz na życie? – zapytałam. Intuicja podpowiadała mi, skąd bierze na

utrzymanie: znów był uzależniony od pomocy naszych rodziców, którzy na starość ledwo potrafili utrzymać siebie.

– U mnie wszystko w porządku – powiedział Jack. Było oczywiste, że tak odpowie; jak tylko przychodziły pieniądze, natychmiast je wydawał na krzykliwe ciuchy albo gubił, albo inwestował w jakieś szaleństwo, o którym wyczytał w brukowcu, na przykład w olbrzymie grzyby albo w maść na choroby skórne, którą można było sprzedawać, chodząc od domu do domu. Ta jego praca przy oponach, chociaż pachniała kryminałem, była przynajmniej stała.

– Ile masz pieniędzy? – spytałam stanowczo, nie dając mu się zastanowić.

– Zobaczą – odpowiedział. Otworzył szufladę komody.

Wyciągnął pudełko po cygarach. Znowu usiadł na łóżku, położył pudełko na kolanach i otworzył. W środku nie było nic poza paroma tuzinami jednocentówek i trzema pięciocentówkami.

– Szukasz jakiejś innej pracy? – zapytałam.

– Tak – odparł.

Kiedyś brał się do najgorszych robót: pomagał wozić pralki do klientów, wyładowywał warzywa ze skrzynek w sklepie spożywczym, zamiatał drugstore, a zdarzyło mu się nawet wydawać narzędzia w bazie lotniczej marynarki w Alamedzie. Latem od czasu do czasu najmował się do zbierania owoców i dawał się wozić na otwartej skrzyni ciężarówki całe mile za miasto; to była jego ulubiona praca, bo mógł się tymi owocami napchać. Jesienią zawsze pracował pod San Jose w fabryce konserw Heinz, gdzie napelniał puszki gruszkami odmiany Bartlett.

– Wiesz, kim jesteś? – powiedziałam. – Jesteś największym, pozbawionym jakichkolwiek zdolności durniem na świecie. Przez całe życie nie spotkałam nikogo, kto miałby taką sieczkę we łbie. Jak to się w ogóle dzieje, że jeszcze żyjesz? Skąd się, do cholery, wzięłaś w mojej rodzinie? Zanim się urodziłaś, nie było u nas żadnych wariatów.

– Nie tak ostro – wtrącił się Charley.

– To prawda – powiedziałam do męża. – Boże święty, on pewno jest przekonany, że jesteśmy teraz na dnie oceanu i mieszkamy w zamku, który pozostał po Atlantydzie.

– Jaki mamy rok? – zapytałam Jacka. – Dlaczego ukradłeś te mrówki? Czemu? No, powiedz mi. – Złapałam go za ramię i zaczęłam potrząsać tak jak wtedy, kiedy byłam mała, bardzo mała, i pierwszy raz usłyszałam, jak wypluwa z siebie te śmieci, które wypełniały jego głowę. Wtedy to z rozdrażnieniem i strachem rozumiałam, że Jack ma w ten sposób pokrecony mózg – jeśli ma wybrać między faktami a fikcją, to zawsze wybierze fikcję, a postawiony między zdrowym rozsądkiem a głupotą, zdecyduje się na głupotę. Rozumiał, że istnieje między nimi różnica, lecz wybierał śmieci i systematycznie się nimi napychał. Zupełnie jak jakiś średniowieczny dziwak, uczący się na pamięć tych absurdów, z których święty Tomasz z Akwinu zbudował swoją

chwieżną i fałszywą teorię na temat wszechświata, która zaważyła się w końcu, zostawiając po sobie tylko niewielkie obszary intelektualnego bagna, takie na przykład jak w mózgu mojego brata.

– Musiałem przeprowadzić pewien eksperyment – wyjaśnił Jack.

– Jaki eksperyment? – zapytałam.

– Znane są przypadki, że ropuchy potrafiły przetrwać bez ruchu w błocie przez całe stulecia.

Zrozumiałam wtedy, co wylęgło się w jego głowie: mrówki zanurzone w czekoladzie mogły przetrwać, jakby zabalsamowane, i można je będzie przywrócić do życia.

– Zabierz mnie stąd – poprosiłam Charleya. Otworzyłam drzwi, wyszłam z pokoju i znalazłam się na korytarzu. Cała się trzęsłam, to wszystko było ponad moje siły. Charley wyszedł za mną i powiedział przyciszonym głosem:

– On najwyraźniej nie potrafi o siebie zadbać.

– Na pewno nie – odparłam. Czułam, że jeśli zaraz nie znajdę się w jakimś miejscu, gdzie będę mogła się napić, to zwariuję. Cholernie żałowałam, że przyjechaliśmy tu z Marin; nie widziałam Jacka od miesięcy, a teraz czułam, że byłabym zadowolona, gdybym go już nigdy nie zobaczyła.

– Słuchaj, Fay – odezwał się Charley. – To twój brat. Nie możesz go tak po prostu zostawić.

– Oczywiście, że mogę – powiedziałam.

– Powinien mieszkać na wsi. Na świeżym powietrzu. Gdzieś, gdzie mógłby być ze zwierzętami.

Charley kilka razy próbował zabrać mojego brata w okolice Petalomy; chciał mu załatwić pracę dojarza na jednej z tych wielkich mlecznych farm. Jack musiałby tylko otwierać drewnianą bramę, wpychać krowę do środka, przyczepiać jej te elektryczne cudeńka do wymion, włączać dojarzkę, wyłączać ją we właściwym momencie, odwiązywać krowę i wprowadzać następną. I tak w kółko – prawdziwa rozpacz, jeśli jest się przyzwyczajonym do twórczej pracy, ale było to coś, z czym Jack dałby sobie radę. Płacili tam mniej więcej półtora dolara za godzinę, a oprócz tego dojarze dostawali posiłki i miejsce do spania. Czemu nie? I mógłby przebywać ze zwierzętami – z wielkimi krowami, które srają i piją łąpczywie, srają i piją.

– Nie mam nic przeciwko temu – powiedziałam. Zналиśmy paru farmerów i z łatwością załatwilibyśmy mu pracę dojarza.

– Zabierzmy go ze sobą – zaproponował Charley.

Żeby zabrać go do hrabstwa Marin, musieliśmy spakować wszystkie jego skarby: kolekcję fiszek z faktami naukowymi, kamienie, zapiski i rysunki, wszystkie stare lumpy i eleganckie swetry oraz spodnie, które zakładał w weekendy, żeby zrobić wrażenie na tych łachudrach w Reno... wszystko zostało włożone do kartonów i załadowane do buicka. Kiedy Charley

skończył – to on odwalił całą robotę, bo ja siedziałam na przednim siedzeniu samochodu i czytałam, a Jack zniknął na godzinę, żeby pożegnać się ze znajomymi – pokój był prawie pusty, został tylko stos sklepowych reklam, których nie pozwoliłam mu zabrać.

Wyglądało tu zupełnie tak samo, jak w jego pokoju, kiedy był dzieckiem, pomyślałam. W czasie wojny, kiedy przez kilka miesięcy był w wojsku, weszliśmy tam i wynieśliśmy wszystko na zewnątrz, a potem to zniszczyliśmy. Kiedy wrócił – dostał zwolnienie ze względu na alergię... miał napady astmy – to oczywiście dostał strasznego ataku, a potem popadł w przewlekłą depresję. Strasznie rozpaczał po tych śmieciach. A potem, zamiast dorosnąć i zająć się czymś rozsądniejszym, wyprowadził się z domu, wynajął pokój i zaczął od początku.

Charley pojechał na północ, w stronę autostrady; Jack był z tyłu razem ze swoimi pudłami, a ja siedziałam obok męża i bałam się strasznie, co stanie się z domem, kiedy mój szalony brat wprowadzi się do niego choćby na parę dni. Mieliśmy co prawda dodatkowy pokój, który można było dla niego przeznaczyć. A dziewczynki i tak cały czas robiły bałagan w swojej części domu. Przecież nie mógł zrobić nic więcej, niż pomalować ścianę kredką, pobrudzić zasłony i poduszki kanapy gliną, rozlać farbę na betonowej posadzce patia, zostawić skarpetki z zeszłego miesiąca w cukiernicy, nasmarkać do zupy czy przewrócić się w czasie wynoszenia śmieci i przeciąć sobie gałkę oczną na pół wieczkiem puszek po sardynkach. Dziecko to brudne i amoralne zwierzę pozbawione zdrowego rozsądku, które kala własne gniazdo, jeśli mu tylko na to pozwolić. Tak na poczekaniu nie przychodzą mi do głowy żadne dziecięce cechy, które kompensowałyby tę wadę, może tylko to, że dzieckiem, dopóki jest małe, można przynajmniej pomiatać. Charley i ja mieszkaliśmy w przedniej części domu, a dziewczynki, które zajmowały tył, przesuwwały front bałaganu cal po calu w naszą stronę... aż wreszcie my albo pani Medini zaczęliśmy sprzątać, wyrzucając wszystko i paląc śmieci, po czym cały ten proces zaczynał się od nowa. Jack sprawi tylko, że chaos będzie jeszcze większy: nie wprowadzi do niego niczego nowego, będzie tylko więcej tego, co już i tak jest.

Rzecz jasna, ponieważ fizycznie jest dojrzały, nie będzie go można traktować jak dziecko, i to mnie przerażało. Już od lat Jack pod pewnymi względami mnie przerażał: zawsze czułam, że nie jestem w stanie przewidzieć, co zaraz zrobi albo powie, jakie niezdrowe pomysły zalęgą mu się we łbie – mogło być i tak, że zacznie uważać uliczne lampy za przedstawicieli władzy, a policjantów za przedmioty zrobione z drutu. Pamiętam, że jako dziecko był przekonany, niektórym ludziom może odpaść głowa; sam nam o tym powiedział. Pamiętam też, jak wierzył, że jego nauczyciel geometrii to ubrany w garnitur kogut... pomysł ten mógł mu przyjść do głowy po obejrzeniu filmu z Charliem Chaplinem. Chociaż rzeczywiście, ten nauczyciel chodził po klasie w taki koguci sposób.

Przypuśćmy na przykład, że odbiłoby mu i zaczęłyby pożerać owce sąsiadów. Zabijanie owiec to na wsi wielkie przestępstwo, a do napastników się strzela. Kiedyś pewien młody

parobek zaczął ukrecać karki wszystkim nowo narodzonym cielętom w promieniu kilku mil... nikt nie wiedział dlaczego, ale bez wątpienia był to wiejski odpowiednik chłopaka, który w mieście wybija szyby czy dziurawi nożem opony. Wandalizm w wiejskim wydaniu często wiąże się z zabijaniem, ponieważ własność farmera stanowią stada kaczek, kur, bydła, baranów, owiec a nawet kóz. Lardnerowie, starsze małżeństwo mieszkające na prawo od nas, hodowali kozy i od czasu do czasu zabijali jedną z nich, i gotowali kozi gulasz czy zupę. Ludzie na wsi będą bronić cennej owcy albo krowy przed każdym zagrożeniem i przyzwyczajeni są do trucia szczurów czy strzelania do lisów, szopów, psów i kotów, które wdzierają się na ich teren, a ja widziałam już oczami wyobraźni, jak którejs nocy strzelają do Jacka, który przechodzi pod płotem z drutu kolczastego, trzymając w zębach ociekające krwią jagnię.

Kiedy tak jechaliśmy z powrotem do Drake's Landing, w głowie zaczęły mi się lęgnąć jakieś mroczne lęki... pewnie bałam się zamiast Jacka, który robił wrażenie całkowicie spokojnego i opanowanego.

Lecz to w końcu tylko jeden z aspektów życia na wsi. Siedziałam kiedyś w living roomie, słuchałam Bacha i patrzyłam przez okno w stronę, gdzie po drugiej stronie pola, Poniżej, na zboczu wzgórza, leżało rancho. Nagle zobaczyłam, że dzieje się tam straszna scena: stary farmer w przesiąkniętych gnojówką dzinsach, butach z cholewami i kapeluszu walił siekierą w łeb psa, którego przyłapał na węszeniu koło kurnika. Człowiek nie ma nic do roboty; można tylko słuchać Bacha i próbować czytać *Opętanych miłością*. Oczywiście my też zabijaliśmy kaczki, kiedy przyszła pora, by je zjeść, a pies codziennie zagryzał susły i wiewiórki. Poza tym przynajmniej raz w tygodniu znajdowaliśmy przed frontowymi drzwiami na wpół zjedzony jeleni łeb, przywleczone przez psa z kubła na śmieci któregoś z sąsiadów.

Problem polegał oczywiście tylko na tym, żeby utrzymać takiego dupka jak Jack w ryzach. Charleyowi było łatwo: spędzał cały dzień w fabryce, wieczorami zamykał się w gabinecie i zajmował papierkową robotą, a weekendy najczęściej spędzał na dworze, zabawiając się glebogryzarką albo piłą mechaniczną. Kiedy wyobraziłam sobie mojego brata płaczącego się przez cały dzień po domu, zrozumiałam, jak bardzo ludzie na wsi są przykuci do miejsca. Nie można nigdzie pójść ani nikogo odwiedzić – człowiek siedzi cały dzień w domu, czytając albo zajmując się gospodarstwem czy dziećmi. Kiedy wychodziłam z domu? We wtorki i czwartki wieczorem miałam zajęcia z rzeźby w San Rafael. W środowe popołudnia przychodzili chłopcy i dziewczynki z drużyny Drozdów, żeby piec chleb albo tkać kilimy. W poniedziałki rano jeździłam do San Francisco do doktora Andrews, mojego psychoanalityka, a w piątki rano po zakupy do Purity Market w Petalumie. We wtorki po południu miałam lekcje tańca nowoczesnego. I to wszystko, chyba że czasem jedliśmy kolację z Fineburgami albo z Meritanami, czy też jechaliśmy w czasie weekendu na plażę. Najbardziej interesującą rzeczą, jaka się zdarzyła w ciągu tych wszystkich lat, był wypadek na drodze do Petalumy: ciężarówka

z sianem zgubiła ładunek i rozwalila kombi Alise Hatfield, która była akurat w środku razem z trójką dzieci. Poza tym kiedyś czworo nastolatków oberwało w Olemie od dwudziestu drwali. To jest wieś. To nie miasto.

Kiedy mieszka się tu, gdzie my, człowiek ma szczęście, jeśli dostanie „San Francisco Chronicle”; nie roznoszą jej po domach – trzeba jechać do Mayfair Market i samemu sobie kupić.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez San Francisco, Jack ożywił się i zaczął robić uwagi na temat mijanych budynków i samochodów. Miasto najwyraźniej go pobudziło i zrobiło na nim wielkie wrażenie. Spozrzegł maleńkie, ściśnięte sklepiki przy Mission Street i chciał, żebyśmy się zatrzymali. Na szczęście wyjechaliśmy z dzielnicy South of Market i znaleźliśmy się na Van Ness. Charley przyglądał się rozszerzonymi oczami zagranicznym samochodom stojącym w oknach salonów, ale Jacka one nie interesowały. Kiedy wjechaliśmy na most Golden Gate, żaden z nich nie zwrócił uwagi na wspaniały widok miasta, zatoki i wzgórz Marin; nie byli po prostu w stanie przeżywać niczego w sensie estetycznym, ponieważ dla Charleya rzeczy musiały mieć wartość materialną, a dla Jacka... jaką? Bóg raczy wiedzieć. Najlepiej, żeby to były jakieś dziwne wydarzenia, jak na przykład spadające z nieba żaby. Cuda i takie tam. Ten wspaniały widok zupełnie się w ich wypadku marnował, lecz ja patrzyłam na niego tak długo, jak tylko się dało, aż w końcu wyjechaliśmy pomiędzy wzgórz, minęliśmy forty i znów znaleźliśmy się wśród zaśmieconych miasteczek leżących na obrzeżach – Mill Valley, San Rafael – okropność, jeśli kto by mnie pytał. Kompletne dno, brud, smog i cały czas te należące do hrabstwa maszyny, które zrywały nawierzchnię, żeby przygotować teren pod nową autostradę.

Powoli przejechaliśmy przez Ross i San Anselmo, przeciskając się między samochodami, które wiozły ludzi z pracy, a potem minęliśmy Fairfax, wyjechaliśmy pomiędzy sklepów i budynków mieszkalnych i znaleźliśmy się wśród pierwszych pastwisk i kanionów. Nagle stacje benzynowe ustąpiły miejsca krowom.

– I jak ci się podoba? – zapytał Charley mojego brata.

– Całkiem tu pusto – odparł Jack.

– A kto miałby ochotę mieszkać z krowami? – zapytałam gorzko.

– Krowa ma cztery żołądki – oświadczył Jack.

Białe Wzgórze ze swoim straszliwie stromym i pofałdowanym zboczem wyraźnie zrobiło na nim wrażenie, a potem, po drugiej jego stronie, widok doliny San Geronimo wprowadził całą naszą trójkę w dobry humor. Na prostej Charley rozpedził buicka do osiemdziesięciu pięciu mil na godzinę i owiał nas ciepły wiatr ogrzany słońcem południa, uwalniając samochód od zaduchu nadpleśniałego papieru i brudnych ubrań. Pola po obu stronach drogi były zbrązowiałe od słońca i braku wody, lecz wokół kęp dębów, wśród których leżały granitowe głazy, widać było trawę i dzikie kwiaty.

Na pewno bylibyśmy zadowoleni, gdybyśmy mieszkali w tej okolicy, bliżej San Francisco, lecz ziemia była tu droga, a letnia nawała samochodów, wiozących wczasowiczów do letnich domów w Lagunitas, i kampingowych furgonetek ciągnących do Samuel Taylor Park miała w sobie coś przygnębiającego. Przejechaliśmy przez Lagunitas, mijając jedyny w tym miasteczku sklep kolonialny, a potem droga zakręciła jak zwykle zbyt ostro, co zmusiło Charleya, by zwolnił tak raptownie, że maskę buicka przygięło ku ziemi, a wszystkie cztery opony zapiszczwały. Ciepłe i suche powietrze zostało za nami. Znaleźliśmy się głęboko wśród sekwoi, wdychając zapach strumieni, wilgotnych igieł i chłodnych, ciemnych polan, które w lipcu porastają paprocie.

Jack wyprostował się i powiedział:

– Słuchajcie, czy myśmy tu kiedyś nie byli na wycieczce? – Wyciągnął szyję na widok stołów i rusztów do pieczenia mięsa.

– Nie – odparłam. – To było w lesie Muir. Miałeś wtedy dziewięć lat.

Kiedy samochód wspiął się na wzgórze, z których roztacza się widok na Olemę i zatokę Tomales, Jack zdał sobie sprawę, że wyjechał z miasta i znalazł się na wsi. Zauważył zniszczone, oblażące z farby drewniane wiatraki, opuszczone domy o zabitych deskami oknach, kurczaki grzebiące w ziemi na podjazdach do gospodarstw i ten nieodłączny znak wiejskich okolic, którym są zbiorniki na butan umieszczone za każdym domem. Tuż przed Inverness Wye był też szyld: „Takitoataki. Wiercenie studzien”.

Kiedy mijaliśmy Paper Mill Creek, Jack zauważył w dole rybaków i pierwszy raz w życiu śnieżnobiałą czapkę, szukającą ryb na bagnach.

– Można tu też spotkać czapkę modronosą – powiedziałam. – A kiedyś widzieliśmy stado dzikich łabędzi. Osiemnaście sztuk w małej zatoczce koło Drake’s Estero.

Kiedy przejechaliśmy przez Drake’s Landing i znaleźliśmy się na wąskiej asfaltówce Saw Mill Road, prowadzącej do naszego domu, Jack stwierdził:

– Tak, tutaj jest spokój.

– No – zgodził się z nim Charley. – W nocy usłyszysz, jak ryczą krowy.

– Ryczą jak uwięzione na bagnach dinozaury – powiedziałam.

Na wysokości ostatniego zakrętu drogi, uczepiony telefonicznych drutów, siedział sokół. Powiedziałam Jackowi, że siedzi od lat na drucie i poluje stamtąd na żaby i pasikoniki. Czasami ptak lśnił, a czasami pióra mu wylażyły i wyglądał nędznie. Niedaleko nas siedzący całymi dniami na cyprysie zimorodek podkradał państwu Hallinaus złote rybki ze sztucznej sadzawki.

Kilka lat przedtem po wzgórzach nad zatoką Tomales pałętały się łosie i niedźwiedzie, a ostatniej zimy Charley twierdził, że w świetle samochodowych reflektorów zobaczył wielką czarną łapę jakiegoś zwierzęcia, które zniknęło w lesie i o ile nie był to niedźwiedź, musiał to być człowiek w niedźwiedziej skórze. Nie chciałam jednak o tym z Jackiem rozmawiać. Nie

było sensu opowiadać mu miejscowych legend, bo zaraz zaczęłyby sobie wymyślać własne historie i okazałoby się, że to nie niedźwiedzie czy łosie włożą po zmroku do warzywnika i żrą rabarbar, tylko Marsjanie, których latające talerze wylądowały w kanionach Inverness. Przy okazji przypomniała mi się gorączka UFO w Inverness Park. Istniała tam grupa jakichś szaleńców, która niewątpliwie wciągnie Jacka, i mój brat będzie miał okazję dwa razy w tygodniu brać udział w badaniach nad hipnozą, reinkarnacją, buddyzmem zen, postrzeganiem pozazmysłowym, no i oczywiście niezidentyfikowanymi obiektami latającymi.

Rozdział 5

Chłopak i dziewczyna, ubrani w rude wełniane golfy oraz dżinsy, oparli rowery o budynek apteki i nachylili się ku sobie. Dziewczyna palcem wyjęła jakiś pyłek z oka chłopaka. Rozmawiali spokojnie. Profil jej twarzy otoczonej kasztanowymi lokami przypominał wizerunek na starej monecie, na monecie z lat dwudziestych albo z przełomu wieków... staroświecki profil, twarz jak z alegorii: delikatna, zamknięta, bezosobowa, spokojna. Chłopak miał włosy przycięte krótko przy skórze, tak że przypominały czarną czapkę. Oboje byli smukli. Chłopak był nieco wyższy od dziewczyny.

Fay siedziała obok męża i patrzyła przez szybę samochodu, jak chłopak i dziewczyna odchodzą.

– Muszę ich poznać – oznajmiła. – Wsiądę i zaproszę ich do domu na martini. – Złapała za klamkę. – Czyż nie są piękni? – powiedziała. – Jak z Nietzschego. – Jej twarz przybrała bezlitosny wyraz: nie pozwoli im odejść. Zauważył, że patrzy na chłopaka i dziewczynę, że nie spuszcza z nich wzroku. Wypatrzyła ich. Znalazła. – Czekajcie – powiedziała, stawiając nogi na ziemi i zamykając drzwi samochodu. Zwisająca na pasku torebka uderzyła w karoserię. Kiedy ruszyła w ich stronę, na żwir, którym był wysypany parking, upadły jej przeciwsłoneczne okulary. Pospiesznie podniosła je z ziemi, nie patrząc nawet, czy szkła są całe. Tak jej się spieszyło, by ich poznać, że zaczęła biec. A jednak zachowała grację, a jej szczupłe nogi poruszały się z wdziękiem. Biegła za nimi świadoma tego, co robi; myślała o tym jakie wrażenie wywrze jej wygląd na nich i na ludziach którzy mogli obserwować tę scenę.

Wychylił się z samochodu i zawołał za nią:

– Poczekaj!

Fay zatrzymała się, zniecierpliwiona.

– Wracaj – powiedział, a w jego głosie zabrzmiał jakiś fałsz, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że przecież przyjechali tu po zakupy i właśnie przypomniało mu się, że trzeba po coś jeszcze pójść.

Pokręciła przecząco głową.

– No wracaj – powtórzył i wysiadł z samochodu.

Nie ruszyła się z miejsca i poczekała, aż znajdzie się koło niej.

– Cholera by cię wzięła, ty skurwysynu – powiedziała, kiedy stanął obok. – Zaraz wsiądą na te swoje cholerne rowery i odjadą.

– No i niech jadą – odparł. – Przecież ich nie znamy. – Jej uporczywe zainteresowanie i malująca się na twarzy fascynacja sprawiły, że w jego umyśle załęgło się jakieś podejrzenie. – A co cię właściwie oni obchodzą? – zapytał. – To tylko dzieciaki, mają najwyżej po osiemnaście

lat. Pewnie przyjechali, żeby popływać w zatoce.

– Ciekawe, czy to rodzeństwo – zastanowiła się Fay. – A może są po ślubie i mają właśnie miodowy miesiąc. Na pewno tutaj nie mieszkają. Przyjechali na krótko. Zastanawiam się, kto mógłby ich znać. Widziałeś może, skąd przyjechali? Z której strony miasteczka? – Patrzyła, jak chłopak i dziewczyna jadą na rowerach po pnącej się pod górę drodze numer jeden. – Może są na wycieczce rowerowej dookoła Stanów Zjednoczonych – powiedziała, przysłaniając oczy dłonią.

Straciła ich z oczu i wrócili do samochodu. Przez całą drogę do domu była zamyślona.

– Mogę zapytać Pete'a, naczelnika poczty – odezwała się. – Jeśli ktokolwiek ich w ogóle zna, to właśnie on. Albo Florence Rhodes.

– Cholera ciężka – zdenerwował się. – A po co chcesz się mi poznać? Chcesz się z nimi pieprzyć? Z którym z nich? Może z obojgiem?

– Są tacy ładni – powiedziała. – Wyglądają, jakby spadli do nas z nieba. Albo ich poznam, albo mnie diabli wezmą. – Mówiła przytłumionym, chropawym głosem, w którym nie było cienia uczucia. – Następnym razem, kiedy ich spotkam, podejść do nich i powiem prosto z mostu, że nie mogę znieść, że nie znam tak fascynujących ludzi jak oni, i zapytam ich, kim, do cholery, są i skąd się wzięli.

– Zdaje mi się, że jesteś tutaj dosyć samotna – stwierdził, czując ogarniające go oburzenie i przygnębienie. – Mieszkasz na wsi, gdzie nie ma nic do roboty i nikogo, z kim warto by się spotykać.

– Po prostu nie mam zamiaru przegapić szansy poznania interesujących ludzi – powiedziała Fay. – A ty byś tak zrobił, gdybyś był na moim miejscu? Wiesz, że nie lubię być sama, kiedy nadchodzi pora kolacji, inaczej człowiek tylko karmi dzieci, zmywa, czyści obrusy i wyrzuca śmieci.

– Brakuje ci towarzystwa – powtórzył. Roześmiała się.

– Brakuje mi jak diabli. Cud, że nie zwariowałam. To dlatego przesiaduję stale w ogrodzie. To dlatego chodzę cały czas w dzinsach.

– Nobliwa dama z hrabstwa Marin – powiedział z przekąsem. – Kawa i ploteczki.

– Tak mnie oceniasz?

– Królowa college'u – dodał. – Dziewczyna ze studenckiej korporacji wychodzi za mąż za zamożnego faceta, przeprowadza się do hrabstwa Marin i zakłada grupę tańca nowoczesnego. – Po prawej zobaczył biały, drewniany dwupiętrowy budynek, gdzie spotykała się ta grupa. – Oto kultura dla farmerów i dojarzy.

– Pocałuj mnie w dupę – rzuciła Fay. A potem żadne z nich nie odezwało się już ani słowem. Patrzyli na drogę nie zwracając na siebie uwagi, aż w końcu znaleźli się na podjeździe przed domem i Charley zatrzymał samochód.

– Któraś z dziewczynek nie zamknęła drzwi – zauważyła Fay cicho, wysiadając. Frontowe

drzwi były otwarte i widać było przez nie ogon collie. Nie czekając na męża, Fay poszła w kierunku domu.

Martwi mnie jej reakcja na widok tych młodych ludzi, pomyślał. No bo dlaczego tak zrobiła? To dowodzi, że czegoś jej brak. Nie dostaje tego, co jej się należy.

To prawda, pomyślał. Żadne z nas tego nie dostaje. Obojgu nam tego bardzo brakuje... Charley pierwszy zauważył chłopaka i dziewczynę i zwrócił na nich uwagę żony. Miękkie, puszyste swetry. Ciepłe kolory. Delikatna skóra, taka świeżość. O czym mogli rozmawiać przyciszonymi głosami? Dziewczyna gładziła chłopaka po twarzy takim uspokajającym i pełnym miłości ruchem... byli gdzieś w swoim świecie, choć stali przed apteką Tomales Bay w sobotnie popołudnie w promieniach świecącego jasno słońca. I żadne z nich się nie pociło...

Ledwo się o nich otarliśmy, pomyślał. Nawet nie zdają sobie sprawy, że istniejemy. Jesteśmy tylko unoszącymi się w powietrzu cieniami, które zmierzają donikąd.

Następnego dnia, kiedy kupował znaczki na pocztę, znów ich zobaczył. Tym razem przyjechał do miasteczka sam; Fay została w domu. Zobaczył ich na rogu ulicy, zatrzymali rowery przy krawężniku i najwyraźniej próbowali podjąć jakąś decyzję.

Pod wpływem nagłego impulsu chciał wyjść z budynku poczty. Zgubiliście się? – mógłby zapytać. Szukacie jakiegoś konkretnego miejsca? Ulice nie mają numerów, miasteczko jest zbyt małe.

Jednak tego nie zrobił. Nie ruszył się z miejsca. A oni odepchnęli rowery od krawężnika i odjechali, ginąc mu z oczu.

Poczuł pustkę.

Niedobrze, pomyślał. Niewykorzystana okazja. Gdyby tu była Fay, na pewno zaraz by do nich wybiegła. Na tym polega różnica między nami: ja się zastanawiam, a ona działa. Ona by to zrobiła, podczas gdy ja zastanawiałbym się, jak to zrobić. Ona by to po prostu zrobiła.

I za to właśnie ją podziwiam, pomyślał. Pod tym względem mnie przewyższa. Przecież wtedy... kiedy się poznaliśmy. Stałbym tam jak kołek, gapił się na nią i bardzo chciał ją poznać. A ona zaczęła ze mną rozmawiać i spytała o samochód. Bez wahania.

Zrozumiał, że gdyby wtedy, w 1951 roku, Fay nie zaczęła z nim rozmawiać w sklepie spożywczym, to nigdy by się nie poznali. Nie byłiby małżeństwem, nie byłoby Bonnie ani Elsie, nie byłoby domu, a on nie mieszkałby nawet w hrabstwie Marin. Ona tworzy życie, pomyślał. Steruje nim, podczas gdy ja siedzę tylko na tyłku i patrzę, jak ono robi ze mną, co chce.

Boże, pomyślał. Nie ma wątpliwości, że ona całkowicie nade mną panuje; czy to nie ona zaaranżowała tę całą historię? Żeby zdobyć mnie i dom?

Wszystkie pieniądze, które zarabiam, pomyślał, idą na utrzymanie tego cholernego domu i urzędzeń, które się w nim znajdują. Ten dom ciągnie, ssie jak gąbka. Pożera mnie i wszystko,

co zarabiam. I kto na tym korzysta? Nie ja.

Jak wtedy, kiedy wyrzuciła mojego kota, pomyślał. Charley znalazł kiedyś kota, który siedział w szopie magazynowej na terenie zakładu, a potem przez cały rok karmił go w biurze – kupował jedzenie dla kotów i przynosił mu resztki z lunchu. Duży, puszysty, szaro-biały kocur przywiązał się do niego przez ten rok i wszędzie za nim chodził, co śmieszyło zarówno Charleya, jak i pracowników. Kot nie zwracał uwagi na nikogo innego. Pewnego dnia Fay podjechała po coś do biura, zobaczyła kota i zauważyła, jak bardzo zwierzę lubi Charleya.

– Dlaczego nie weźmiesz go do domu? – spytała męża, przyglądając się, jak kot układa się wygodnie na biurku.

– Dotrzymuje mi tutaj towarzystwa, kiedy wieczorem siedzę nad papierami – powiedział.

– Nazwałeś go jakoś? – Chciała pogłaskać kota, lecz zwierzak odsunął się od niej.

– Wołam na niego „Prosiak”.

– Dlaczego tak?

– Bo je wszystko, co mu się da – wyjaśnił zakłopotany, jakby ktoś przyłapał go na czymś nieprzyzwoitym albo nie licującym z godnością mężczyzny.

– Dziewczynki byłyby nim zachwycone – powiedziała Fay. – Wiesz, że zawsze chciały mieć kota. Bing jest dla nich za duży, a ta świnka morska, którą dostały w muzeum, cały czas tylko sra albo chowa się po jakichś dziurach.

– Kot by uciekł – powiedział. – Bałby się psa.

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – Zabierzesz go do domu. Nie będziemy go wypuszczać. Damy mu jeść, będzie u nas o wiele szczęśliwszy. W końcu spędzasz tu nie więcej niż jeden wieczór w tygodniu... Słuchaj, zamieszka w ciepłym domu, a koty to uwielbiają, i będzie dostawał kości i resztki z trzech posiłków dziennie. A poza tym ja też chcę kota – dodała, przesuwając dłonią po sierści zwierzęcia.

W końcu udało jej się go przekonać. A jednak, kiedy patrzył, jak próbuje głaskać kota, był przekonany, że Fay wcale nie chce go mieć w domu; była po prostu zazdrosna, bo go lubił i chciał go trzymać w zakładzie, z dala od niej. Kot nie był elementem życia, które Charley wiódł z Fay, a tego już nie potrafiła ścierpieć. Dążyła za wszelką cenę, żeby wciągnąć kota w orbitę swojego oddziaływania, żeby go od siebie uzależnić. Nagle stanął mu przed oczami obraz Fay, która odbiera mu kota, rozpieszcza go, przekarmia, zmusza, by spał na jej kolanach, i to nie dlatego, że tak go lubi, dlatego, iż ważna jest dla niej świadomość, że zwierzę jest jej własnością.

Tego samego wieczoru przywiózł kota w pudełku do domu. Dziewczynki były zachwycone – nalały mu mleka i dały puszkę norweskich sardynek. Całą noc kot spędził w domu i spał na kanapie, najwyraźniej zadowolony. Psa zamknięto na górze w łazience i zwierzęta nie miały możliwości się zetknąć. Fay przez jeden dzień karmiła i zajmowała się kotem, a potem, pewnego wieczoru, kiedy wrócił z pracy, zobaczył, że frontowe drzwi są otwarte. Czując przez skórę, że

stało się coś złego, zaczął szukać żony. Znalazł ją na patio, robiła na drutach.

– Dlaczego drzwi są otwarte? – zapytał stanowczo. – Wiesz przecież, że mieliśmy trzymać kota przez kilka dni w domu.

– Chciał wyjść na dwór. – Wyraz twarzy Fay skrywały wielkie szkła okularów. – Miauczał i dziewczynki chciały go wypuścić, więc w końcu tak zrobiliśmy. Gdzieś tutaj jest, pewnie goni wiewiórki w cyprysach.

Przez kilka godzin krążył po okolicy z latarką, nawołując kota i próbując go odszukać. Nie znalazł nawet śladu. Kota nie było. Fay najwyraźniej się tym nie przejęła i spokojnie podała kolację. Dziewczynki nawet nie wspomniały o kocie. Głowy miały zaprzątnięte mającym się odbyć w niedzielę rano przyjęciem, na które zaprosił je jakiś chłopiec. Z rozpaczą i wściekłością Charley przełknął posiłek i wstał od stołu, żeby wznowić poszukiwania.

– Nie przejmuj się – powiedziała Fay, jedząc deser. – To dorosły kot i nic mu się nie może stać. Zjawi się jutro rano; jeśli nie tutaj, to w zakładzie.

– Myślisz może, że przejdzie dwadzieścia pięć mil do Petalumy? – zapytał z wściekłością.

– Koty potrafią pokonywać tysiące mil – odparła Fay. Kota nigdy już nie zobaczyli. Charley dał ogłoszenie do wychodzącej w Baywood gazety „Press”, lecz nikt się nie zgłosił. Przez ponad tydzień objeżdżał powoli okolicę, wypatrując kota i wołając go.

Przez cały czas miał wrażenie, że Fay zrobiła to celowo. Wzięła kota do domu, żeby go wypuścić. Specjalnie się go pozbyła, bo była zazdrosna.

– Nie jesteś specjalnie poruszona – powiedział smutno któregoś wieczoru.

– Czym? – zapytała, podnosząc wzrok znad garnka. Na dużym stole w jadalni lepiła właśnie naczynia z gliny. W niebieskim kitlu, szortach i sandałach było jej do twarzy. Na brzegu stołu leżał papieros, z którego został już prawie sam popiół.

– Tym, że kot zniknął.

– Dziewczynki bardzo się przejęły, ale powiedziałam im, że kot najlepiej ze wszystkich zwierząt domowych potrafi przystosować się do życia na wolności. A tu są przecież susły i króliki... poczuł pewnie zapach dzikich zwierząt i dostał kręćka, a teraz w lesie doskonale się czuje – dokończyła, odrzucając włosy do tyłu. – Podobno wiele kotów, które trzyma się w tej okolicy, tak robi. Uciekają, jak tylko poczną zapach dzikich zwierząt.

– Nie wspominałaś o tym, kiedy kazałaś mi tu sprowadzić tego kota – powiedział ostrożnie.

Nie zadała sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć. Jej mocne, sprawne palce nadawały kształt glinie; przyglądał się temu i zauważył, z jak wielką siłą formuje tworzywo. Mięśnie jej ramion napinały się i zmieniały kształt; widać było ścięgna. Charley nie powiedział już nic więcej.

– Tak czy inaczej byłeś zbyt zaangażowany emocjonalnie – odezwała się w końcu Fay. – To niezdrowo żyć tyle uczuć do zwierzęcia.

– To znaczy, że pozbyłaś się go celowo! – rzucił podniesionym głosem.

– Nie. Mówię tylko, co myślę. Może to lepiej, że uciekł. Twoje zachowanie dowodzi, że byłeś zbyt mocno zaangażowany; inaczej byś tak nie wariował. Boże, przecież to tylko kot. Masz żonę i dwoje dzieci, a dostałeś kręčka na punkcie kota.

Pogarda w jej głosie sprawiła, że po plecach przebiegł dreszcz. Mówiła w sposób, który najsilniej na niego działał, w tym głosie brzmiała władczość; przypominał mu nauczycieli, matkę, całą tę bandę.

Nie mógł dalej prowadzić tej rozmowy, odwrócił się więc i wyszedł po wieczorną gazetę.

Teraz, na poczcie, kiedy pomyślał o kocie, ogarnęła go straszna samotność i poczucie straty. Kupił znaczki i ruszył w stronę samochodu. Zrozumiał, że niemożność nawiązania kontaktu z chłopakiem i dziewczyną łączy się w jego umyśle z utratą kota. Zerwane związki między żywymi istotami... przepaść między nim a innymi żywymi istotami. Ale dlaczego? – zadał sobie pytanie, kiedy wsiadał do samochodu.

Srać na to wszystko, pomyślał z goryczą.

Głowę miał zaprzątniętą myślami i bardzo niezręcznie wycofał samochód, żeby włączyć się do ruchu. Kiedy przejeżdżał obok Mayfair Market, zobaczył dwa wyścigowe rowery oparte o rampę. To były ich rowery... a więc pojechali do Mayfair. Bez namysłu zatrzymał samochód przy krawężniku, wyskoczył na zewnątrz, przeciął jezdnię, pobiegł chodnikiem, a potem przez otwarte drzwi wpadł do ciemnego, chłodnego wnętrza drewnianego budynku i znalazł się wśród warzyw, półek z butelkami wina i regałów z gazetami.

W głębi sklepu, przy półce z konserwami warzywnymi, stali chłopak i dziewczyna. Szybko ruszył w ich stronę: albo do nich podejdzie, albo miesiącami będą go gnębić wyrzuty sumienia. Fay nigdy by mu nie wybaczyła... pędził w ich kierunku. Stał przed nimi, kiedy wkładali właśnie do koszyka różne paczki, puszki i bochenek chleba.

– Hej! – zawołał, czując, jak uszy oblewają mu się gorącą czerwienią. Chłopak i dziewczyna odwrócili się ku nie mu z uprzejmym zdziwieniem. – Słuchajcie, ja i moja żona zauważyliśmy was wczoraj – powiedział, skubiąc klamrę paska i patrząc w ziemię – to znaczy nie wczoraj, tylko parę dni temu. Mieszkamy w okolicy, w Drake's Landing, to jest pięć mil stąd, koło Paper Mill Creek, za Inverness Park. Moja żona siedzi w domu i usycha z braku towarzystwa. Mamy konia, jeśli chcielibyście sobie pojeździć – dodał jeszcze. – Może byście wpadli, to byśmy sobie pogadali? A może byście się dali zaprosić na kolację?

Chłopak i dziewczyna milcząco wymienili spojrzenia. Porozumieli się bez słów i podjęli decyzję.

– Dopiero niedawno się tutaj wprowadziliśmy – odezwała się dziewczyna miękkiem, cichym głosem.

– Świeżo po ślubie? – zapytał Charley.

Oboje pokiwali głowami. Wyglądali na onieśmielonych i podenerwowanych, lecz

zadowolonych z tego, że do nich podszedł.

– Nie tak łatwo kogoś tu poznać – powiedział, zachwycony, że udało mu się nawiązać z nimi kontakt. Zrobił to, odniósł sukces. Fay poczuje do niego szacunek. – Macie samochód? – spytał. – Ano tak, przecież jesteście na rowerach. Zauważyliśmy rowery. – Usłyszał swój śmiech. – Możemy je wrzucić na tył samochodu.

Chłopak i dziewczyna z namaszczeniem dokończyli zakupów. Charley stał w niedbalej pozie, paląc papierosa i rozglądając się dookoła.

Poszli razem po rowery, a potem do samochodu.

Chłopak nazywał się Nat Anteil. Jego żona miała na imię Gwen. W dzień Nat pracował w małym biurze sprzedaży nieruchomości, a wieczorami wracał do Point Reyes i uczył się. Studiował zaocznie historię na Uniwersytecie Chicagowskim; był na drugim roku. Kiedy skończy, wyjaśnił, otrzyma tytuł magistra.

No i do czego ci to potrzebne? – spytał Charley.

– Może zacznę uczyć – odparł Nat nieśmiało.

– To bardziej dla jego własnej satysfakcji niż po to, żeby zarabiać pieniądze – wyjaśniła Gwen. – Oboje chcielibyśmy wiedzieć, co się dzieje na świecie.

– Ja pracuję w branży metalowej – rzekł Charley. – Ale niech was to nie zraza. Moja żona jest osobą, która przyniosła i tej okolicy kulturę. Dzięki niej odbywają się tu różne zajęcia.

– Rozumiem – powiedziała Gwen, kiwając głową.

– Na przykład zespół tańca nowoczesnego – ciągnął Charley. – A ja należę do jachtklubu w Inverness. Mamy w domu wbudowane w ścianę stereo. Dom sami zbudowaliśmy; zaangażowaliśmy własnego architekta. Boże święty, kosztowało mnie to czterdzieści tysięcy dolarów. Poczekajcie no tylko, aż go zobaczycie; ma dopiero cztery lata. Mamy dziesięć akrów ziemi. – W czasie jazdy opowiedział im wszystko o owcach i o owczarku collie, wylewając z siebie słowa coraz szybciej i szybciej, nie mogąc przestać.

Słuchali go uważnie.

– Możemy pograć w badminton za domem – powiedział Charley, kiedy było już widać cyprysy. – Czekajcie no, aż zobaczycie moją żonę. Cholera, to najładniejsza kobita w całej okolicy. Wszystkie inne wyglądają przy niej jak czarownice. Cholera, nawet po dwójce dzieci ciągle ma rozmiar dwanaście. – Wydawało mu się, że tak brzmi lepiej; a może to była szesnastka? – Ma znakomitą linię – dodał, kiedy skręcali z drogi na podjazd.

– Jakie piękne, duże drzewa – powiedziała Gwen, przyglądając się cyprysom. – To wasze? – A potem odezwała się z przejęciem do męża: – Popatrz na tego collie, jest błękitny.

– Ten pies jest wart pięćset dolców – chwalił się Charty, uszczęśliwiony ich reakcją. Patrzył, jak oglądają dom, jak przyglądają się koniowi skubiącemu trawę na łące.

– Wchodźcie – powiedział, otwierając przed nimi drzwi. – Fay na pewno będzie zadowolona

ze spotkania z wami. – Kiedy wchodzili do środka, wyjaśnił urywanymi zdaniami, jak bardzo jej się spodobali i jak bardzo oboje chcieli ich poznać.

Rozdział 6

Kiedy zobaczyłam, że Charley idzie ścieżką od samochodu w towarzystwie tych cudownych stworzeń, nie mogłam uwierzyć własnym oczom. To był najpiękniejszy prezent, jaki mógł mi zrobić, i kochałam go za to. Odłożyłam książkę i pobiegłam do sypialni, żeby spojrzeć na siebie w lustrze. Dlaczego ten pedzio z Fairfax postanowił tym razem ostrzyć mnie w ten sposób, że włosy miałam z jednej strony dłuższe? Złapałam z szafy bluzkę w niebieskie paski, zapięłam ją na piersiach i wepchnęłam w szorty.

– Kochanie! – zawołał Charley z living roomu. – Zobacz, kogo udało mi się zaprosić!

Stojąc przed lustrem, nałożyłam szminkę na usta, zaczesalam włosy do tyłu, zdjęłam ciemne okulary, w których przyszłam z dworu, a potem popędziłam do living roomu.

Byli tam oboje, rozglądali się nieśmiało po półkach z książkami i płytami, jak dzieci, które zwiedzają jakiś czcigodny zabytek... jak ja kiedyś, gdy pojechaliśmy do misji w Sonomie i stałam w starej kaplicy, gdzie trawa wyrastała spomiędzy pokruszonych glinianych cegieł. Byłam zadowolona, że pani Medini dokładnie wyczyściła podłogę i poodkurzała – przynajmniej dom, w odróżnieniu ode mnie, wyglądał porządnie.

Uśmiechnęłam się do nich, a oni uśmiechnęli się w odpowiedzi. To historyczny moment, pomyślałam. To tak, jakby spotkali się Lewis i Clark. Albo Gilbert i Sullivan.

– Witam – powiedziałam.

– Jaki piękny dom – odezwała się dziewczyna.

– Dziękuję. Czego się napijecie? – spytałam, idąc do barku. Otworzyłam szafkę i wyciągnęłam butelkę dżinu i butelkę wermutu. Byłam jakoś dziwnie podenerwowana i kiedy nalewałam dżin do shakera, spostrzegłam, że go rozlewam. – Jestem Fay Hume – powiedziałam. – A wy jak się nazywacie? Jesteście małżeństwem czy rodzeństwem? Nie mogę się doczekać, kiedy się wreszcie dowiem: muszę to wiedzieć.

– To jest moja żona, Gwen – odrzekł chłopak. – Ja nazywam się Nathan Anteil.

Weszli parę kroków do kuchni i stanęli nieśmiało, patrząc, jak przyrządzam drinki, jak gdyby nie mieli ochoty ich pić, tylko nie wiedzieli, jak mnie powstrzymać. No więc przyrządzałam je dalej. Są małżeństwem, pomyślałam.

– Wyglądasz zupełnie jak mój brat – powiedziałam do chłopaka. A potem ze zdumieniem pomyślałam, że przecież on jest zupełnie niepodobny do Jacka, w ogóle niepodobny. Jack jest potwornie brzydki, a ten chłopak jest śliczny; co się ze mną dzieje? – Nie sądzisz, że on wygląda zupełnie jak mój brat? – zwróciłam się do Charleya.

– No cóż – odparł – obaj są raczej mizerni.

Wydawało mi się, że również on jest niepewny siebie, choć był wyraźnie zadowolony, że

udało mu się ich ze sobą przywieźć.

– Napiję się duńskiego piwa – oznajmił Charley i zwrócił się do Anteilów: – Może chcielibyście ciemnego piwa z importu? – Przeszedł obok mnie i otworzył drzwi lodówki. – Spróbujcie – powiedział, biorąc do ręki otwieracz.

Usiedliśmy w living roomie: Charley i ja na krzesłach, Anteilowie na kanapie. Gwen i ja piłyśmy martini, a mężczyźni piwo.

– Nat zajmuje się nieruchomościami – rzekł Charley. Na twarzy chłopaka pojawił się wyraz niezadowolenia.

Nathan i jego żona wydawali się jacyś nastroszeni.

– To niezupełnie tak – sprostowała Gwen. – Nat studiuje historię – zwróciła się do mnie. – Pracuje w nieruchomościach tylko po to, żebyśmy mieli z czego żyć.

– Przecież nieruchomości to nic złego – bronił się niepewnie Charley, najwidoczniej rozumiejąc, że ich uraził.

– Historię – powiedziałam, zdumiona tym, jakie mamy szczęście. – Mieszka tutaj emerytowany profesor historii Uniwersytetu Kalifornijskiego – hoduje brzoskwinie. Będziemy musieli was przedstawić. Gram z nim raz w miesiącu w szachy. Po drugiej stronie zatoki, w Point Reyes Station mamy natomiast archeologa. A wy gdzie mieszkanie?

– W Point Reyes – odparł chłopak. – Wynajmujemy mały domek na wzgórzu, nad mleczarnią.

– A w Olemie – wtrącił się Charley – jest facet, który pisywał kiedyś artykuły do „Harper’s”. I taki staruszek, który ciągle jeszcze robi ilustracje do „Saturday Evening Post”; mieszka w budynku, w którym kiedyś był ratusz. Kupił go za cztery tysiące dolarów.

Z dalszej rozmowy z Anteilami dowiedziałam się, że przyjechali z Berkeley. Rodzice dziewczyny mieli domek letni w Inverness; Nat i Gwen przyjeżdżali tu i polubili te strony, jak zresztą każdy, kto je tylko zobaczył. W okolicy znali niewielu ludzi, głównie w Inverness. Wiedzieli, gdzie są publiczne plaże, park i jakie ptaki można tu spotkać. Nie byli jednak na żadnej prywatnej plaży, nie znali żadnego z wielkich farmerów i nawet nie słyszeli o ranczu w Bear Valley.

– Mój Boże – powiedziałam. – Będziemy musieli was tam zabrać. Droga jest zagrodzona trzema bramami pozamykanymi na kłódki, ale mogę załatwić klucz; znam tych ludzi i na pewno pozwolą nam przejechać przez grzbiet wzgórza do ich plaży. Ranczo jest takie wielkie, że biega po nim jakieś sześć tysięcy dzikich jeleni.

– Jest ogromne – potwierdził Charley.

Przez chwilę rozmawialiśmy na temat naszej okolicy, a potem opowiedziałam Natowi o pracy na temat rzymskiego wodza Stilichona, którą napisałam w college’u.

– Tak – powiedział Nat, kiwając głową. – To bardzo interesujący okres.

Potem ja i Nat rozmawialiśmy o starożytnym Rzymie Gwen chodziła po living roomie. Teraz, kiedy poznałam ich trochę bliżej, zauważyłam, że istnieje między nimi pewna różnica, na którą wcześniej nie zwróciłam uwagi. Na początku, podglądając ich z dystansu, wrzuciłam ich do jednej szuflady i sądziłam, że są jednakowo atrakcyjni i godni pożądania. Lecz teraz zobaczyłam, że Gwen jest jakaś roztargniona, nieomal bezbarwna. Brakowało jej bystrości męża. Poza tym wydawało mi się też, że wiele z tego podobieństwa między nimi nie było przypadkowe; dziewczyna celowo ubierała się podobnie jak mąż, a to, co mówili, cała ta wspólna dla obojga strona intelektualna, brało się od niego. Gwen niewiele wносиła do rozmowy albo w ogóle milczała. Usuwała się w cień, podobnie jak wiele innych żon.

Wydawało mi się, że Natowi jest przyjemnie porozmawiać z kobietą, która potrafi dotrzymać mu pola w jego własnej dziedzinie. Im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej był poważny: zmarszczył czoło, a jego głos stał się niski i stanowczy. Starannie ważąc słowa, wyłożył mi swoją obszerną teorię na temat sytuacji ekonomicznej Rzymu w okresie rządów Teodoryka. Wydała mi się fascynująca, lecz pod koniec nie słuchałam już zbyt uważnie.

Kiedy przerwał, by przypomnieć sobie nazwę jakiegoś rzymskiego okręgu administracyjnego, nie mogłam się powstrzymać, żeby się nie wtrącić:

– Jesteś jeszcze taki młody.

Otworzył szeroko oczy, przyjrzał mi się uważnie.

– Dlaczego to mówisz? – spytał.

– Bierzesz wszystko tak serio – wyjaśniłam.

– To dziedzina, którą się zajmuję – odparł szorstko.

– Wiem – powiedziałam. – Ale tak bardzo się angażujesz. Ile masz lat? No powiedz. Wydaje mi się, że jesteś o wiele młodszy od nas.

– Dwadzieścia osiem – rzekł Nat z wyraźną trudnością.

To mnie zdumiało.

– Boże drogi – powiedziałam. – Myśleliśmy, że macie najwyżej po osiemnaście albo dziewiętnaście. Należycie do innego pokolenia. – Teraz jego twarz pociemniała jeszcze bardziej.

– Ja mam trzydzieści jeden – ciągnęłam. – Jestem tylko o trzy lata starsza, ale, na miłość boską, należę do innego pokolenia.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę na temat naszej okolicy, a potem Anteilowie wstali i powiedzieli, że muszą już iść. Byłam zmęczona. Było mi żal, że wychodzą, ale jednocześnie w gruncie rzeczy to spotkanie mnie rozczarowało. Nie wynikło z niego nic istotnego, chociaż sama nie wiem, czego się właściwie spodziewałam. Umówiliśmy się nieobowiązujuco na obiad pod koniec tygodnia, a potem powiedziałam Charleyowi, żeby odwiózł ich do domu.

Kiedy wyszli, poszłam do łazienki i wzięłam kilka tabletek anacyny. Bolała mnie głowa; pomyślałam, że to pewnie z przemęczenia oczu. Wróciłam jednak do living roomu i wzięłam

z półki książkę Roberta Gravesa na temat Rzymu; wyszłam na patio, ułożyłam się wygodnie na szezlongu i zaczęłam po raz kolejny czytać tę książkę. Od ładnych kilku lat nie czytałam niczego o cesarstwie rzymskim i pomyślałam, że jeżeli mam jeszcze rozmawiać na ten temat z Natem, to powinnam się ostro przyłożyć.

Jakie to wszystko dziwne... tak bardzo chcieliśmy poznać Anteilów, tak bardzo ciągnęło nas do nich, a teraz, kiedy to się stało... nie, to z pewnością nie uczucie znudzenia, ale... jakoś nie to, czego oczekiwaliśmy. A jednak czułam się niesamowicie spięta. Całe moje ciało, wszystkie mięśnie były naprężone i napięte. Odłożyłam książkę, poszłam do kuchni i nalałam sobie jeszcze jedno martini. Byłam podenerwowana i zirytowana. Drażniło mnie światło słoneczne, a to zawsze oznaczało, że zaczynam popadać w paskudny nastrój. A może byłam znowu w ciąży. Bolały mnie nogi: wszystkie duże mięśnie ud rwały mnie tak, jakbym przez ostatnie kilka godzin nosiła jakieś ogromne ciężary. Położyłam się na betonie patia i zaczęłam ćwiczyć. Mimo wszystko potrafiłam podnosić nogi tak wysoko, jak zawsze. Brzuch jednak miałam nieco wyдутy. Wzięłam więc rydel i zaczęłam pielić ogród, to niezły trening, takie klękanie i wyrywanie chwastów. Najlepszy na świecie trening.

Zdaje się następnego dnia po południu zadzwoniła Mary Woulden w sprawie pieniędzy ze sprzedanych przez Drodzy fistaszków. W czasie rozmowy wspomniała, że Anteilowie mówili, iż poznali Charleya i mnie.

– O mój Boże – powiedziałam. – Znasz ich? Czemu wcześniej nie mówiłaś? Wyczynialiśmy cuda, żeby ich poznać. Kiedy pierwszy raz ich zobaczyliśmy, postanowiliśmy sobie, że musimy się z nimi jakoś zapoznać i zaprosić do domu, aż w końcu musieliśmy bez żadnych ceremonii podejść do nich, przedstawić się i zaprosić.

– Oni są tacy słodcy – odrzekła Mary. – Od lat przyjeżdżali do Inverness, ale dopiero od niedawna wynajmują dom przez cały rok. Kiedyś bywali tu tylko latem, to dlatego ich nie widziałaś. Wiesz, jacy są letnicy; cały czas przesiadują na plaży McClure. – A potem rąbnęła mnie między oczy. Bez żadnego ostrzeżenia. – Zdaje się, że nie zrobiłaś na nim najlepszego wrażenia.

– Dlaczego? – spytałam niepewnie, mając się na baczności. Od razu zaczęło mi się robić na przemian zimno i gorąco. – Wydawało mi się, że dobrze się bawią... robiliśmy wszystko, żeby się dobrze czuli. Boże święty, właściwie zabraliśmy ich prosto z ulicy.

– Ona cię polubiła – powiedziała Mary. – I myślę, że on też. Powiedział, o ile pamiętam... że zrobiłaś na nim wrażenie osoby apodyktycznej. – A potem dodała: – Tak naprawdę, to powiedział, że niezbyt za tobą przepada.

– No cóż, spieraliśmy się na tematy historyczne – odparłam, czując, jak kark oblewa mi fala żaru. – Może mu się nie podobało, że rozmawia na swój ukochany temat z kobietą.

Pomówiliśmy jeszcze o różnych drobiazgach i odłożyłam słuchawkę. Zaraz potem zadzwoniłam do informacji i porosiłam o numer Anteilów. Kiedy siedząc na łóżku, wykręcałam ten numer, zauważyłam, że trzęsą mi się ręce. Właściwie trzęsłam się cała z oburzenia i z paru innych przyczyn, nad których naturą nie miałam czasu się zastanowić.

Odebrał Nathan.

– Słucham.

– Coś ci powiem – zaczęłam, starając się, by mój głos brzmiał spokojnie. Myślę, że mi się to udało. – Być może nie rozumiem, co dzieje się w umyśle mężczyzny, ale według mnie ktoś, kto opowiada jakieś historie o innych ludziach za ich plecami i nie ma odwagi powiedzieć im prosto w oczy tego, co myśli... – Nie wiedziałam, jak mam skończyć to zdanie. – Czy źle was przyjęliśmy? – zapytałam i w tym momencie głos mi się załamał.

– Z kim rozmawiam? – zapytał Nat Anteil.

– Mówi Fay Hume.

– Wygląda na to, że dotarły do ciebie uwagi rzucone mimowolnie podczas jakiejś rozmowy.

– Owszem – przyznałam, łapiąc raptownie powietrze i starając się, żeby Nat nie usłyszał tego dyszenia w słuchawce.

– Pani Hume – powiedział powoli przygnębionym głosem – przykro mi, że pani tak się zdenerwowała. Zapewniam panią, że niepotrzebnie.

– To denerwujące, jeśli ktoś udaje, że docenia czyjąś gościnność, a potem opowiada na temat tej osoby głodne kawałki. Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli zacznę rozmawiać z panem pańskim językiem? Miałam na studiach zajęcia z historii. Lubię rozmawiać o epoce rzymskiej. Być może nie jestem nazbyt kompetentna, ale...

– Trudno o tym dyskutować przez telefon – przerwał mi Nat Anteil.

– A co proponujesz? – zapytałam. – Szczerze mówiąc, nie mam ochoty z tobą na ten temat rozmawiać. Chciałam po prostu, żebyś wiedział, co czuję – powiedziałam i odłożyłam słuchawkę.

W tej samej chwili zrozumiałam, że zachowałam się jak rozhisteryzowana idiotka. Nie powinni ci dawać telefonu do ręki, pomyślałam. Wstałam z łóżka i zaczęłam chodzić po sypialni. Teraz to się rozniesie po całym miasteczku uświadomiłam sobie. Fay Hume wydzwania po całym Point Reyes i bredzi, jakby była pijana. To właśnie powiedzą – że byłam pijana. Przyjedzie po mnie szeryf Chisholm. Może powinnam sama do niego zadzwonić, żeby wyeliminować pośredników.

Nie wiedziałam, co robić, miałam jednak wrażenie, że zostawiłam sprawę rozgrzebaną i że ktoś powinien tutaj coś zrobić. No i jak ja teraz wyglądam: gospodyni, pani tego wspaniałego domu, której tak zależy na tym, żeby jak najlepiej ugościć przyjaciół i zabawić ich rozmową, której nie zapomną... jeszcze parę takich numerów i w ogóle przestanę odgrywać rolę gospodyni.

Co za faux pas. Zachowujesz się jak dziecko, pomyślałam. Gorzej niż Elsie albo Bonnie. Nawet pies potrafi się opanować i zachować bardziej dyplomatycznie.

Tego samego wieczoru zjawiała się u nas Gwen Anteil. Zmywaliśmy właśnie z Charleyem naczyńia, a dziewczynki oglądały telewizję.

– Przepraszam, że przeszkadzam – odezwała się Gwen w ten swój słodki, lecz jakby nieszczerzy sposób. – Mogę na chwilę wejść? – Oparła rower o róg werandy. Była w spodniach, których wąskie nogawki kończyły się nad kostką, i w koszulce z długimi rękawami. Włosy miała związane z tyłu, a jej twarz była zaczerwieniona, pewnie od jazdy.

– Bardzo proszę – powiedział Charley.

Nie mówiłam mu ani o telefonie od Mary, ani o tym, że zadzwoniłam do Anteila, więc na chwilę straciłam rezon; od razu zrozumiałam, że Gwen przyjechała w sprawie tego, co zaszło między mną a jej mężem, i wiedziałam, że będzie to trudna rozmowa. Musiałam się jakoś pozbyć Charleya, więc powiedziałam:

– Kochanie, musimy porozmawiać o czymś, co i tak ciebie nie dotyczy. – Położyłam mężowi rękę na ramieniu i popchnęłam go w kierunku gabinetu. – Zostawisz nas przez chwilę same, dobrze? – Zanim zdążył się zorientować, co się właściwie dzieje, był już w gabinecie, a ja zamykałam za nim drzwi.

– Cholerne baby i cholerne babskie gadanie – zrzędził jeszcze ponuro, lecz już włączył lampę na biurku. – Sama przyszła? – zapytał. – Jak się pokaże Nat, to przyslij go tu do mnie. – Już się szykował, żeby znowu zacząć narzekać, ale zamknęłam drzwi, odwróciłam się do Gwen i przestałam o nim myśleć.

– Jestem winna przeprosiny twojemu mężowi – powiedziałam.

– Właśnie w tej sprawie tu przyjechałam – odparła Gwen. – Nat jest bardzo przejęty, że powiedział coś, co spowodowało, że się martwisz. Byliście dla nas tacy mili w czasie tej wizyty. – Nie wykonała żadnego ruchu, który wskazywałby na to, że chce usiąść; stała przy drzwiach jak uczennica, która recytuje wyuczony kawałek. – Nie powiedziałam mu, że tutaj przyjadę, żeby załagodzić całą tę sprawę. To historia, którą ktoś trzeci mógłby niepotrzebnie rozdmuchać. Nat was lubi. Tak strasznie mu zależy, żeby usunąć tę przeszkodę z drogi. Powiedziałam mu, że jadę odwiedzić państwa McRae – dodała. – Zdaje się, że ich znacie.

– Tak – odparłam z roztargnieniem. Starłam się dociec, czy to on ją przysłał, czy też sama wpadła na ten pomysł. Jeżeli to jej pomysł, to możliwe, że jemu nie zależy na tym, żeby układy między nami się poprawiły, a ona sądzi po prostu, że na wsi, gdzie mieszka niewielu ludzi, nikt nie może sobie pozwolić na podobne zerwanie stosunków, a już na pewno nie ktoś, kto właśnie się tu sprowadził, chce się żyć i być akceptowany przez okolicznych mieszkańców. Właściwie cała ich pozycja towarzyska zależała teraz od zaleczenia tej rany. Ja mogłam sobie pozwolić na to, żeby z nimi zerwać, ale czy oni mogli sobie pozwolić na to, żeby nie spotykać się

z Hume'ami? Ta dziewczyna na pewno o tym myślała; miała to wypisane na tej swojej głupawej buzi. – Byłabym bardzo zadowolona, gdybym mogła utrzymywać dobre stosunki z twoim mężem – powiedziałam. – Wydaje mi się, że jest uparty i zbyt zapatrzony w siebie i w swoje poglądy, ale i tak jesteście oboje wspaniali. Ta cała sprawa to zwykle nieporozumienie. – Uśmiechnęłam się do Gwen.

Lecz zamiast odpowiedzieć mi uśmiechem, Gwen oświadczyła:

– Myślę, że powinniście uważać, żeby nie wynosić się nad innych ludzi tylko dlatego, że macie duży dom. – A potem, nie mówiąc już ani słowa, wyszła z domu, wsiadła na rower, włączyła przednie światło i odjechała.

Chryste Panie!

Stałam w drzwiach i patrzyłam za nią, zastanawiając się, która z nas właściwie zwariowała. Potem pobiegłam po torebkę, pognałam w kierunku buicka, wskoczyłam za kierownicę, włączyłam silnik i pojechałam jej śladem. Oczywiście zaraz ją dogoniłam. Pedalowała ile sił w nogach. Podjechałam bliżej i jadąc z tą samą co ona szybkością, wychyliłam się z okna i zawołałam:

– A co, na miłość boską, teraz takiego zrobiłam?!

Nie odpowiedziała, tylko jechała dalej.

– Posłuchaj – powiedziałam. – To jest małe miasteczko i wszyscy musimy ze sobą dobrze żyć. Przekonasz się, to nie tak, jak w dużym mieście, tu nie można być wybrednym. Co ja takiego powiedziałam? Nie rozumiem.

– Wracaj do tego swojego wielkiego domu – rzuciła Gwen po chwili.

– Jesteś u nas zawsze mile widziana – powiedziałam.

– A pewnie.

– Naprawdę. Przysięgam, że tak jest. Co mam zrobić, żeby ci to udowodnić? Mam paść na kolana i zacząć błagać, żebyś wróciła? Dobrze, zrobię tak, jeśli będę musiała. Błagam, żebyś wróciła, porozmawiała ze mną jak dorosła osoba i przestała zachowywać się jak dziecko. Co z wami jest? Jesteście dorośli? Jesteście małżeństwem czy parą dzieciaków? – Teraz podniosłam głos. – Ta cała sprawa to trochę za dużo jak na mój gust! Dlaczego nie możemy zostać przyjaciółmi? Dostałam bzika na twoim punkcie i na punkcie twojego męża. Skąd się wzięła ta kłótnia?

– Może jesteśmy zbyt przeczuleni, bo za młodo wyglądamy – odezwała się Gwen po dłuższej chwili.

– Mój Boże! – wykrzyknęłam. – Chciałabym wyglądać tak młodo jak ty. Na miłość boską, jak bym chciała! Jesteście oboje tacy cudowni, jakbyście zeszli do nas prosto z nieba. Nigdy przedtem nie widzieliśmy takiej pięknej pary. Chciałabym was oboje uściskać... szkoda, że nie mogę was adoptować albo co. Wróć, proszę. Mam pomysł – powiedziałam, podjeżdżając do

roweru tak blisko, jak to było możliwe. – Zabierzemy twojego męża, zawiozę was do Western i zjemy sobie rybę na obiad. Jadłaś już obiad? Albo pojedziemy do Drake's Arms i tam zjemy. Proszę. Dajcie się zaprosić. Zróbcie mi przyjemność – poprosiłam najbardziej błagalnym tonem, na jaki było mnie stać.

W końcu dziewczyna zmiękła.

– Nie musisz nas zapraszać na obiad.

– Byłaś już w Drake's Arms? Pogramy sobie w strzałki. Wiesz co, będę grała przeciwko wam, po dolarze za rundkę. Wygram z każdym, no chyba żeby zjawił się pan Oko.

W końcu się poddała. Wrzuciłam rower na tył samochodu, Gwen usiadła obok mnie, cała spocona po jeździe, a potem przycisnęłam pedał gazu. Czułam się szczęśliwa, no raz pierwszy od wielu miesięcy szczęśliwa. Czułam, że osiągnęłam coś ważnego, przełamalam lody i dotarłam do tych wspaniałych, pięknych ludzi, którzy byli tak nieśmiali, tak wrażliwi, których tak łatwo zranić. Przysięgłam sobie, że będę ostrożniejsza i że nie obrażę ich tym moim aroganckim zachowaniem. Po tym, jak się poniżyłam – właściwie nawet upokorzyłam – żeby ponownie zdobyć ich przyjaźń nie chciałam niczego zmarnować.

Sama wiesz, jaka jesteś, Fay, pomyślałam. Wiesz, że twój niewyparzony język zawsze wplątuje cię w jakieś kłopoty; zawsze mówisz to, co akurat przychodzi ci do głowy, zupełnie nie myśląc o konsekwencjach.

– Kiedy mnie lepiej poznasz – powiedziałam – nauczysz się nie zwracać na mnie uwagi. Jestem prostytutka i ordynarna. Kiedyś w bibliotece publicznej powiedziałam „pierdolić” w obecności bibliotekarki. Myślałam, że umrę. Chciałam, żeby ziemia się pode mną zapadła. Nigdy już tam nie poszłam: nie mogłabym jej spojrzeć w oczy.

Gwen zaśmiała się cicho i, jak mi się wydawało, trochę niepewnie.

– Nauczyłam się tak mówić od Charleya – wyjaśniłam, a potem opowiedziałam jej o zakładzie, o tym, ilu ludzi tam pracuje i ile Charley wyciąga z niego w ciągu roku. Wydawało mi się, że ją to zainteresowało, przynajmniej do pewnego stopnia.

Rozdział 7

Kiedy po drodze do ich domu w hrabstwie Marin przejeżdżaliśmy przez park Samuela P. Taylora, zrobiło mi się niedobrze z powodu ostrych zakrętów. Za każdym razem, kiedy Charley skręcał, wydawało mi się, że samochód wyleci z szosy. Charley i Fay znali tę trasę tak dobrze, że wiedzieli dokładnie, jak mocno można przycisnąć pedał gazu. Miał na godzinę więcej i samochód znalazłby się w strumieniu. W pewnej chwili jechaliśmy nawet sześćdziesiątką. Większość kierowców musiałaby tam zwolnić do dwudziestu pięciu, a zwłaszcza niedzielni kierowcy, którzy nie potrafią szybko jeździć. Poza tym Charley jechał całą szerokością drogi, a nie tylko swoim pasem, i zjeżdżał do przeciwległego skraju szosy. Wydawało się, że jakimś cudem wie, czy z przeciwka nadjeżdża inny samochód, chociaż ja widziałem tylko drzewa. Fay, która siedziała obok niego, nie okazywała żadnego zdenerwowania. Robiła wrażenie, jakby zaraz miała zasnąć.

Moje rzeczy podskakiwały i przesuwały się. To było dziwne uczucie, ponieważ były tu ze mną i poruszały się, zamiast leżeć w pokoju. Z powodów praktycznych zrezygnowałem z tego pokoju i miałem zamieszkać w domu siostry i jej męża – właściwie nie miałem już własnego kąta. To było tak, jakby człowiek wracał do dzieciństwa. Było mi smutno i źle. Tylko ładny widok za oknem sprawiał, że czułem się trochę lepiej. Z tego, co mi mówili, potrafiłem sobie wyobrazić, jak wygląda ich dom – bardzo elegancki – wszystkimi najnowszymi gadżetami.

Żeby nie tracić ducha, zacząłem myśleć o zwierzętach. Kiedy chodziłem do szkoły średniej, przez pewien czas pracowałem u weterynarza: zamiatałem, sprzątałem klatki, pomagałem ludziom wynosić zwierzęta z samochodu, karmiłem zwierzęta, które mieliśmy pod opieką, i usuwałem te które zdechły. Lubiłem towarzystwo zwierząt. Dawno temu kiedy miałem jedenaście lat, całymi godzinami potrafiłem łapać owady i je badać. Rozcinałem wielkie żółte ślimaki. Łapałem muchy i wieszałem je na nitkach... jednak ciężar muchy zwykle nie wystarczał, żeby pętla się zacisnęła, trzeba więc było pociągnąć muchę w dół. Wtedy oczy wyłaziły jej na wierzch, a łepiek odpadał.

Kiedy dojechaliśmy na miejsce, Charley pomógł mi wnieść kartony z moimi rzeczami do położonego na tyłach pokoju, który postanowili oddać mi do dyspozycji. Najwyraźniej służył im dotychczas za magazyn; musieliśmy wynieść całe stosy narzędzi ogrodowych, nie używanych już dziecięcych gier i zabawek, a nawet posłanie, na którym kiedyś sypiał ich collie.

Zamknąłem drzwi i zacząłem wieszać ubrania w szafie i rozkładać inne rzeczy, żeby w pokoju zrobiło się swojsko. Ważne informacje poprzyklepiałem taśmą klejącą do ściany. Kolekcję kamieni porozkładałem po kątach. Na koniec włożyłem głowę do torby, w której trzymałem zbiór kapsli z butelek po mleku, i wciągnąłem w nozdrza kwaśny zapach tych kapsli,

zapach, który towarzyszył mi od czwartej klasy. Poczułem się raźniej i po raz pierwszy wyjrzałem przez okno.

Obiad, który jedliśmy tego dnia, pozwolił mi się przekonać, w jakim luksusie żyje moja siostra. Kazała Charleyowi pójść na patio i upiec na węglu drzewnym rumsztyki, a sama przyrządzała w tym czasie przystawki z siekanych mały i zapiekanych w serze angielskich bułeczek, martini, sałatkę z awokado, pieczone ziemniaki, włoską fasolkę, którą sami wyhodowali, a którą teraz Fay wyjęła z zamrażarki – a na deser były czarne jagody, które zebrali poprzedniego lata w okolicy przylądka. Fay i Charley pili kawę, a dziewczynki i ja dostaliśmy mleko.

Po obiedzie nosiłem dziewczynki na plecach, a Fay i Charley siedzieli w living roomie, pili drugie martini i słuchali tej swojej muzyki dla jajogłowych. Na kominku paliły się dębowe polana, które przynieśli ze stosu przy ścianie domu. W życiu nie czułem się tak świetnie; zaraz zacząłem bawić się z dziewczynkami i strasznie się cieszyłem, że mogę nimi kołysać, podrzucać je i łapać, że mogę się z nimi bawić w chowanego. Ich krzyki najwyraźniej zdenerwowały Fay, bo zerwała się nagle i zaczęła wkładać naczynia do zmywarki.

Później pomogłem położyć dziewczynki do łóżek. Przeczytałem im kawałek z książki o krainie Oz. Czułem się dziwnie, kiedy czytałem im jedną z historii, które tak dobrze znałem... te książki stały się częścią mojego życia, a córki Fay urodziły się dopiero w latach pięćdziesiątych. W czasie drugiej wojny światowej w ogóle nie było ich jeszcze na świecie.

Zdałem sobie sprawę, że pierwszy raz w życiu mam do czynienia z dziećmi.

– Masz wspaniałe córki – powiedziałem do Fay, kiedy wyszedłem z ich pokoju.

– Wszyscy tak mówią, więc widocznie to prawda – odparła. – Ja uważam, że jest z nimi masa roboty. Lubisz się z nimi bawić, ale jakby ci latami dzień w dzień nie dawały spokoju... inaczej by było, gdybyś musiał wstawać codziennie o siódmej i robić im śniadanie.

Robienie śniadania to było coś, czego moja siostra nienawidziła. Lubiła długo się wylegiwać, tak do dziewiątej albo dziesiątej, ale ponieważ dziewczynki chodziły do szkoły, nie miała wyboru i musiała wcześniej wstawać. Charley musiał oczywiście jechać do zakładu, nie mógł więc przejąć obowiązku ubierania dziewczynek, czesania im włosów, robienia drugiego śniadania, pilnowania, żeby zabrały wszystkie podręczniki i tak dalej. Po jakimś tygodniu przekonałem się, że wcale nie przeszkadza mi to, że wstaję rano, nakrywam do stołu, nastawiam wodę na owsiankę, przygotowuję kanapki z masłem orzechowym i dżemem, nalewam zupę pomidorową do termosów, odsuwam zasłony, smażę boczek, kroję grejpfruty, zapinam dziewczynkom sukienki, a po śniadaniu sprzątam ze stołu, zmywam naczynia, wynoszę śmieci i na koniec zamiatam podłogę wokół stołu. W tym czasie Charley golił się, ubierał, zjadał jajko na miękko, grzanekę, wypijał kawę i wyruszał do Petalomy. Około dziewiątej wstawała Fay, brała prysznic, ubierała się, wynosiła filiżankę kawy i talerz musu jabłkowego na patio, jadła, czytała

„Chronicle” – jeśli ktoś pomyślał o tym, żeby pójść po gazetę – a potem siedziała samotnie i paliła papierosy.

Przyjemność sprawiało mi nie tylko przygotowywanie śniadań, ale także pilnowanie dziewczynek wieczorami, co dla Fay było prawdziwym błogosławieństwem. Oznaczało to, że znów może zacząć wychodzić i odwiedzać znajomych, jeździć nad zatokę, do kina i do teatru. Mogła nawet trzy razy w tygodniu, a nie tylko raz, odwiedzać swojego psychoanalityka w San Francisco, a wszystko dlatego, że ani ona, ani Charley nie musieli się martwić, że siedzę zbyt długo w noc, tak jak to było z nastoletnimi opiekunami do dzieci. Fay i Charley mogli sobie zostać w mieście tak długo, jak chcieli, i pójść na przyjęcie albo do baru. W piątki rano jeździłem z siostrą do Petalomy, nosiłem torby z zakupami i po powrocie do domu rozkładałem wszystko na właściwych miejscach, a nawet paliłem niepotrzebne torby i kartony w spalarni do śmieci.

W zamian za to dostawałem naprawdę wspaniałe posiłki, mogłem jeździć na koniu i bawić się z dziewczynkami. Wbiliśmy w ziemię metalowy słup do tether ballu i prawie każdego popołudnia graliśmy w tę grę. Zacząłem w niej być zupełnie niezły.

– Wiesz co – rzekł kiedyś do mnie Charley – minąłeś się powołaniem. Powinieneś być kierownikiem placu zabaw albo pracować w YMCA. Nie widziałem jeszcze nikogo, kto by tak lubił dzieci. I ten hałas ci nie przeszkadza. A mnie tak – Wieczorem Charley zawsze wyglądał na zmęczonego.

– Wydaje mi się, że rodzice powinni spędzać więcej czasu z dziećmi – powiedziałem.

– A jak? – odezwała się Fay. – Dzieci cały czas plątają się pod nogami. Dzieci lepiej rosną, jeśli dorośli im za bardzo nie przeszkadzają. Powinno się je zostawić samym sobie.

Była zadowolona, że pilnuję dziewczynek, że się z nimi bawię, ale nie akceptowała tego, że mieszam się do sporów, które siostry nieustannie toczyły. Fay zawsze pozwalała im wyklócić się do końca, lecz ja zauważyłem, że starsza z nich, bardziej rozwinięta umysłowo i o wiele roślejsza, zawsze wygrywa. To nie było w porządku i czułem, że powinienem się wtrącić.

– Dzieci mogą nauczyć się sprawiedliwości tylko od dorosłych – powiedziałem do Fay.

– Co ty możesz wiedzieć o sprawiedliwości? – zdziwiła się. – Siedzisz w moim domu i napychasz sobie brzuch za darmo. Skąd ty się tu w ogóle wzięłeś? – spytała mnie z tym na pół autentycznym, na pół kpiącym rozdrażnieniem, które tak dobrze znałem; mieszała powagę z ironią w taki sposób, że nigdy nie można było zgadnąć, czy mówi serio. – Kto cię tu przywiózł?

Nie czułem się winny. Dawałem bardzo wiele w zamian za to, co dostawałem: przejąłem większą część prac domowych, które przedtem wykonywała Fay, a ponieważ zajmowałem się także dziewczynkami, mogli oszczędzić sporo pieniędzy. Sama opieka nad dziećmi przynosiła im przeciętnie trzy dolary oszczędności za wieczór – a w ciągu miesiąca dawało to czasami

sześćdziesiąt, a nawet siedemdziesiąt dolarów. Wszystkie te liczby zapisałem sobie w notatniku; wyliczyłem, ile kosztuje ich moje utrzymanie, a ile im przynoszę. Jedynym autentycznym obciążeniem ich budżetu był koszt jedzenia. Ale ja nie przejadałem sześćdziesięciu dolarów miesięcznie, więc już samą opieką nad dziewczynkami zarabiałem na siebie. Moja obecność nie powodowała znacznego podwyższenia rachunków za ogrzewanie czy wodę chociaż oczywiście kąpałem się i myłem, a moje rzeczy trzeba było wkładać do automatycznej pralki. A poza tym chodziłem po domu i wyłączałem niepotrzebne światła oraz skręcałem termostaty w tych pokojach, w których akurat nikogo nie było, więc według moich szacunków – chociaż muszę przyznać, że trudno coś takiego oszacować – przyczyniałem się do obniżenia bieżących rachunków. Jeżdżąc na koniu, przedłużałem życie zwierzęcia, ponieważ koń, na którym się nie jeździ, obrasta tłuszczem, co z kolei powoduje nadmierne obciążenie mięśnia sercowego.

A co najważniejsze – choć nie można tego wycenić w dolarach i centach – sprawiłem, że poprawiła się atmosfera wokół dziewczynek. Miały we mnie kogoś, kto o nie dba, kto chętnie się z nimi bawi, kto potrafi ich wysłuchać i okazać uczucie. Nie uważałem tego za narzucony z zewnątrz obowiązek lub część codziennej rutyny. Zabierałem je na długie spacerunki, kupowałem w sklepie gumę do żucia, oglądałem z nimi w telewizji serial Gunsmoke i sprzątałem w ich pokojach.

I jeszcze coś: ponieważ zająłem się ciężką robotą w domu, na przykład szorowaniem podłóg, Fay mogła zwolnić panią Medini, sprzątaczkę. Trzeba wziąć pod uwagę, że obecność pani Medini zawsze denerwowała Fay: wydawało się jej, że pani Medini ciągle przysłuchuje się temu, co się mówi, a moja siostra zawsze ceniła sobie prywatność. Był to jeden z głównych powodów, dla których zawsze chciała mieć duży dom na wsi, z dala od ludzi.

Pewnego sobotniego popołudnia, kiedy Fay była na zakupach w San Rafael, a dziewczynki u Edith Keever, gdzie bawiły się z jej dziećmi, Charley zagadnął mnie na polu koło zagrody dla kaczek. Ciągnął właśnie nową rurę do poidła.

– Nie przeszkadza ci, że musisz zajmować się domem? – zapytał.

– Nie – odpowiedziałem.

– Uważam, że mężczyzna nie powinien zajmować się taką robotą. – A potem dodał: – I nie sądzę, że moje córki powinny na to patrzeć. Mogłyby nabrać przekonania, że kobieta może rządzić mężczyzną.

Nie odpowiedziałem mu. Nie przyszło mi nic odpowiedniego do głowy.

– Nie może mnie zmuszać, żebym zajmował się zamiast niej tą idiotyczną robotą – rzekł jeszcze.

– Rozumiem – odpowiedziałem uprzejmie.

– Mężczyzna musi mieć swoją godność. Zajmowanie się domem odbiera mu męskie cechy.

Gdy tylko się do nich wprowadziłem, spostrzegłem, jak bardzo Charley jest drażliwy na punkcie Fay. Wyglądało na to, że nie znosił, by go o cokolwiek prosiła, nawet wtedy, gdy chciała tylko, aby jej pomógł w ogrodzie. Pewnego wieczoru, kiedy poprosiła go, by otworzył jakiś słoik czy puszkę – nie widziałem dokładnie, co to było, choć specjalnie wyszedłem ze swojego pokoju, żeby popatrzeć – Charleyowi puściły nerwy. Rąbnął tym czymś o ziemię i zaczął obrzucać Fay obelgami. Zanotowałem to sobie, ponieważ zacząłem tu spostrzegać pewną prawidłowość.

Tak mniej więcej raz na tydzień Charley urywał się z domu. Zwykle jeździł do Western Bar albo do swojego ulubionego baru w Olemie i wlewał w siebie piwo. Wyglądało to na system, który pozwalał mu skanalizować niechęć do mojej siostry. Kiedy tego nie robił i dusił ją w sobie, stawał się kłótniwy i humorzasty. Gdy wypił parę głębszych, robił się w stosunku do Fay agresywny. Nigdy nie widziałem, aby ją uderzył, ale z jej reakcji, kiedy Charley wracał z baru, mogłem się domyślić, że w takich razach naprawdę się go boi. Nie sądzę, żeby zdawała sobie sprawę, dlaczego Charley pije i że w ten sposób uwalnia nagromadzoną w sobie niechęć. Sądziła raczej, że winny jest temu jego spaczony charakter albo jakaś wada typowa dla wszystkich mężczyzn.

Za każdym razem, kiedy wychodził na popijawę, Fay stawała się bardzo oficjalna. Gnębiła go cichymi i racjonalnymi wymówkami. Przez pewien czas udawało się jej utrzymywać go w przekonaniu, że jest coś złego w tym, że wychodzi z domu i pije, a potem wraca i zabiera się do bicia. Zamiast przyjąć, że jest to prosty sposób, w jaki Charley upuszcza nagromadzoną w sobie parę, postanowiła uznać jego zachowanie za objaw jakiejś głębokiej, a nawet niebezpiecznej skazy.

A może tylko udawała, że tak myśli. W każdym razie uważała go za człowieka o spaczonym charakterze, za kogoś, komu należy stawić czoło. Przyjąwszy tę zasadę, wykorzystywała każdy jego wyskok dla swoich celów. Im mocniej jej się przeciwstawiał tym wychodzeniem, upijaniem się, wygadywaniem i wymachiwaniem pięściami po powrocie, tym wyraźniejszy stawał się jego obraz w oczach Fay. A był to obraz, który na trzeźwo Charley też musiał akceptować. Cały dom był przesiąknięty atmosferą, którą wspólnie stworzyli ta opanowana kobieta i mężczyzna poddający się zwierzęcym impulsom. Fay szczegółowo informowała męża o tym, co doktor Andrews z San Francisco, jej psychoanalityk, sądzi na temat jego wyskoków i okazywanej przez niego wrogości. Płaciła pieniędzmi Charleya za to, by doktor Andrews katalogował jego nienormalne zachowania. Oczywiście Charley nigdy nie usłyszał niczego bezpośrednio od lekarza; nie mógł nic poradzić na to, że dowiadywał się od Fay tylko tego, co było jej na rękę. Również doktor Andrews nie mógł dociec, ile prawdy jest w tym, co Fay mu opowiada. Bez wątplenia podawała mu tylko te fakty, które pasowały do stwarzanego przez nią obrazu, tak więc zdanie doktora o Charleyu było oparte na tym, co Fay chciała, a lekarz o nim wiedział.

Doprowadziła do sytuacji, w której redagowała zarówno informacje wchodzące, jak i wywodzące i bardzo niewiele działało się poza jej kontrolą.

Jak każdy prostak, Charley gderał na to, że Fay chodzi i lekarza, a mimo to wierzył w jej sprawozdania z tych wizyt jak w ewangelię. Kto bierze dwadzieścia dolarów za godzinę, musi być dobry.

Nieraz zadawałem sobie pytanie, o co jej właściwie może chodzić, jeżeli w ogóle o coś jej chodzi. Czasami wczesnym popołudniem, kiedy pozmywałem już po lunchu i nie miałem nic do roboty, siadałem sobie i przyglądałem się, jak Fay lepi naczynia z gliny, robi na drutach albo czyta. Zrobiła się z niej ładna kobieta, chociaż prawie nie miała biustu. Miała ten wielki, nowoczesny dom, dziesięć akrów ziemi i całą resztę, jednak bez wątpienia była nieszczęśliwa. Czegoś jej brakowało. Po mniej więcej miesiącu doszedłem do wniosku, że Fay chce, by Charley był inny, niż jest. Miała głęboko zakodowane wyobrażenie o tym, jaki powinien być jej mąż – zawsze była bardzo grymaśna – i chociaż pod pewnymi względami Charley odpowiadał jej wymaganiom, pod innymi ich nie spełniał. Weźmy taki przykład: miał wystarczająco dużo pieniędzy, żeby wybudować ten dom, i zwykle robił to, czego od niego zażądała. Poza tym był dosyć przystojny. No, ale był prostakiem, a Fay zawsze miała arystokratyczną skłonność do niechętnego osądzania innych. Uwidocznilo się to szczególnie w szkole średniej, kiedy zaczęła się przygotowywać do college'u. Zapisala się na kursy literatury i historii i uważała, że te dziewczyny, które poszły na kursy gotowania, i chłopcy pracujący w warsztatach to hołota.

Bez wątpienia Charleya nie obchodziły te wszystkie sprawy, które według Fay należały do świata ludzi cywilizowanych, na przykład ta muzyka dla jajogłowych, której słuchała na hi-fi. Nie przeczę, że Charley był prostakiem. Ale był prostakiem także wtedy, kiedy wychodziła za niego za mąż, i tego dnia, kiedy w przydrożnym sklepie spożywczym wziął fragment z Mozarta za kościelny psalm. Jeśli o tym wiedziała, to nie powinna go odrzucać, tak jakby jego prostactwo było cechą, którą przed nią ukrywał, a która wypłynęła na wierzch dopiero po ślubie. Boże święty, przecież Charley był zawsze wobec niej zupełnie uczciwy i dał jej wszystko, co mógł. A ona jeździła teraz nie jego mercedesem, tylko buickiem, bo miał ładniejszy kolor i automatyczną skrzynię biegów. O tych dziedzinach, którymi się interesował, na przykład jeśli idzie o samochody, wiedział więcej od niej – tutaj to ona była prostaczką i ignorantką. Jednak to nie mogło mu pomóc, bo ona nie uważała tych spraw za istotne. To, że potrafił przeciągnąć rurkę z wodą do poidła dla kaczek, nie robiło na niej żadnego wrażenia; tylko prostak mógł to dobrze zrobić, był to więc jeszcze jeden dowód na poparcie jej tezy.

A jednak akceptowała jego język, a nawet sama go używała.

Przypuszczam, że miała do niego ambiwalentny stosunek – z jednej strony uważała go za szorstkiego i męskiego, co było dla niej sprawą zasadniczą, bo w ten sposób nadawał się dla niej pod względem seksualnym. Wydaje mi się, że to, czego od niego oczekiwała, było paradoksalne

– chciała, żeby był mężczyzną, a jednocześnie, by odpowiadał standardom, które sama sobie postawiła, a więc nie były one standardami męskimi. Co do swojej płci, Fay również miała mętlik w głowie. Według mnie nie cierpiała prac domowych dlatego, że sprawiały, iż czuła się kobietą, a tego nie potrafiła znieść. Nie ma się co dziwić, że Charley nienawidził zajmować się tą robotą zamiast niej. Jeśli takie prace były poniżające dla niej, to oczywiście dla niego tym bardziej, i to nie dlatego, że nie znosił samych zajęć domowych – kiedyś może nawet by nie protestował – lecz dlatego, że ona nie przywiązywała do nich żadnej wagi. Kto zajmował się domem, był wołem roboczym, służącym, pomocą domową, pokojówką; Fay nie potrafiła się zmusić do takiej pracy, natomiast nie miała nic przeciwko temu, by zajmował się nią jej mąż. Nie potrafiła na przykład pójść do sklepu po tamponsy, bo były one dowodem *sine qua non*, że jest kobietą, zmuszała więc męża, żeby je kupował.

Oczywiście kiedy wracał, to ją bił.

Natomiast ja nie miałem nic przeciwko zajęciom domowym, bo dla mnie była to zwyczajna praca, a nie jakiś symbol. W zamian dostawałem posiłki i mogłem mieszkać w ciepłym domu... dostawałem coś w zamian i wydawało mi się, że układ jest sprawiedliwy. Kiedy z nimi mieszkalem, byłem szczęśliwszy i bardziej zadowolony niż kiedykolwiek przedtem. Lubiłem przebywać z dziećmi i ze zwierzętami; lubiłem rozpalać ogień na kominku... lubiłem pieczone steki. Czy praca w warsztacie oponiarskim Poity'ego nie była bardziej upokarzająca?

Najdziwniejsze ze wszystkiego było przekonanie Fay, że ten dom należy do niej, a Charley, jej mąż, to ktoś, kto przychodzi z zewnątrz, siada na krześle i je brudzi. Brudzi, bo się poci. No, ale możliwe też, że nie było to jej wewnętrzne przekonanie, lecz tylko poza. Może chciała, żeby wszyscy myśleli, że to przede wszystkim jej dom i że obowiązują w nim jej prawa. Bardzo możliwe, że w głębi duszy rozumiała doskonale, że bez Charleya i jego pieniędzy nie byłoby tego domu, ale tak jak w wypadku pijaństwa męża, Fay stworzyła pewną teorię, która odpowiadała jej potrzebom, postanowiła ją więc wyznawać. Dawała mu do zrozumienia, że dom to jej sfera wpływów... a co jemu zostało? Biuro w zakładzie, gdzie mógł pracować po nocach, i sam zakład... no i może jeszcze teren wokół domu – gołe, leżące odłogiem pole.

Również ten układ Charley zdawał się akceptować. Przede wszystkim nie był tak mocny w gębie jak Fay, a poza tym, biorąc wszystko pod uwagę, wyobrażał sobie, że ponieważ jest inteligentniejsza i lepiej wykształcona, to właśnie ona musi mieć rację w sporach, które prowadzą. Uważał ją za coś w rodzaju książki albo gazety, na którą można gderać lub ją krytykować, lecz która i tak ma rację. Nie wierzył w swój rozum. Podobnie jak wszyscy inni, uważał się za prostaka pierwszej klasy.

Weźmy na przykład ich znajomych. Powiedzmy Anteilów. Obydwoje, i Gwen, i Nat, byli niewątpliwie ludźmi z uniwersyteckim wykształceniem, którzy mieli podobne zainteresowania jak Fay, jeśli idzie o kulturę i naukę. Znalazł się mężczyzna – mężczyzna, a nie kobieta – który

siedział z nią i rozmawiał nie o interesach czy technikach orki, lecz o średniowiecznych sektach religijnych. Fay i Anteilowie potrafili się porozumieć, więc stosunek sił wynosił trzy do jednego, a nie jeden do jednego. Charley słuchał ich zwykle przez jakiś czas, a potem szedł do swojego gabinetu i zabierał się do papierów. Podobnie działo się nie tylko podczas odwiedzin Anteilów, lecz także wtedy, kiedy przychodzili Fineburgowie, Meritanowie i cała reszta – artyści, projektanci mody, naukowcy, którzy sprowadzili się do Inverness... wszyscy oni należeli tylko do jej świata, a nie do świata Charleya.

Rozdział 8

Wyszli na godzinę z domu, żeby popuszczać latawce. Jego latawiec wzbił się nieco w górę i już tam został: nie spadał, lecz również się nie wznosił. Pobiegł przez rozmiękle pastwisko, rozchlapując wodę i odwijając sznurek, a latawiec wciąż był na tej samej wysokości, tyle że teraz sznurek był rozciągnięty na całą długość, równoległe do ziemi.

Daleko za stajnią Fay pędziła jak wodny owad, który biegnie przez staw; jej stopy uderzały o ziemię, niosąc ją z wielką szybkością. Latawiec Fay wystrzelił pionowo w górę. Zatrzymała się przy ogrodzeniu i odwróciła. Z początku nie mogli go dostrzec, bo wzbił się tak wysoko, że żadne z nich nie umiało go znaleźć na niebie. Był wprost nad ich głowami; unosił się jak prawdziwe ciało niebieskie, wystrzelony poza zasięg ziemskiego przyciągania.

Dziewczynki wrzeszczały, żeby pozwolić im potrzymać sznurek; krzyczały na matkę, że im go nie oddaje, a jednocześnie były zachwycone jej sukcesem. Podziw i gniew... a on stał, łapiąc z trudem powietrze, i trzymał swój marny latawiec na wiotczającym sznurku.

Fay oddała dziewczynkom latawiec i ruszyła ku mężowi z rękami w przednich kieszeniach dzinsów. Uśmiechała się, mrużąc oczy w południowym słońcu. Podeszła do niego i zatrzymała się.

– A teraz ciebie przywiążę do sznurka i popuszczam – powiedziała.

Ogarnął go gniew. Straszny gniew. Ale nie mógł złapać oddechu i był tak wykończony puszczaniem latawca, że nie potrafił okazać tego gniewu; nie potrafił nawet na nią krzyknąć. Zdobył się tylko na to, by odwrócić się do niej plecami i odejść powoli, bez słowa, w stronę domu.

– Co się stało?! – krzyknęła za nim Fay. – Znowu jesteś wściekły?!

Nie odezwał się. Ogarnęło go beznadziejne przygnębienie. Nagle pomyślał, że nie chce już żyć, że chce umrzeć.

– Nie znasz się na żartach – powiedziała Fay, doganiając go. – Wyglądasz, jakbyś był chory. – Położyła mu rękę na czole, tak jak robiła to z córkami. – Może masz gripę. Dlaczego to cię tak zdenerwowało?

– Nie wiem – odparł.

– Pamiętasz, jak kiedyś poszedłeś do zagrody dla kaczek, żeby je nakarmić? – mówiła, idąc obok niego. – Zdaje się, że wtedy pierwszy raz je karmiłeś, bo dopiero co je dostaliśmy, a ja stałam koło tej zagrody, patrzyłam na ciebie i nagle powiedziałam: „Wiesz co, ty też jesteś taką małą kaczką: zostań tam, a ja cię nakarmię”. Czy to ci się teraz przypomniało? Czy to, co powiedziałam o latawcu, przypomniało ci tamto? Wiem, że cię wtedy zdenerwowałam. To, co powiedziałam, było naprawdę okropne. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłam. Przecież wiesz,

że wygaduję, co mi ślina na język przyniesie, nie umiem się pohamować. – Złapała go za ramię i przyciągnęła do siebie. – Przecież wiesz, że to, co mówię, nie ma żadnego znaczenia. No więc wiesz czy nie wiesz? A może nie jesteś pewien?

– Zostaw mnie w spokoju – warknął, wrywając rękę.

– Nie idź do domu – powiedziała. – Proszę cię. Pograj ze mną przynajmniej przez chwilę w badminton... pamiętaj, że dzisiaj przychodzą na obiad Anteiłowie, więc jeśli nie zagramy teraz, to nie będzie już okazji, a jutro muszę pojechać do miasta. No więc może byśmy zegrali przez minutkę.

– Jestem zmęczony – odparł. – Źle się czuję.

– To ci dobrze zrobi – powiedziała. – Tylko chwilkę. – Wyprzedziła go, pobiegła przez pole, weszła na patio, a potem do domu. Zanim on tam dotarł, stała już, trzymając rakiетки i lotki.

Pojawiły się dziewczynki.

– Możemy też zagrać?! – krzychały jednocześnie. – Gdzie są rakiетки?! – Kiedy zobaczyły, że Fay trzyma w ręku wszystkie cztery, zaczęły je jej wrywać.

W końcu dopięły swego. On i Bonnie grali w jednej drużynie, a Fay i Elsie w drugiej. W ramionach czuł takie zmęczenie, że ledwo potrafił podnieść rakiетkę. W końcu, kiedy pobiegł do tyłu, żeby przyjąć daleką lotkę, jego zmęczone nogi zesztyniały, zapłatały się i Charley upadł na plecy. Dziewczynki podniosły płacz i pobiegły do niego; Fay nie ruszyła się z miejsca, obserwowała tylko całą scenę.

– Nic mi nie jest – uspokoił córki, podnosząc się. Jednak jego rakiетка była złamana na pół. Stał, trzymał oba kawałki i próbował złapać oddech; bolało go w piersi i miał uczucie, jakby żebra wbijały mu się w płuca.

– W domu jest jeszcze jedna rakiетка – powiedziała Fay z drugiej strony siatki. – Leslie O’Neil przyniósł ją kiedyś, żeby pograć, a potem zostawił. Jest w szafce w gabinecie.

Poszedł w stronę domu po nową rakiетkę. Długo szukał, nim ją znalazł. Kiedy wychodził na zewnątrz, poczuł, że kręci mu się w głowie, a nogi drżą, jakby były zrobione z taniego plastyku, z takiego śmiecia, jakiego używa się do produkcji rozdawanych za darmo zabawek, pomyślał. Zabawek, które można znaleźć w pudełkach z płatkami śniadaniowymi, albo takich, które daje się dzieciom w sklepach...

A potem upadł na twarz. Kiedy się przewracał, wysunął przed siebie ręce; wbił dłonie w ziemię i zacisnął palce. Wyrwał garście ziemi, wepchnął w usta, jadł ją, pił, wdychał, ale nie potrafił wciągnąć jej do płuc. A potem nie mógł już zrobić nic.

Kiedy się ocknął, leżał w wielkim łóżku. Ogolili mu twarz i całe ciało. Jego ręce, palce leżące na pościeli wyglądają jak świńskie racice. Zmieniłem się w świnię, pomyślał. Włosy, które mi zostawili, mam pewno poskręcane. Kwiczę tu nie wiadomo jak długo.

Spróbował kwiknąć, ale z jego ust wydobyło się tylko charczenie.

Wtedy pojawiła się jakaś postać. Jego szwagier, Jack Isidore, przyglądał mu się uważnie z góry; był w płóciennej kurtce i luźnych brązowych spodniach, a przez plecy przewiesił wojskowy worek. Twarz miał porządnie umytą.

– Niedokrwienie mięśnia sercowego – powiedział.

– Co to jest? – spytał, bo był przekonany, że ktoś go wtedy uderzył.

– Miałeś atak serca – wyjaśnił Jack i zasypał go masą szczegółów technicznych. A potem odszedł. Jego miejsce zajęła pielęgniarka, a po niej wreszcie zjawił się lekarz.

– Co ze mną? – zapytał Charley. – Nieźle jak na takiego starucha, co? Stary, ale jary, prawda?

– Owszem, jest pan w dobrej kondycji – zgodził się lekarz i odszedł.

Charley leżał na plecach pogrążony w myślach i czekał, żeby ktoś do niego przyszedł. W końcu znów pojawił się lekarz.

– Niech pan posłucha – rzekł Charley. – Za to, że się tu znalazłem, odpowiada moja żona. Nosiła się z tym od samego początku. Chce mieć dom i fabrykę, a może to dostać tylko wtedy, kiedy umrę, więc zaplanowała wszystko tak, żebym dostał tego ataku serca i kopnął w kalendarz.

Lekarz pochylił się nad nim z uwagą.

– Chciałem ją zabić – powiedział Charley. – A niech ją cholera.

Lekarz odszedł.

Po długim czasie – musiało upłynąć kilka dni, bo widział, jak wokół robi się ciemno, potem jasno, a potem znów ciemno; golono go i myto gąbką zamoczoną w ciepłej wodzie, pozwalano oddać mocz i karmiono – do pokoju weszło kilka osób i stanęło w pewnej odległości, rozmawiając. W końcu koło łóżka pojawiła się Fay.

Miała na sobie niebieski płaszcz, spódnicę z grubego materiału, obcisły trykot i spiczaste włoskie buty. Jej twarz była blada, a skóra miała jakiś pomarańczowy odcień, jak to się często zdarza wczesnym rankiem. Nawet oczy i włosy były pomarańczowe. Na szyi widać było zmarszczki, jakby od obracania głową na boki. Pod pachą trzymała dużą skórzaną torebkę i gdy podeszła do łóżka, poczuł zapach skóry.

Kiedy ją zobaczył, zaczął płakać. Ciepłe łzy polały mu się po policzkach. Fay wyjęła z torebki papierową chusteczkę, wysypując przy tym na podłogę różne przedmioty; nachyliła się i kilkoma niedbałymi ruchami otarła mu twarz.

– Jestem chory – powiedział, i pomyślał, jak dobrze byłoby teraz wyciągnąć ręce i ją przytulić.

– Dziewczynki zrobiły ci popielniczkę, a ja dałam ją wypalić w piecu. – Jej głos brzmiał tak samo chropawo jak jego własny, jakby ostatnio znów za dużo paliła. Nie próbowała jednak odchrząknąć, jak miała w zwyczaju. – Przynieść ci coś? Może szczoteczkę do zębów albo

piżamę? Nie pozwolili mi nic przynieść, bo ty musisz się najpierw zgodzić. Mam dla ciebie pocztę. – Na piersi, koło prawej ręki, położyła mu stos kopert. – Wszyscy do ciebie napisali, nawet ciotka z Waszyngtonu. Pies ma się dobrze, dziewczynki za tobą tęsknią, ale wcale się o ciebie nie boją, koń też w porządku, jedna owca uciekła i musiałyśmy poprosić Toma Selby’ego, żeby pojechał po nią półciężarówka. – Przekrzywiła głowę to w jedną stronę, to w drugą, żeby mu się przyjrzeć.

– Jak tam firma? – zapytał.

– Wszyscy przesyłają ci pozdrowienia. Zakład w porządku.

Później, gdzieś w następnym tygodniu, uznano, że jego stan jest na tyle dobry, że może usiąść i napić się mleka przez zakrzywioną szklaną rurkę. Podparty poduszkami wygrzewał się w słońcu. Posadzono go na wózku i wożono po szpitalu, podnoszono i kładziono do łóżka. Przychodzili w odwiedziny różni ludzie: jego krewni, pracownicy, znajomi, Fay z dziewczynkami, sąsiedzi.

Pewnego dnia, kiedy leżał w solarium, zażywając wpadającego przez podwójne szyby słońca, przyszli Nathan i Gwen. Przynieśli mu flakonik płynu po goleniu. Przeczytał etykietkę. Płyn był angielski.

– Dzięki – powiedział.

– Przynieść ci coś jeszcze? – zapytał Nat Anteil.

– Nie, dziękuję. Może tylko stare niedzielne wydania „Chronicle”.

– Dobrze – powiedział Nat.

– Dom się czasem nie wali?

– Trzeba by przejechać po chwastach glebogryzarką – stwierdził Nat. – I właściwie nic więcej.

– Nat chciał spytać, czy życzysz sobie, żeby to zrobił – wtrąciła Gwen.

– Fay potrafi obsługiwać glebogryzarkę – odparł. Przez chwilę myślał o tych chwastach, o galonowej butli z bezołowiową benzyną i o tym, jak dawno glebogryzarka nie była uruchamiana. – Fay nie zna się na gaźniku – dodał. – Może mógłbyś jej pomóc zapalić silnik. Po długim postoju trudno dobrać mieszankę.

– Lekarze mówią, że nieźle z tobą – powiedziała Gwen. – Będziesz musiał tylko zostać tu jeszcze trochę, żeby wydobrzeć.

– Pewnie tak.

– Musisz wrócić do sił – ciągnęła. – To nie powinno długo potrwać. Są naprawdę dobrzy. Klinika uniwersytecka ma świetną reputację.

Pokiwał głową.

– Zimno tu w San Francisco – powiedział Nat. – To ta mgła. Ale wiatr nie jest tak mocny jak w Point Reyes.

– Jak sądzicie, czy Fay daje sobie z tym wszystkim radę? – zapytał.

– Jest bardzo silna – odrzekła Gwen.

– To bardzo silna kobieta – potwierdził Nat.

– Ciężko tu dojechać z Point Reyes – powiedziała Gwen – Zwłaszcza gdy ma się dzieci w samochodzie.

– Tak – przyznał. – To jakieś osiemdziesiąt mil w obie strony.

– Przyjeżdżała tu codziennie – powiedział Nat.

Pokiwał głową.

– Nawet wtedy, kiedy wiedziała, że nie będzie mogła się z tobą zobaczyć – dodała Gwen. – A mimo to przyjeżdżała, i to z dziećmi.

– Jak tam dom? – zapytał. – Daje sobie radę z takim dużym domem?

– Mówiła mi, że czuje się trochę niepewnie w nocy, bo jest taki wielki. Parę razy miała nocne koszmary. Ale trzyma przy sobie psa. I dziewczynki śpią z nią w jednej sypialni. Na początku zamykała wszystkie drzwi, ale doktor Andrews powiedział jej, że jak raz zacznie robić takie rzeczy, to nie będzie mogła przestać, więc udało jej się pozbyć strachu i teraz już nie zamyka żadnych drzwi na klucz. Wszystkie są otwarte.

– Dom ma dziesięć drzwi zewnętrznych – powiedział.

– Dziesięć – potwierdziła Gwen. – Zgadza się.

– Troje prowadzi do living roomu – powiedział Charley. – Jedne do bawialni. Troje do jej sypialni. To już siedem. Dwoje do pokoi dzieci. To dziewięć. Więc jest ich więcej niż dziesięć. Dwoje do hallu, po jednym z każdej strony domu.

– Na razie mamy jedenaście – powiedziała Gwen.

– Jedne do pralni – powiedział Charley.

– Dwanaście.

– Nie ma drzwi, które prowadzą z zewnątrz do gabinetu. Zdaje się, że jest ich dwanaście. Co najmniej. I zawsze jedno są otwarte i ciągnie przez nie zimno.

– Brat Fay bardzo jej pomaga – wspomniała Gwen. – Robi wszystkie zakupy, sprząta cały dom, załatwia za nią masę różnych rzeczy.

– No tak – powiedział Charley. – Zupełnie o nim zapomniałem. Jest na miejscu, gdyby się coś stało. – Cały czas był przekonany, że Fay i dziewczynki są w domu same, bez mężczyzny. Anteiłowie też go przeoczyli. Żadne z nich nie uważało, że w domu jest mężczyzna, i najwyraźniej Fay sądziła podobnie. A jednak Jack załatwiał za nią różne sprawy, nie musiała więc dodatkowo martwić się pracami domowymi.

– Nie słyszeliście chyba, żeby wspominała o jakiś problemach finansowych, prawda? – zapytał. – Nie powinno być żadnych kłopotów. Mamy wspólne konto, a moja ubezpieczalnia powinna już zacząć wypłacać pieniądze.

– Nawet jeśli miała jakiś problem, to nigdy o tym nie mówiła – powiedziała Gwen. – Wygląda na to, że ma pieniądze.

– Jeździ stale do Mayfair i realizuje czeki – rzekł Nat z uśmiechem.

– Z wydaniem forsy nie będzie miała żadnych trudności – stwierdził Charley.

– Wygląda na to, że daje sobie radę – powiedział Nat.

– Mam nadzieję, że pamięta o rachunkach – uznał Charley.

– Ma całe pudełko rachunków – odezwała się Gwen. – Widziałam je na biurku w gabinecie. Przeglądała je, żeby zdecydować, które trzeba zapłacić.

– Zwykle ja się tym zajmuję – wyjaśnił Charley. – Powiedz jej, żeby najpierw zapłaciła rachunki związane z domem. Taka jest zasada. Te zawsze na początku.

– Nie powinna mieć z tym problemów, prawda? – zapytał Nat. – Ma przecież pieniądze, żeby je zapłacić, prawda?

– Powinna mieć – powiedział Charley. – Chyba że ten cholerny szpital zeżre za dużo forsy.

– Zawsze może wziąć pożyczkę z banku – podsunęła Gwen.

– Tak – zgodził się Charley. – Ale nie powinna. Mamy dużo pieniędzy. No, chyba że ona je jakoś głupio przepuści.

– Jest zaradna – rzekł Nat. – W każdym razie zawsze robi takie wrażenie. Wydaje mi się, że jest zaradna.

– Bo jest – powiedział Charley. – Daje sobie radę w trudnych sytuacjach. Żeglowaliśmy kiedyś po zatoce Tomales i nie mogliśmy wypompować wody. Pompa się zepsuła. A woda wlewała się do środka. Sterowała żaglówką, a ja w tym czasie wybierałem wodę wiadrem. W ogóle się nie bała. A mogliśmy się utopić.

– Opowiadałeś nam o tym. – Gwen pokiwała głową.

– Zawsze może wziąć kogoś do pomocy – powiedział Charley. – Kiedy samochód psuje się jej na drodze, za każdym razem udaje jej się kogoś zatrzymać.

– Dużo jest takich kobiet – stwierdził Nat. – Nie mają innego wyjścia. To prawie niemożliwe, żeby kobieta sama potrafiła zmienić oponę.

– W życiu nie zmieniałyby opony – rzekł Charley. – Znalazłaby kogoś, żeby zrobił to za nią. Naprawdę myślisz, że zmieniałyby oponę? Żartujesz chyba.

– Fay bardzo dobrze prowadzi – powiedział Nat.

– Prowadzi znakomicie – zgodził się Charley. – Lubi jeździć samochodem – dodał. – Zawsze robi dobrze to, co lubi. A jak czegoś nie lubi, to zmusza kogoś innego, żeby zrobił to za nią. Nigdy nie widziałem, żeby robiła coś, czego nie lubi. Taką ma filozofię. Musicie wiedzieć, że z nią za każdym razem rozmawia się o filozofii.

– Przecież tutaj przyjeżdżała – sprzeciwiła się Gwen. – A ta trasa to nic przyjemnego.

– No pewnie, że przyjeżdżała – powiedział Charley. – Powiedzieć ci, czego ona nigdy nie

zrobiła i już nie robi? Nie pomyśli o nikim oprócz siebie. Każdy inny człowiek to tylko osoba, która powinna robić za nią różne rzeczy.

– Och, tego bym nie powiedziała.

– Nie mów mi niczego na temat mojej żony – powiedział. – Znam ją. Od siedmiu lat jestem jej mężem. Wszyscy ludzie na świecie to dla niej służący. Tylko służący. Ja jestem służącym. Jej brat jest służącym. Was też zaprzęgnie do roboty. Będzie siedziała na krześle i wydawała polecenia.

Przyszedł lekarz i powiedział, że Anteilowie powinni już iść. A może to była pielęgniarka. Patrzył, jak zbliża się postać w bieli, słyszał, jak rozmawia z Anteilami. A potem Gwen i Nat powiedzieli szybko „do widzenia” i poszli.

Leżał samotnie w łóżku i rozmyślał.

W ciągu następnych kilku dni parę razy odwiedziła go Fay; czasem przychodziła z dziewczynkami, czasem bez. Przyszedł też Jack, zjawiali się różni znajomi.

Następnym razem Nat przyszedł bez Gwen. Wyjaśnił, że Gwen musiała pojechać do dentysty w San Francisco i że wysadziła go przy klinice uniwersyteckiej.

– Gdzie jest ten szpital? – zapytał Charley. – Jaka to dzielnica?

– To okolica Parnassus i Czwartej – poinformował go Nat. – Blżej plaży. Jesteśmy teraz wysoko nad podłużną odnogą Golden Gate Park. Nogi boją od wchodzenia.

– Rozumiem – powiedział Charley. – Widziałem domy, ale nie mogłem się zorientować, jaka to część San Francisco. Nie znam za dobrze miasta. Ta zieleń, którą widziałem, to musiał być park.

– Skraj parku – sprecyzował Nat.

– Słuchaj, czy ona już zaczęła cię zmuszać do załatwiania różnych rzeczy? – zapytał po chwili Charley.

– Nie jestem pewien, co masz na myśli – odparł Nat z namysłem. – Zarówno Gwen, jak i ja z chęcią zrobimy, co tylko w naszej mocy, i to nie dla samej Fay, ale dla was obojga. Dla całej waszej rodziny.

– Nie daj się do niczego zmuszać – powiedział Charley.

– To całkiem naturalne, że człowiek załatwia dla innych różne sprawy, a w każdym razie niektóre. Są oczywiście pewne granice. Oboje z Gwen zauważyliśmy, że Fay jest impulsywna. Ale jest szczerą: mówi prosto z mostu.

– Ma umysłowość dziecka – stwierdził Charley. – Jak czegoś chce, to będzie za tym chodzić. Nie da sobie powiedzieć „nie”.

Nat nie odezwał się.

– Przejmujesz się? – zapytał Charley. – Tym, co powiedziałem? Boże święty, nie chcę,

żebyś łąził i załatwiał za nią różne rzeczy. Nie chciałbym patrzeć, jak odziera cię z szacunku do samego siebie. Żaden mężczyzna nie powinien załatwiać niczego za kobietę.

– Dobrze – powiedział cicho Nat.

– Przykro mi, jeśli cię zdenerwowałem – rzekł Charley.

– Nie, wszystko w porządku.

– Chcę cię tylko ostrzec. To bardzo intrygująca kobieta i ludzie do niej Igną. Nie mogę powiedzieć o niej niczego złego. Kocham ją. Gdybym musiał, to ożeniłbym się z nią jeszcze raz.

– Nie, pomyślał. Zabiłbym ją, gdybym tylko mógł. Zabiłbym ją, gdybym tylko mógł podnieść się z tego łóżka. – Niech ją szlag trafi – powiedział na głos.

– Wszystko w porządku – odezwał się Nat, żeby mu przerwać.

– Nie, nie w porządku. Co za dziwka. Pożerająca wszystkich dziwka. Zeżarła mnie. Kiedy tam wrócę, to porozrywam ją na kawałki. Boże, przecież pamiętasz, jak na nią z początku zareagowałeś. Słyszałem o tym. Powiedziałeś Betty Heinz, że Fay jest apodyktyczna i wymagająca i że jej nie lubisz.

– Powiedziałem Mary Woulden, że trudno mi się z Fay dogadać, bo jest taka uczuciowa. Powiedziałem też, że jest apodyktyczna. Jakoś to potem załagodiliśmy.

– Tak – powiedział Charley. – Była zła. Nie znosi takich historii.

– Nie mieliśmy żadnych trudności w kontaktach z twoją żoną. Utrzymujemy dobre stosunki. Nie jesteśmy ze sobą bardzo blisko, ale lubimy jej towarzystwo, lubimy dziewczynki i wasz dom... lubimy tam przebywać.

Charley nie odezwał się.

– Do pewnego stopnia rozumiem, co masz na myśli – przerwał milczenie Nat.

– Tak czy inaczej to wszystko nie ma znaczenia – powiedział Charley. – Bo kiedy stąd wyjdę, to ją zabiję. Wszystko mi jedno, kto o tym będzie wiedział. Wszystko mi jedno, czy szeryf Chisholm się o tym dowie. Fay może złożyć na mnie skargę pod przysięgą. Mówiła ci, że kiedyś ją pobiłem?

Nat kiwnął głową.

– Może na mnie złożyć skargę o pobicie – ciągnął Charley. – Wszystko mi jedno. Może nawet namówić tego psychiatrę za dwadzieścia dolarów na godzinę, by zeznał w sądzie, że łęgną mi się w głowie takie zamiary i że zżera mnie wrogość do niej, że jej nienawidzę, bo ma dobry gust i jest subtelna. Nic mnie to nie obchodzi. Mam wszystko gdzieś. Nawet moje córki mnie nie obchodzą. Wszystko mi jedno, czy którąś z nich jeszcze zobaczę. Powiem ci jeszcze, że nie spodziewam się też zobaczyć tego domu. Dzieci pewnie zobaczą, bo je tu przywiezie.

– Tak – powiedział Nat. – Zawsze je ze sobą zabiera.

– Nigdy nie wyjdę z tego szpitala. Wiem o tym.

– Oczywiście, że wyjdziesz.

– Powiedz jej, że wiem o tym. I że wszystko mi jedno. Powiedz jej, że nie sprawia mi to różnicy i że mi to wisi. Niech sobie bierze ten dom. Może wyjść, za kogo tylko będzie chciała. Może sobie zrobić z tym domem, na co jej przyjdzie ochota.

– Później poczujesz się lepiej – powiedział Nat, klepiąc go po ramieniu.

– Nie – odparł. – Już nie poczuję się lepiej.

Rozdział 9

Był wieczór. Nat Anteil siedział przy kuchennym stole w swoim dwupokojowym domku i uczył się. Zamknął drzwi do living roomu, żeby nie słyszeć telewizora; Gwen oglądała *Playhouse 90*. Piekarnik z otwartymi drzwiczkami ogrzewał kuchnię. Nat postawił w zasięgu ręki filiżankę kawy, lecz ponieważ zbyt go pochłoneła nauka, zapomniał o niej i kawa wystygła.

Jak przez mgłę zauważył, że Gwen otworzyła drzwi i weszła do kuchni.

– Co się stało? – zapytał w końcu, odkładając długopis.

– Dzwoni Fay Hume – powiedziała Gwen. Nie usłyszał nawet dzwonek telefonu.

– Czego chce? – spytał. Kiedy się ostatnio widzieli, dołożył wszelkich starań, by jej wytłumaczyć, że przez cały tydzień nie będzie mógł się ruszyć od książek: czekał go egzamin, który miał się odbyć w bibliotece publicznej w San Rafael.

– Dostała wyciąg z konta i coś jej się nie zgadza z odcinkami kontrolnymi czeków.

– Więc chciałaby, żeby jedno z nas pojechało tam i jej pomogło.

– Tak – powiedziała Gwen.

– Powiedz jej, że nie możemy.

– Ja pojadę. Powiedziałam jej, że się uczysz.

– Dobrze o tym wie. – Wziął długopis i znów zaczął robić notatki.

– Tak. Mówiła, że o tym wspominałaś. Myślała, że może ja będę mogła przyjechać. Ona naprawdę sama nie da sobie rady... wiesz, że nie ma głowy do rachunków.

– A jej brat nie może się tym zająć?

– Ten osioł?

– No to jedź i to załatw – rzucił. Jednak zdawał sobie sprawę, że Gwen nie może tam pojechać, bo na książeczkach czekowych zna się chyba jeszcze gorzej niż Fay Hume. – No dalej – zniecierpliwił się. – Przecież wiesz, że ja nie mogę.

Trzęsąc się ze zdenerwowania, Gwen powiedziała:

– Ona mówi, że po ciebie przyjedzie. Naprawdę myślę, że powinieneś... nie zajmie ci to więcej niż pół godziny, przecież wiesz. A ona obiecała, że zrobi ci stek. Proszę cię, sądzę, że powinieneś tam pojechać.

– Dlaczego?

– Jest taka samotna wieczorami i denerwuje się; wiesz przecież, jak bardzo się denerwuje od czasu, kiedy on jest w szpitalu. Pewnie to tylko pretekst, żeby przyjechał do niej ktoś, z kim mogłaby porozmawiać: naprawdę potrzebuje towarzystwa. Jeździ do tego psychoanalityka trzy razy w tygodniu, wiedziałeś o tym?

– Wiedziałem. – Nie przerywał pisania. Gwen jednak nie wychodziła z kuchni. – Jest jeszcze

przy telefonie? Czeka?

– Tak – powiedziała Gwen.

– No dobrze, zgoda. Ale pod warunkiem, że przyjedzie po mnie i odwiezie potem do domu.

– Oczywiście, że tak – zapewniła go Gwen. – Będzie bardzo zadowolona. To potrwa tylko piętnaście minut, jesteś przecież taki dobry w matematyce.

Wyszła z kuchni, a potem usłyszał, jak mówi z living roomu Fay Hume, że Nat chętnie jej pomoże. Jeśli to tylko pretekst, żeby mieć kogoś do towarzystwa, to dlaczego nie może jechać Gwen? – pomyślał. Ponieważ, zdał sobie sprawę, mimo że potrzebuje towarzystwa, i w pewnym sensie szuka pretekstu, potrzebuje również kogoś, kto zająłby się książeczką czekową. Potrzebne jej jedno i drugie. Bardzo sprytnie. Obie rzeczy naraz.

Odłożył długopis i poszedł do szafy po płaszcz.

– Nie masz nic przeciwko temu, prawda? – Gwen stała w drzwiach frontowych i czekała, aż światła buicka Fay ukażą się zza rogu.

– Jestem zajęty – powiedział.

– Jednak często, kiedy jesteś zajęty, nie masz nic przeciwko temu, żeby zrobić sobie przerwę i zająć się czym innym.

– Nie pojedę – powtórzył. – Jestem zajęty i nie chcę, żeby mi ktoś przeszkadzał. – Jednak to ona miała rację. Tu chodziło o coś więcej.

Na dźwięk klaksonu buicka wyszedł z domu na ganek. Kiedy schodził po schodkach, Fay wychyliła się i zawołała:

– Bardzo miło z twojej strony: wiem, że się uczysz! Ale załatwimy to raz dwa! – Przytrzymała mu drzwi i Nat usiadł obok niej. – Myślę, że właściwie to nawet sama dałabym sobie radę – powiedziała, ruszając. – Chodzi o jeden czek, widocznie zapomniałam zaznaczyć, że został zrealizowany. To czek na sto dolarów, który wypisałam w Purity Market w Petalumie.

– Rozumiem. – Niespecjalnie chciało mu się rozmawiać; patrzył przez okno na ciemne drzewa i krzewy, które mijali. Prowadziła rzeczywiście bardzo dobrze; płynnie brała zakręty.

– Ciągle jeszcze myślisz o swojej nauce?

– Trochę.

– Odwiozę cię tak szybko, jak będę mogła. Przysięgam, że długo cię nie zatrzymam. Długo się wahałam, zanim zadzwoniłam... właściwie o mało co w ogóle nie zadzwoniłam. Nie znoszę ci przeszkadzać, kiedy się uczysz. – Nie wspomniała nawet o Gwen i on to zauważył. Z pewnością wiedziała, że Gwen w ogóle nie można było brać pod uwagę.

Nie powinienem tego robić, pomyślał.

Pewnego popołudnia, kiedy był u Fay, przypadkiem zauważył leżący na stoliku w living roomie rachunek. Był to kwit za dziecięce ubrania ze sklepu z odzieżą w San Rafael. Za taką sumę on i Gwen mogliby żyć przez cały miesiąc a to były tylko ubrania dla dziewczynek.

Jego pół etatu i zarobki Gwen, która pracowała przez dwa dni w tygodniu w San Anselmo, dawały w sumie dwieście dolarów miesięcznie. Ledwo im starczało, żeby związać koniec z końcem. Dla Hume'ów dwieście dolarów było niczym – jej miesięczne rachunki za psychiatrę, o czym wiedział, często przekraczały tę sumę. A rachunki za ogrzewanie... choćby tylko za prąd czy gaz, pomyślał. Wystarczyłby prąd albo gaz. Za te pieniądze moglibyśmy się utrzymać. A ona chce, żebym przejrzał jej czeki za cały miesiąc. Muszę sprawdzić każdy z nich. Zobaczyć te wszystkie pieniądze, całe to marnotrawstwo. Rzeczy, których nie potrzebują..

Pewnego wieczoru, po proszonym obiedzie u Hume'ów, stał i patrzył, jak Fay daje psu stek, który rozmroziła razem z innymi, a który nie zmieścił się na ruszcie grilla. Zapytał ją, starając się ukryć swoje uczucia, dlaczego nie włoży tego nie usmażonego i nietkniętego steku do lodówki i nie zostawi go sobie na następny dzień. Fay przyjrzała mu się ze zdziwieniem. „Nie znoszę resztek. Zawsze daję psu to, co zostaje z obiadu”, powiedziała. „A czego on nie zje, wyrzucam do śmieci”.

Widział, jak wyrzuca wędzone ostrygi i karczochy; pies nie chciał ani tego, ani tego.

– Powinnaś sobie zostawiać odcinek kontrolny każdego czeku, który wypisujesz – odezwał się.

– Ach, wiem – powiedziała. – Czasami przekraczam stan konta o jakieś dwieście, trzysta dolarów. Ale oni zawsze akceptują moje czeki. Nigdy ich nie odsyłają. Znają mnie. Wiedzą, że mam zabezpieczenie. Boże, gdyby tylko odesłali mi jakiś czek, to nigdy bym się już do nich nie odezwała; narobiłabym takiego bałaganu, że już by się nie pozbierali.

– Jeśli nie masz pokrycia, to powinnaś odesłać ten czek.

– Dlaczego?

– Bo jest nieważny.

– Och, oczywiście, że jest ważny. Co to znaczy „nieważny”? Nie sądzisz, że mam wystarczające zabezpieczenie?

Poddał się i zamilkł.

– Dlaczego nic nie mówisz? – spytała.

– Twoje czeki akceptują – powiedział. – Ale kiedy ja przekroczę stan konta, to jest inaczej. Moje czeki odsyłają.

– A wiesz dlaczego?

– Dlaczego?

– Bo nigdy o tobie nie słyszeli.

Odwrócił się i spojrzał na nią uważnie. Na jej twarzy nie było jednak widać złośliwości, lecz tylko uważne skupienie kierowcy.

– No cóż – rzekł zjadliwie – to jest cena, którą płaci się za to, że jest się zerem. Że nie jest się w okolicy grubą rybą.

– Czy ty wiesz, co ja zrobiłam dla miejscowej społeczności? Więcej niż ktokolwiek inny: kiedy próbowali się pozbyć dyrektora szkoły podstawowej, pojechałam do San Rafael do mojego prawnika i zapłaciłam mu, żeby przejrzał przepisy i znalazł sposób, aby pan Pars, dyrektor, mógł zostać na stanowisku wbrew decyzji rady nadzorczej szkoły... Znaleźliśmy sześć czy siedem możliwości.

– Znakomicie.

– A jakże – powiedziała Fay. – Napisałam petycję w sprawie oświetlenia na ulicach i puściłam w obieg wśród mieszkańców; kiedy się tu wprowadziliśmy, w całym Drake's Landing nie było ani jednej latarni, bo nie należymy administracyjnie do miasta. No i zrobiliśmy bardzo wiele, żeby zburzyć starą remizę i wybudować nową.

– Niewiarygodne.

– Dlaczego to powiedziałeś? – Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– Wygląda na to, że w pojedynkę zmieniłaś oblicze całej okolicy.

– Zabrzmiało to tak, jakby ci się to nie podobało.

– Nie podoba mi się, że robisz z tego taką historię.

Nie odpowiedziała mu; jakby się skurczyła w fotelu. Kiedy jednak buick skręcał na wysadzany cyprysami podjazd do domu, odezwała się:

– Wiesz, że nie musiałeś tu przyjeżdżać. Wiem, co o mnie sądzisz: myślisz, że jestem lekkomyślna, wymagająca i nieczuła na potrzeby innych ludzi. Ale zrobiłam więcej dla ich dobra niż ktokolwiek z okolicznych mieszkańców. A co ty zrobiłeś dla tej okolicy, odkąd się tu sprowadziłeś? – Powiedziała to wszystko spokojnie, ale widział, że się denerwuje. – No co?

On ma rację, pomyślał. Charley się co do niej nie myli. Przynajmniej do pewnego stopnia. Jest w niej coś z dziecka, coś w rodzaju bezczelności.

W takim razie co ja tutaj robię? – zadał sobie pytanie. – Czy nie mogę jej odmówić?

– Chcesz wrócić do domu? – spytała Fay. Zatrzymała samochód i przesunęła dźwignię automatycznej skrzyni biegów na wsteczny, a potem, z piskiem opon, wycofała buicka z podjazdu. Samochód zarzucił dziko na zakręcie, kiedy wjeżdżał na drogę. Maska o kilka cali minęła słupek ze skrzynką pocztową; Nat odruchowo napiął mięśnie, czekając na zgrzyt metalu o drewno.

– Odwiozę cię do domu – powiedziała, wrzucając bieg i ruszając w stronę, skąd przyjechali.

– Nie chcę cię zmuszać do czegoś, na co nie masz ochoty. Decyzja należy do ciebie.

– Chętnie pomogę ci przejrzeć rachunki – zapewnił ją, czując się tak, jakby mówił do nadąsanego dziecka.

– Nie po to zapraszałam cię do siebie, żebyś mi pomagał przeglądać rachunki – powiedziała ku jego zdumieniu. – Do diabła z rachunkami. – Podniosła głos. – Co mnie obchodzą rachunki? To nie moja sprawa. Niech inni sobie płacą rachunki. Srać na rachunki. Chciałam, żebyś

przyjechał, bo jestem samotna. Boże święty... – Głos jej się załamał. – Charley jest od ponad miesiąca w szpitalu, a ja siedzę w tym domu i zaczynam wariować; niedługo zupełnie zgłupieję. Testem zamknięta w czterech ścianach z dziećmi, które doprowadzają mnie do szału! A do tego ten mój popierdolony brat. Ten odmieniec.

W jej głosie brzmiała taka wściekłość, wyczerpanie i irytacja, że aż go to rozśmieszyło. Ta krzykliwość... nie pasowała do jej wyglądu, szczupłości, do kruchego, niemal niedorosłego ciała. Teraz zaczęła kaszleć – z głębi płuc, ochryple, jakby koło Nata siedział jakiś mężczyzna.

– Palę trzy paczki L&M dziennie – poinformowała go. – Boże święty, nigdy w życiu tyle nie paliłam! Nie ma się co dziwić, że nie mogę przytyć. I po co ja płacę trzysta dolarów miesięcznie temu psychiatrze dla ubogich? – dodała ze szczerym zdumieniem. – Sukinsyn jeden...

– Uspokój się – powiedział. – Jedź do siebie, zajmiemy się rachunkami, napijemy się jakiegoś alkoholu albo kawy, a potem będę musiał wrócić do nauki.

– Czemuś nie zabrał ze sobą książek, ty ośle? – spytała.

– Myślałem, że jadę do ciebie pracować.

– Boże – powiedziała. – Dobry Boże. W życiu nie słyszałam czegoś tak absurdalnego. Boże święty. – Najwyraźniej ją zatkalo. – Tyle trudu kosztowało mnie wymyślenie jakiegoś pretekstu, żeby nie zabierać tej twojej żony, która wygląda jak z żurnala mód z 1926 roku. Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że mówię o twojej żonie? – Zwolniła i trzymając kierownicę jedną ręką, odwróciła się w jego stronę. – Wiesz przecież, że podniecasz mnie od momentu, kiedy pierwszy raz cię zobaczyłam. Wiesz czy nie? Mój Boże, z pół tuzina razy o mało ci tego nie powiedziałam. Pamiętasz, jak kiedyś wieczorem zaproponowałam ci, żebyśmy poćwiczyli zapasy? A myślisz, że po co chciałam się z tobą siłować? Byłam pewna, że twoja żona się połapała. A ty tylko rzuciłeś mnie na podłogę i poszedłeś sobie. Wiedziałeś, że miałam potem przez tydzień siniaka na tyłku?

Nie odpowiedział, kręciło mu się w głowie.

– Boże – powiedziała, teraz już spokojniej. – W życiu mi tak nie zależało na żadnym mężczyźnie. Zależało mi na was obojgu... w tych wielkich wełnianych swetrach... skąd, do licha, wzięliście te swetry? Czemu jeździcie na rowerach – spytała, nie czekając na odpowiedź. – Nie mieliście rowerów, kiedy byliście dziećmi? Rodzice nie kupili wam nigdy rowerów?

– Nie ma nic złego w tym, że dorośli ludzie jeżdżą na rowerach – odparł.

– Będę mogła sobie kiedyś pojeździć?

– Oczywiście.

– Czy to trudne?

– Nigdy nie jeździłaś na rowerze? – spytał.

– Nie.

– Mój ma przerzutkę. To angielski rower.

Nie słuchała go już; prowadziła uważnie, ze skupioną twarzą.

– Słuchaj – odezwała się po chwili – czy masz zamiar pognać do żony i powiedzieć jej, że złożyłam ci niedwuznaczną propozycję?

– A składasz mi taką propozycję?

– Nie – odpowiedziała. – Oczywiście, że nie. To ty mi ją złożyłeś. Nie pamiętasz? – Powiedziała to z całkowitym przekonaniem. – Czy to nie dlatego się do mnie wybrałeś? Mój Boże, nie wpuściłabym cię do środka. Dlatego odwożę cię z powrotem. – Dojechali już prawie do jego domu i nagle zrozumiał, że ona rzeczywiście zamierza go tu wysadzić. – Nie wpuszczę cię do siebie – oznajmiła. – W każdym razie nie bez żony. Jeśli będziesz chciał przyjść, to weź ją ze sobą.

– Jesteś wariatką. Kompletną wariatką – powiedział głośno i z gniewem.

– Co powiedziałeś? – spytała przymilnie.

– Czy ty w ogóle nie zwracasz uwagi na to, co mówisz?

To ją najwyraźniej upokorzyło.

– Nie drażnij się ze mną. Nie bądź taki. Czemu to robisz? – Ton jej głosu przywiódł mu na myśl jej młodszą córkę był płaczliwy i brzmiał w nim żal nad samą sobą. Może celowo naśladowała głos córki, tak mu się wydawało. Rodzaj parodii. Mówiła serio i jednocześnie parodiowała ten głos, czekając na jego reakcję.

– Uważam, że jesteś naprawdę świetna – powiedział. I tak rzeczywiście myślał. Intrygowała go. Te jej zmienne nastroje: nigdy nie mógł przewidzieć, jaki będzie jej następny ruch. Wydawało się, że ma w sobie źródło niespożytej energii. Gnała przez życie ani trochę nie zmęczona.

– W ogóle nie traktujesz mnie serio – stwierdziła i wykrzywiła wargi w mechanicznym, prawie oficjalnym uśmiechu. – No cóż, dziękuję ci, że chciałeś mi pomóc. – Znaleźli się pod jego domem i Fay przyhamowała. Była na niego wyraźnie zła i zachowywała się chłodno. – Jestem na ciebie naprawdę wściekła – dodała martwym, płaskim głosem. – Naprawdę wściekła. Nigdy ci nie zapomnę tego, jak mnie potraktowałeś. Do diabła z tobą. – Przechyliła się i pchnęła drzwiczki. – Żegnam.

– Żegnam – powiedział, wysiadając.

Trzasnęły drzwiczki i samochód odjechał z rykiem silnika. Zdumiony, zaczął wchodzić po schodkach na ganek.

Następnego dnia zadzwonił do niej nie z domu, lecz z biura sprzedaży nieruchomości, w którym pracował.

– Cześć, Fay – powiedział. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

– Nie – odparła. – Nie jestem teraz zajęta. – Jej głos w słuchawce brzmiał żywo

i dźwięcznie: miał wrażenie, że rozmawia z kobietą przywykłą do załatwiania interesów przez telefon. – A kto mówi? Czy to nie czasem ten pieprzony kabel Nathan Anteil?

I ona ma trzydzieści dwa lata, pomyślał.

– Fay, nie spotkałem jeszcze kobiety, która by używała takiego języka.

– Pocałuj się w dupę – powiedziała żwawo. – Zadzwońeś po to, żeby znowu się ze mną drażnić? No, po co do mnie dzwonicz? Chwileczkę. – Usłyszał, jak rzuca słuchawkę obok telefonu i idzie zamknąć drzwi. Kiedy wróciła, wrzasnęła mu ogłuszająco do ucha: – Siedzę i zastanawiam się nad tym, co się stało wczoraj wieczorem. Najwidoczniej nie potrafię pojąć męskiego sposobu rozumowania. Co cię napadło? A jak już o tym mówimy, to co napadło mnie?

Tego dnia była najwyraźniej skora do żartów i nie brała niczego poważnie. Wydawało się, że jest w dobrym – jak na nią – nastroju.

– Może mógłbym wpaść na chwilę dzisiaj wieczorem? – powiedział, czując, jak rośnie w nim napięcie. – Tylko na moment.

– Dobrze. Przyjechać po ciebie?

– Nie. – Miał starego studebackera, którym dojeżdżał do Mill Valley do pracy. – Sam do ciebie przyjadę.

– Nie przywiesz chyba ze sobą tej swojej żony, co? Jak jej na imię? No, przypomnij mi tylko, jak jej na imię?

– Do zobaczenia – powiedział. Odłożył słuchawkę.

Jej głos stał się donośny i wyraźny od momentu, w którym zrozumiała, kto dzwoni i czego chce. Ona wie, pomyślał. I ja też wiem.

Co wiemy?

Wiemy, że coś się dzieje, pomyślał. Że coś robimy. I to coś nie ma nic wspólnego ani z moją żoną, ani z jej mężem.

Co to jest? – zadał sobie pytanie. O co mi chodzi? Jak daleko mam się posunąć? Jak daleko chce się posunąć Fay Hume?

A może, pomyślał, żadne z nas tego nie wie.

Potem zastanowił się, dlaczego właściwie to robi. Mam wspaniałą żonę, pomyślał. I lubię Charleya Hume'a. A Fay jest mężatką i ma dwoje dzieci.

W takim razie dlaczego?

Ponieważ tego chcę, zrozumiał.

O wiele później, kiedy jechał na północny wschód hrabstwa Marin, pomyślał jeszcze: I dlatego, że ona tego chce.

Rozdział 10

Kiedy chciałem odwiedzić Charleya w klinice Uniwersytetu Kalifornijskiego przy rogu Czwartej i Parnassus w San Francisco, musiałem wsiąść do greyhounda odchodzącego o szóstej dwadzieścia z Inverness. W ten sposób o ósmej rano byłem w mieście. Zwykle szedłem potem do biblioteki publicznej, gdzie czytałem świeże czasopisma, wybierałem książki, które mogłyby zainteresować Charleya i przeprowadzałem badania źródłowe. Od czasu zawału Charleya wyszukiwałem informacje naukowe na temat układu krążenia, przepisywałem je do notatników, a kiedy to było możliwe, przeglądałem ostatnie wydawnictwa naukowo-informacyjne, by znaleźć artykuły, które Charley mógłby przeczytać.

Kiedy widział, jak wchodzę z plecakiem pełnym pożyczonych książek i czasopism naukowych, prawie zawsze pytał: „I co, Isidore, co tam masz nowego na temat mojego serca?”

Udzielałem mu wszystkich informacji na temat jego stanu zdrowia i możliwego terminu wypisania do domu, jakie udało mi się zebrać od personelu szpitala. Wydawało mi się, że ceni sobie te szczegółowe sprawozdania: beze mnie słyszałby o swoim zdrowiu same banały. Do pewnego więc stopnia był ode mnie zależny.

Kiedy przekazałem mu już informacje naukowe, wyciągałem notatnik, w którym zapisywałem dane o sytuacji Drake's Landing. „Opowiadaj, co tam nowego w posiadłości”, prosił zwykle.

Owego dnia spojrzałem najpierw do notatnika, by przekazać informacje we właściwy sposób, a potem powiedziałem:

– Twoja żona zaczyna angażować się w związek pozamałżeński z Nathanem Antelem.

Zamierzałem mówić dalej, lecz Charley mi przerwał. – Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał.

– Przez ostatnie cztery dni – powiedziałem, sprawdzając notatki – Nathan Anteil przychodził wieczorami sam. I rozmawiał z Fay w sposób, który mógłby sugerować, że mają ze sobą romans.

Niezbyt podobało mi się, że muszę mu o tym powiedzieć, ale zdecydowałem informować go na bieżąco o sytuacji w domu. Postanowiłem, że będzie to część mojej pracy, którą odpłacałem się im za wyżywienie i mieszkanie. Podobnie jak inne obowiązki, składanie mu sprawozdań było moją powinnością, którą należało wykonywać skrupulatnie, zwracając uwagę wyłącznie na to, by wiadomości były dokładne i pełne.

– W czwartek siedzieli i pili martini do drugiej nad ranem – poinformowałem go.

– No tak – powiedział. – Mów dalej.

– W pewnej chwili... siedzieli wtedy razem na kanapie... Nathan objął Fay ramieniem i pocałował ją. W usta.

Charley nic nie powiedział. Najwyraźniej jednak słuchał. W związku z czym mówiłem dalej:

– Nathan niedwuznacznie oświadczył, że kocha twoją żonę...

– Wisi mi to – przerwał mi Charley.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytałem. – Chcesz, Powiedzieć, że wisi ci ta akurat informacja czy...

– Cały ten temat mi wisi – przerwał mi znowu. Potem Przez długi czas milczał i w końcu spytał: – I co jeszcze zdarzyło się w posiadłości przez ostatni tydzień? I nie opowiadaj mi niczego więcej o tamtym, ani o niej, ani o nim. Opowiedz mi o kaczkach.

– Kaczki...– powtórzyłem, zerkając do notatek.– Od ostatniego mojego sprawozdania kaczki zniosły w sumie trzydzieści jajek. Pekinśkie zniosły najwięcej, a ruańskie najmniej.

Nie odezwał się.

– Czego jeszcze chciałbyś się dowiedzieć? – spytałem. – Może ile karmy w sumie zjadły? – Te dane miałem zestawione zarówno według wagi, jak i objętości.

– Dobrze – zgodził się. – Opowiedz.

Czułem wyraźnie, że to moja nieumiejętna relacja sprawiła, iż Charley nie potrafił się zainteresować tak ważnym tematem jak związek jego żony z Nathanem Anteilem. Najwidoczniej nie nadałem tej informacji dostatecznej wagi i nie przekazałem mu przekonującego obrazu sytuacji. Gdyby był na miejscu, zareagowałby w odpowiedni sposób, a tak mógł polegać tylko na suchych danych, których mu dostarczyłem. Kiedy redaktor dziennika albo czasopisma chce zrobić na czytelnikach wrażenie, to perfekcyjnie opracowuje temat, a nie podaje suchej listy uporządkowanych chronologicznie wydarzeń, do czego ja akurat miałem skłonności. Wtedy właśnie spostrzegłem ograniczenia mojej systematyzującej metody. Jako sposób gromadzenia ważnych danych była ona bezkonkurencyjna, natomiast jeśli idzie o przekazywanie tych danych innym osobom, nie miała żadnej wartości. Dotychczas gromadziłem istotne fakty tylko na własny użytek... lecz teraz robiłem to dla kogoś innego, w tym konkretnym wypadku dla kogoś, kto nie miał prawie żadnego wykształcenia naukowego. Przypomniałem sobie, że wiele faktów, które kiedyś zrobiły na mnie wrażenie, znalazłem w bardzo udramatyzowanych artykułach, na przykład w „American Weekly”, a inne informacje miały formę prozatorską, na przykład opowiadań, które czytałem w „Niesamowitych Zjawiskach” i „Zadziwiających Historiach”.

Najwyraźniej musiałem się jeszcze paru rzeczy nauczyć.

Wychodziłem ze szpitala smutny i upokorzony, po raz pierwszy od lat pełen wątpliwości co do moich metod i siebie samego.

Tak jakoś następnego dnia, kiedy po południu siedziałem sam w domu, usłyszałem dzwonek do drzwi. Układałem właśnie bieliznę wyjętą z suszarki. Zostawiłem stosy rzeczy na stole i poszedłem otworzyć, myśląc, że to pewnie Fay wróciła z miasta i chce, żebym coś przyniósł

z samochodu.

Kiedy otworzyłem drzwi, stanąłem twarzą w twarz z kobietą, której nigdy przedtem nie widziałem.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć – odparłem.

Była dość niska i miała wielki koński ogon z tak ciężkich włosów, że pomyślałem, iż musi być cudzoziemką. Jej twarz była ciemna, jak twarz Włoszki, lecz kościsty nos wskazywał raczej na Indiankę. Miała mocno zarysowany podbródek i duże brązowe oczy, które wpatrywały się we mnie tak intensywnie, że poczułem pewien niepokój. Poza tym „cześć” na powitanie nie powiedziała już ani słowa, tylko się uśmiechała. Miała ostre zęby, jak jakaś dzikuska, i to też wytrącało mnie z równowagi. Ubrana była w zieloną, jakby męską koszulę wypuszczoną na szorty i złote sandały; w ręku trzymała torebkę, kopertę z grubego papieru i okulary słoneczne. Na podjeździe zauważyłem nowego, jaskrawoczerwonego forda kombi. Pod pewnymi względami ta kobieta wydawała się olśniewająco piękna, a jednocześnie miałem wrażenie, że jest jakoś nieproporcjonalna. Głowa była zbyt wielka w stosunku do ramion – choć mogło to być złudzenie spowodowane przez ciężkie, czarne włosy – a klatka piersiowa cokolwiek płaska, właściwie nawet zapadnięta, zupełnie jakby nie należała do kobiety. Biodra były zbyt wąskie w stosunku do ramion, a nogi z kolei zbyt krótkie w stosunku do bioder. Przypominała odwróconą piramidę.

Przyszło mi do głowy, że chociaż ta kobieta jest po trzydziestce, ma figurę nieco za chudej, lecz bardzo ładnej czternastolatki. Jej ciało, w przeciwieństwie do twarzy, nie było dojrzałe. Od pewnego momentu przestała się rozwijać i ów efekt piramidy nie był złudzeniem. Gdyby patrzeć tylko na jej twarz, mogła się wydawać absolutną, olśniewającą piękną, lecz kiedy wzrok ogarnął całą sylwetkę, okazywało się, że coś jest z nią nie tak, że jej proporcje są zasadniczo zachwiane.

Głos miała chropawy, matowy i bardzo głęboki. Podobnie jak z jej spojrzenia, emanowała z niego władczość; nie mogłem przestać patrzeć jej w oczy. Chociaż mnie dotąd nie znała – nie widziała mnie nigdy na oczy, jak to się mówi – zachowywała się tak, jakby spodziewała się mnie zobaczyć, jakbym nie był dla niej kimś obcym. W jej uśmiechu była jakaś zabarwiona chytryścią pewnością siebie. Po chwili zrobiła krok do przodu, a ja odsunąłem się na bok; weszła do domu, sunąc bezszelestnie drobnymi kroczkami. Najwyraźniej była tu już kiedyś, bo bez wahania weszła do living roomu i położyła torebkę na jednym ze stolików, na tym samym, na którym Fay zawsze kładła swoją. Potem odwróciła się do mnie i powiedziała:

– Czy bolała cię ostatnio głowa? Koło skroni? – Uniosła dłoń i przeprowadziła linię w poprzek czoła, od oka do oka. – Bo mnie tak. – Przesunęła się kawałek i zatrzymała tuż przede mną. – To korona cierniowa. Wszyscy musimy ją ułożyć, zanim ten świat się skończy, a nowy

zajmie jego miejsce. Ja już ją mam. Noszę ją od zeszłego piątku, kiedy to wstąpiłam na krzyż, a potem spędziłam noc w grobie. – Wbiła we mnie spojrzenie dużych, brązowych oczu i uśmiechając się, mówiła dalej: – Całą noc byłam na dworze, a nawet nic o tym nie wiedziałam. Ani mąż, ani dzieci nie wiedzieli, że mnie nie ma: to było tak, jakby czas zatrzymał się w miejscu. Przeniosłam się w sferę wieczności. Cały dom wibrował, mój Boże, widziałam, jak wibruje, jakby chciał wzlecieć w niebo niby statek kosmiczny.

– Rozumiem – powiedziałem, nie mogąc przestać patrzeć jej w oczy.

– Nad domem – ciągnęła – zawisło wielkie, niebieskie światło, które wyglądało jak wyładowania elektryczne. Leżałam na ziemi i to światło ze statku kosmicznego mnie pochłaniało. Cały dom stał się statkiem kosmicznym, który był gotów odlecieć w przestrzeń.

Nie mogłem się powstrzymać od potakującego kiwania głową.

– Nazywam się Hambro – przedstawiła się tym samym tonem. – Claudia Hambro. Mieszkam w Inverness Park. Ty jesteś bratem Fay, prawda?

– Tak – odparłem. – Fay nie ma w domu, pojechała do miasta.

– Wiem – powiedziała pani Hambro. – Wiedziałam o tym, kiedy obudziłam się dzisiaj rano. – Podeszła do okna, popatrzyła na owce chodzące wzdłuż płotu. Potem odwróciła się i usiadła na krześle, skrzyżowała gołe nogi, położyła torebkę na kolanach, otworzyła ją, wyjęła paczkę papierosów i zapaliła jednego. – Dlaczego tu przyjechałeś? – zapytała. – Dlaczego przyjechałeś do Drake's Landing? Znasz powód?

Potrząsnąłem głową.

– To ta siła przyciąga nas do siebie – powiedziała. – Z całego świata. Wszędzie tworzą się grupy. Przesłanie jest zawsze jedno: zbawcie świat przez cierpienie i śmierć. Chrystus nie cierpiał za nasze grzechy, lecz po to, by wskazać nam drogę. Wszyscy musimy cierpieć. Wszyscy musimy zstąpić na krzyż, by dojść do życia wiecznego, każdy na swój sposób. – Wydmuchnęła dym przez nos prosto na mnie.

– Chrystus przybył z innej planety. Był przedstawicielem wyżej rozwiniętej rasy. Ziemia jest najbardziej zacoфанą planetą w całym wszechświecie. W nocy potrafię leżeć nie zmrużywszy oka... czasami nawet naprawdę się tego boję i słuchać, jak ze sobą rozmawiają. Kilka nocy temu zaczęli otwierać mi czaszkę. Wycięli mi kawałek z tej strony i drugi z tej – ręką poprowadziła linie na głowie. – I usłyszałam okropny dźwięk; w życiu nie słyszałam takiego hałasu. Zupełnie mnie ogłuszył. Wiesz, co to było? Laska Aarona, która opadała na ziemię; zobaczyłam ją przed sobą w powietrzu. Od tamtej pory nie mogę patrzeć na słońce. Promieniowanie kosmiczne jest zbyt intensywne, wypala nam mózgi. Do końca maja osiągnie najwyższe natężenie i, jak twierdzą naukowcy, wtedy nastąpi koniec świata. Bieguny zamienią się miejscami. Wiedziałeś o tym? San Francisco zbliża się do Los Angeles.

– Tak – potwierdziłem. Przypomniało mi się, że czytałem o tym w gazecie.

– Najwyżej rozwinięte istoty mieszkają na Słońcu – ciągnęła pani Hambro. – Każdej nocy przenikają do mojej głowy. Zaczęły mnie już wtajemniczać. Niedługo będę znała cały sekret. To bardzo podniecające. – Roześmiała się ni z tego, ni z owego, szczerząc do mnie ostro zakończone zęby. – Myślisz, że mi odbiło? Chcesz może zadzwonić do domu wariatów?

– Nie – odparłem.

– Cierpię, ale uważam, że warto. Nikt z nas nie może przed tym uciec: to przeznaczenie. Ty chowałeś się przez całe życie, prawda? A jednak przeznaczenie przyprowadziło cię tutaj. Popatrz. – Położyła papierosa na krawędzi stolika, otworzyła kopertę z grubego papieru i wyjęła z niej złożoną kartkę. Rozprostowała ją dłonią i zobaczyłem niewyraźny ołówkowy szkic przedstawiający starego Chińczyka. – To nasz guru – oświadczyła. – Nigdy go nie widzieliśmy, ale Barbara Mulchy narysowała go pod wpływem hipnozy, kiedy zapytaliśmy, jak wygląda Ten, Który Nas Prowadzi. Nikomu nie udało się odczytać napisu. To język starszy od wszystkich innych. – Pokazała palcem przypominający chińskie znaki napis u dołu. – To on przyprowadził cię do Drake's Landing – powiedziała. – Prowadził cię przez całe życie.

Pod wieloma względami trudno było się zgodzić z tym, powiedziała. Lecz z pewnością prawdą było to, że nigdy nie wiedziałem, jaki naprawdę jest cel mojego życia. No z pewnością nie znalazłem się w Drake's Landing z własnej woli...

– Nasza grupa dokonała kilku potwierdzonych naukowo obserwacji – ciągnęła pani Hambro. – Nawiązaliśmy kontakt z wysoko rozwiniętymi istotami, które panują nad wszechświatem, które kierują właśnie promieniowanie kosmiczne w naszym kierunku, by zbawić nas od antychrysta. Antychrysta widziałam wczoraj w nocy. To dlatego tu przyszedłem. Kiedy to się stało, zrozumiałam, że muszę się z tobą skontaktować i wciągnąć do naszej grupy. W ostatnim tygodniu na skutek artykułów w gazetach, z których niektóre były żartobliwe w tonie, skontaktowało się z nami jedenaście albo dwanaście osób. – Wyjęła z koperty wycinek z gazety i podała mi go.

A oto, co można tam było przeczytać:

GRUPA POSZUKIWACZY
LATAJĄCYCH SPODKÓW TWIERDZI,
ŻE WYSOKO ROZWIĘTE ISTOTY SPRAWUJĄ KONTROLĘ NAD LUDŹMI
I PROWADZĄ NAS KU III WOJNIE ŚWIATOWEJ

Inverness Park. Trzecia wojna światowa zostanie wywołana jeszcze w maju, jednak nie po to, by zniszczyć rodzaj ludzki, lecz po to, by go zbawić, jak uważa pani Hambro z Inverness Parku w hrabstwie Marin. Grupa tropicieli latających spodków, których pani Hambro jest rzecznikiem, twierdzi, że doszło do kilku psychicznych kontaktów z „wysoko rozwiniętymi

istotami, które sprawują nad nami kontrolę” i które „doprowadzą nas do fizycznego zniszczenia, by zbawić nasze dusze”, jak wyraziła się pani Hambro. Spotkania grupy odbywają się raz w tygodniu i mają na celu składanie sprawozdań z dokonanych obserwacji UFO, czyli Niezidentyfikowanych Obiektów Latających. Grupa liczy dwunastu członków, którzy mieszkają w Inverness Park i sąsiednich miejscowościach w północno-zachodniej części hrabstwa Marin. Spotykają się oni w domu pani Hambro. „Naukowcy wiedzą, że tylko krok dzieli świat od wybuchu”, oświadczyła pani Hambro. „Wybuch zostanie spowodowany wzrostem wewnętrznego ciśnienia albo wywołanym przez ludzi promieniowaniem jądrowym. Tak czy inaczej, trzeba się przygotować na nadejście końca świata”.

Oddałem wycinek pani Hambro, a ona włożyła go z powrotem do koperty.

– To z „San Rafael Journal” – oświadczyła. – Ta informacja ukazała się również w gazetach wychodzących w Petalumie i Sacramento. Nie oddali prawidłowo moich słów.

– Rozumiem – powiedziałem. Czuję się jakoś dziwnie i słabo. Siła jej spojrzenia sprawiła, że huczało mi w głowie. Nigdy przedtem nie spotkałem osoby, która zrobiłaby na mnie takie wrażenie jak Claudia Hambro. Promienie słonecznego światła nie odbijały się w jej oczach w zwykły sposób, lecz rozpryskiwały na tysiące iskierek. Byłem zafascynowany tym zjawiskiem. Siedziałem naprzeciw niej w niezbyt dużej odległości i widziałem fragment pokoju odbijający się w jej oczach; to był jakiś inny pokój, bo spójna płaszczyzna rozbijała się tam na drobnutkie kawałeczki. Pani Hambro mówiła, a ja przyglądałem się tym drobinkom światła. Przez cały czas ani razu nie mrugnęła powiekami.

– Czy miałaś ostatnio jakieś dziwne uczucie, jakby ktoś przesuwiał ci po brzuchu kawałkiem jedwabiu? – zapytała. – A może słyszałaś głośne gwizdy albo rozmowy? Ja słyszałam, jak mówili: „Nie budźcie Claudii. Jeszcze nie czas”.

– Było coś takiego – odparłem. – W zeszłym miesiącu miałem paskudne uczucie, jakby ktoś ścisnął moją głowę i jakby czoło miało mi pęknąć. A nos miałem tak zapchany, że prawie nie mogłem oddychać. Fay powiedziała, że to normalne zapalenie zatok, które dokucza ludziom mieszkającym blisko oceanu z powodu silnych wiatrów i pyłków z kwiatów i drzew, ale ja nie jestem o tym przekonany.

– Czy to się nasila? – spytała pani Hambro.

– Tak – odparłem.

– Przyjdiesz w piątek po południu? – zapytała. – Na spotkanie grupy?

Pokiwałem głową.

Wstała i zgasła papierosa.

– Gdyby Fay chciała przyjść – powiedziała – to zapraszam. Powiedz jej, że zawsze jest mile widziana. – A potem wyszła, nie mówiąc więcej ani słowa.

Byłem zupełnie oszołomiony i nawet nie ruszyłem się z miejsca.

Wieczorem, kiedy Fay dowiedziała się o wizycie Claudii Hambro, dostała napadu wściekłości.

– Ta kobieta to wariatka! – wrzasnęła. Myła właśnie głowę nad wanną. Ja trzymałem prysznic, a Fay wcierała szampon we włosy. Dziewczynki poszły do swojego pokoju na telewizję. – Zupełnie oszalała. Boże, przecież ona przechodziła parę lat temu terapię szokową, a raz nawet próbowała popełnić samobójstwo. Ona wierzy, że Marsjanie są z nami w kontakcie, ma taką grupę pomyleńców, która spotyka się w Inverness Park – hipnotyzują ludzi. Jej ojciec to jeden z największych reakcjonistów w całym hrabstwie Marin, to jeden z tych, którzy mają te wielkie farmy mleczne na przylądku, i to on odpowiada za to, że mamy najgorszą szkołę średnią we wszystkich czternastu zachodnich stanach.

– Zaprosiła mnie na piątek po południu, żebym wziął udział w spotkaniu ich grupy – powiedziałem.

– A oczywiście – odparła Fay. – Przychodzi do wszystkich, którzy się tu wprowadzają. Założę się, że ci powiedziała: „To przeznaczenie cię tutaj przywiodło”. Zgadza się?

Pokiwałem głową.

– Wydaje im się, że są marionetkami w rękach wyższych istot – ciągnęła Fay – chociaż tak naprawdę to pionki w rękach własnej, oszalonej podświadomości. Powinni ją zamknąć w domu wariatów. – Złapała ręcznik, przecisnęła się gwałtownie obok mnie i poszła korytarzem do living roomu. Ruszyłem za nią; klęczała przed kominkiem i suszyła włosy. – Przypuszczam, że są nieszkodliwi – powiedziała. – Może to nawet lepiej, że ich systemowa schizofrenia przyjmuje formę urojeń o wyżej rozwiniętych istotach, a nie przekształca się w otwartą paranoję typu prześladowczego i że nie wyobrażają sobie, że ktoś usiłuje ich pozabijać.

Musiałem przyznać w duchu, że w tym, co powiedziała Fay, jest sporo prawdy. Wiele z tego, co usłyszałem od pani Hambro, wydawało mi się nienormalne i nosiło znamię choroby umysłowej.

Jednak z drugiej strony, wszyscy prorocy i święci byli zwani przez swoich współczesnych szaleńcami. To naturalne, że prorok wydaje się szalony, ponieważ słyszy, widzi i rozumie to, czego nikt inny nie pojmuje. Tacy ludzie bywali kamienowani i wyszydzani za życia, zupełnie jak Chrystus. Rozumiałem, co Fay ma na myśli, lecz jednocześnie dostrzegałem sporo logiki w tym, co mówiła pani Hambro.

– Pójdiesz tam? – spytała Fay.

– Może – powiedziałem, wstydząc się do tego przyznać.

– Wiedziałaś, że do tego dojdzie – stwierdziła tylko. Przez resztę wieczoru nie odezwała się do mnie ani słowem; właściwie przerwała to milczenie dopiero następnego ranka, kiedy chciała,

żebym pojechał do Mayfair Market po zakupy.

– Cała jej rodzina jest taka – powiedziała. Stała przy szafie i wkładała zamszową kurtkę. – Jej siostra, ojciec, ciotka... mają to we krwi. Szaleństwo jest chorobą zakaźną. Cała okolica wokół zatoki Tomales jest skażona. Sporo ludzi zaraziło się od tej wariatki. Kiedy ją poznałam trzy lata temu, pomyślałam: „Boże, jaka atrakcyjna kobieta”. Jest naprawdę piękna. Wygląda jak jakaś księżniczka z dżungli. Ale zrobiła na mnie wrażenie zimnej. Jest pozbawiona uczuć. Nie potrafi odczuwać jak normalny człowiek. Weźmy coś takiego: nienawidzi dzieci, a ma sześcioro własnych; nie kocha ani ich, ani Eda. I stale jest w ciąży. To wariatka. Umysł dwuletniego dziecka panuje nad światem.

Nie odezwałem się.

– Wygląda jak typowa pani domu z lepszego towarzystwa, której się powiodło w życiu i która wydaje przyjęcia w ogrodzie – dodała Fay. – A okazuje się, że to wariatka pierwszej klasy.

Otworzyła drzwi i wyszła na zewnątrz.

– Jadę do San Francisco – powiedziała. – Odwiedzić Charleya. Bądź tu koniecznie, kiedy dziewczynki wrócą do domu. Wiesz, jak się boją, kiedy wracają i nikogo nie ma.

– Dobrze – obiecałem. Od czasu, kiedy ich ojciec dostał ataku serca, dziewczynki bardzo się w nocy bały. Miewały nocne koszmary i bywały bardzo niesforne. Poza tym Elsie zaczęła znów moczyć łóżko. Obie też ostatnio przed pójściem spać prosiły o butelkę z pićem. Prawdopodobnie miało to wiele wspólnego z moczeniem łóżka.

Wiedziałem, że w rzeczywistości Fay nie wybiera się do San Francisco, aby odwiedzić Charleya, lecz zamierza się spotkać z Natem Anteilem, prawdopodobnie gdzieś między Point Reyes i Mill Valley, może w Fairfax, i zjeść z nim lunch. Trudniej było się im widywać od czasu, kiedy żona Nata, Gwen, zaczęła wietrzyć coś podejrzanego w ich spotkaniach i nalegała, żeby wieczorami towarzyszyć mężowi.

Ponieważ Gwen nie pozwalała mu na samotne wizyty u Fay, siostra i jej kochanek mieli spore kłopoty, gdy chcieli się zobaczyć.

Poza tym w małym miasteczku, gdzie wszyscy się znają, ukrycie takiego związku jest bardzo trudne, jeśli nie niemożliwe. Jeśli wybierzesz się do baru z cudzą żoną, to siedzący w środku goście cię rozpoznają i następnego dnia ukaże się na ten temat notatka w „Baywood Press”. Jeśli pojedziesz po benzynę, to Earl Fankis, właściciel stacji Standard, rozpozna twój samochód, no i ciebie też. Jeśli pójdziesz na pocztę, to także zostaniesz rozpoznany, ponieważ naczelnik zna wszystkich okolicznych mieszkańców – na tym polega jego praca. Fryzjer rozpozna cię, kiedy będziesz przechodził koło jego okna. Facet w sklepie z paszą siedzi cały dzień za biurkiem i obserwuje ulicę. Sprzedawcy w Mayfair Market znają wszystkich, bo

wszyscy tam kupują. Tak więc Fay i Nat musieli spotykać się gdzie indziej, jeżeli w ogóle mieli się spotykać. I jeśli ich związek stał się sprawą publicznie znaną, to nie było w tym mojej winy.

Jednak do pewnego czasu całkiem nieźle udawało im się utrzymywać wszystko w ukryciu. Kiedy pojechałem do miasta po zakupy, nie słyszałem, żeby ktokolwiek o tym rozmawiał – ani w Mayfair Market, ani na poczcie, ani w drogerii. Parę osób zapytało mnie o zdrowie Charleya. To znaczyło, że siostra i Nat byli dyskretni. Ostatecznie nawet żona Nata z niczego nie zdawała sobie sprawy. Na pewno wiedziała tylko tyle, że jej mąż był parę razy u Fay w domu, a Nat na pewno powiedział, że ja też tam byłem, i możliwe, że wspomniał również o dziewczynkach. Niewykluczone, że razem z Fay wymyślił jakąś historię, aby całą rzecz wytłumaczyć – Fay miała na przykład *Britannicę* i wielki słownik Webstera i Nat mógł zawsze powiedzieć, że jedzie tam, żeby z nich skorzystać. A moja siostra wymyśliła już przedtem pretekst z książeczką czekową. Wszyscy w północno-zachodniej części hrabstwa Marin wiedzieli, że Fay wydzwaniała po ludziach i prosi ich o różne przysługi; wykorzystywała wszystkich znajomych, więc widok Nata Anteila jadącego lub wziętego do jej domu nie musiał wcale wywoływać komentarzy, ponieważ Nat mógł być po prostu kolejną osobą, która dała się usidlić i pracuje dla Fay, podczas gdy ona sama siedzi na patio, pali papierosy i czyta „New Yorkera”.

Jest niezbitym faktem, że mimo całej energicznej krzątaniny, wspinaczek na klify i gry w badminton, moja siostra zawsze była leniwa. Gdyby mogła, spałaby do południa. Praca w jej wyobrażeniu to dwa wieczory w tygodniu – w sumie cztery godziny – spędzone na lepieniu garnków z gliny, czyli na czymś, co dzieci z drużyny Drozdów robiły popołudniami, uważając to za zabawę. W domu było sześć czy siedem zrobionych przez Fay statuetek, które moim zdaniem były do niczego niepodobne. Kiedy budowałem radiowy tuner, jeszcze w szkole średniej, spędzałem na pracy całe dni, po dziesięć godzin bez przerwy. Nigdy nie widziałem, żeby Fay poświęciła jakiejś czynności więcej niż godzinę; potem zaczynała się nudzić, przerywała pracę i brała się do czegoś innego. Nie zносиła na przykład prasowania. Ta robota była dla niej zbyt zmusna. Chciała, żebym ja spróbował, ale po prostu nie mogłem się tego nauczyć, więc bieliznę odwoziło się do pralni w San Rafael. Jej wyobrażenie o pracy, o twórczej pracy, brało się jeszcze z przesiąkniętego postępowymi ideami przedszkola, do którego chodziła w latach trzydziestych. Nigdy nie musiała pracować, a ja musiałem i wciąż muszę.

A jednak, inaczej niż Charley i do pewnego stopnia Nat, nie miałem nic przeciwko temu, żeby za nią pracować. Nie byłem pewien, co myśli Nat i czy rozumie, że oprócz tego, iż Fay jest z nim związana uczuciowo, traktuje go także jako pracownika, podobnie jak wszystkich ze swojego otoczenia. Właściwie to nawet dzieci były jej pracownikami. Przekonała je, że w sobotę i niedzielę powinny same przygotowywać sobie śniadanie, i w te dni do mojego przyjazdu po prostu nie robiła im rano nic do jedzenia, choćby dziewczynki były nie wiem jak głodne. Zwykle gotowały sobie kakao i smarowały chleb dżemem, a potem oglądały telewizję aż do popołudnia.

Oczywiście skończyłem z tym zwyczajem i w weekendy robiłem im jeszcze pożywniejsze śniadania niż w ciągu tygodnia. Wydawało mi się, że zwłaszcza w niedzielę powinny dostawać szczególnie porządny ranny posiłek, robiłem im więc gofry z bekonem, a czasami z orzechami lub truskawkami, innymi słowy coś, co jest podstawą prawdziwego niedzielnego śniadania. Charley, zanim dostał ataku serca, najwyraźniej to doceniał. Fay skarżyła się jednak, iż robię tyle jedzenia, że zaczyna od tego tyć. Zaczynała się denerwować, kiedy podchodziła do stołu i widziała, że zamiast soku z winogron, grzanek, kawy i musu jabłkowego przygotowałem jajka na bekonie albo na siekanym mięsie, płatki owsiane i bułki. Złościło ją to, bo miała na wszystko ochotę, a ponieważ nie starczało jej siły, żeby sobie czegokolwiek odmówić, prędzej czy później zjadała, co jej przygotowałem, wysuwając z rozdrażnieniem przez cały posiłek dolną wargę.

Pewnego ranka, kiedy wstałem jak zwykle pierwszy, około siódmej, i ze swojego pokoju poszedłem do kuchni, żeby rozsunąć zasłony, nastawić wodę na kawę dla Fay, no i w ogóle zabrać się do robienia śniadania, zauważyłem, że drzwi do gabinetu są zamknięte od wewnątrz na klucz. Wystarczyło mi tylko spojrzeć, aby się zorientować, że są zamknięte na klucz, bo kiedy tak nie jest, zawsze są lekko uchylone. Ktoś musiał być w środku i podejrzewałem, że to Nat Anteil. I oczywiście około wpół do ósmej, kiedy wstały dziewczynki, a Fay się cesała, z frontowej części domu przyszedł Nat.

– Cześć – pozdrowił nas.

Dziewczynki patrzyły na niego ze zdziwieniem, aż w końcu Elsie zapytała:

– Skąd się tu wzięłeś? Spałeś tu całą noc?

– Nie, właśnie wszedłem – odparł Nat. – Nikt mnie nie słyszał. – Usiadł przy stole i zapytał: – Mógłbym dostać coś do jedzenia?

– Oczywiście – powiedziała Fay, nie okazując na jego widok żadnego zdziwienia. No bo i dlaczego? Jednak nie zadała sobie nawet trudu, żeby udawać, żeby zapytać, czemu tak wcześniej przyszedł... w końcu nie składa się wizyt o wpół do ósmej rano.

Postawiłem na stole dodatkowy talerz i filiżankę i położyłem sztucce, no i siedział tak z nami i jadł grejpfruta, płatki owsiane, grzanki i jajka na bekonie. Miał jak zwykle całkiem niezły apetyt; jedzenie najwyraźniej mu smakowało, a było to jedzenie, za które zapłacił Charley Hume, leżący właśnie w szpitalu.

Kiedy posprzątałem ze stołu i pozmywałem naczynia, poszedłem do swojego pokoju i usiadłem na łóżku, aby zapisać w notatniku, że Nat Anteil spędził u nas noc.

Jakiś czas później, kiedy Nat już sobie poszedł, a ja zmiatałem patio, podeszła do mnie Fay.

– Miałeś coś przeciwko temu, żeby zrobić mu śniadanie? – spytała.

– Nie – odparłem.

Kręciła się wokół mnie ze źle ukrywanym niepokojem. Nagle wybuchnęła z typową dla siebie niecierpliwością:

– Zdajesz sobie z pewnością sprawę, że nocował w gabinecie. Wczoraj wieczorem pisał tu pracę i był tak zmęczony, że nie mógł wrócić do domu, więc powiedziałam, że może przenocować w gabinecie. Wszystko jest w najlepszym porządku, ale jak pojedziesz odwiedzić Charleya, to mu nic nie mów – mógłby się zdenerwować z powodu takiego głupstwa.

Pokiwałem głową, nie przerywając pracy.

– Dobrze? – zapytała.

– To nie moja sprawa – stwierdziłem. – To nie jest mój dom.

– Racja – powiedziała, – Ale taki z ciebie dupek, że nie można przewidzieć, co ci strzeli do głowy.

Nie odpowiedziałem jej. Jednak w czasie zamykania pracowałem w duchu nad stworzeniem metody, dzięki której mógłbym przedstawić Charleyowi fakty w barwniejszy sposób. Myślałem o pewnej dramatyzacji, o czymś takim, co można zobaczyć w telewizji, kiedy pokazują tam skutki działania anacyny albo aspiryny. O czymś, co rzeczywiście trafiłoby mu do przekonania.

Rozdział 11

W umyśle Nathana Anteila zrodziło się podejrzenie, którego nie umiał się w żaden sposób pozbyć. Wydawało mu się, że Fay Hume wdała się z nim w romans, ponieważ jej mąż jest umierający, a ona chce mieć pewność, że gdyby rzeczywiście umarł, będzie miała innego mężczyznę na jego miejsce.

No i co w tym złego? – pomyślał. Czy to nie jest normalne, że kobieta, która ma pod opieką dwoje dzieci, a do tego duży dom, zwierzęta i ziemię, chce mieć mężczyznę, który zdjąłby z jej ramion ciężar odpowiedzialności?

Niepokoilo go jednak, że to wszystko zostało tak starannie przemyślane. Zobaczyła go, wybrała i rozpoczęła podbój, nie zważając na to, że jest żonaty i już zaplanował sobie przyszłość. Nie miało dla niej znaczenia, że on chce skończyć studia i żyć z żoną tak samo skromnie jak dotąd; widziała w nim tylko podporę dla siebie. Tak przynajmniej podejrzewał. Nie potrafił jej tego dowiedzieć, bo wydawało się, że jest rzeczywiście zaangażowana emocjonalnie, może nawet wbrew woli. Ostatecznie podejmowała ogromne ryzyko, bo spotykając się z nim, narażała się na utratę domu i wystawiała na niebezpieczeństwo całe swoje dotychczasowe życie, i jak się nad tym tak porządnie zastanowić, pomyślał, to nie do końca ją rozumiem. Nie jestem w stanie się dowiedzieć, na ile wyrachowane jest jej zachowanie i na ile zdaje sobie sprawę z jego konsekwencji. Pozornie wydaje się niecierpliwa, dziecinna, chce wszystko dostać od razu, nie myśląc o przyszłości. To krótkowzroczność. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie ona wypatrzyła mnie i Gwen i postanowiła zawrzeć z nami znajomość. Sama przyznaje, że jest samolubna i że przyzwyczała się robić to, na co ma ochotę. I że wpada w szał, jeśli ktoś jej czegoś odmawia. Jej romans ze mną – jeśli wziąć pod uwagę, że jest podporą miejscowej społeczności, że zna tu wszystkich, ma tak wielki dom i dwoje dzieci, które chodzą do szkoły – dowodzi jej krótkowzroczności. Czy tak zachowywałyby się kobieta myśląca o konsekwencjach?

A jednak, zastanowił się, choć sam uważam się za dojrzałego i odpowiedzialnego człowieka, mam z nią romans. Mam żonę, rodzinę i perspektywy zawodowe, o których powinienem myśleć, a jednak ryzykuję tym wszystkim dla tego związku. Niewykluczone, że właśnie niszczę swoją przyszłość w imię terażniejszości.

Czy jesteśmy w stanie dociec pobudek, które nami kierują? – zastanowił się.

W gruncie rzeczy ludzie są stworzeniami, których zachowaniem często rządzi instynkt, pomyślał Nat. Nie potrafią pojąć celu, któremu ten instynkt służy. Są tylko świadomi nacisku, który na nich wywiera, jego siły. Instynkt zmusza ich do działania. Lecz dlaczego?... na to pytanie nie potrafią w danym momencie odpowiedzieć. Może później. Może pewnego dnia spojrzą w przeszłość i zrozumieją do końca, dlaczego związałem się z Fay Hume i dlaczego ona

postawiła wszystko na jedną kartę, by związać się ze mną.

W każdym razie, pomyślał, jestem przekonany, że niezależnie od powodów, jakie nią kierują, jest to bardzo poważna i starannie przemyślana sprawa, a nie jakiś chwilowy kaprys. Ona, o wiele lepiej niż ja, wie, co robi.

A poza tym mnie wykorzystuje, pomyślał. To ona jest motorem tego wszystkiego. Od początku tak było, a jestem zaledwie narzędziem w jej rękach. A moja rola? W jakiej pozycji mnie to stawia? Czy moje życie ma się stać służbą innemu człowiekowi, tej kobiecie, która postanowiła zachować rdzeń swojej rodziny i jest jej wszystko jedno, czy zrujnuje komuś małżeństwo, przyszłość, marzenia, ponieważ zależy jej tylko na tym, by osiągnąć cel?

Lecz jeśli ona nie zdaje sobie z tego wszystkiego sprawy, jeśli działa instynktownie, czy mogę twierdzić, że jest winna w sensie moralnym?

Czy rozumiem jak jakiś studencik, którym w gruncie rzeczy pewnie jestem?

Od wielu dni zameczał się podobnymi pytaniami. I coraz bardziej zamykał się w błędnym kole akademickich rozważań. Czuł się tak, jakby znowu był na zajęciach z filozofii, gdzie dyskusje nie prowadziły do rozwiązania czy zrozumienia problemu, lecz tylko do kolejnych, nie kończących się dyskusji. Słowa rodziły słowa, a myśli gorączkową fascynację samym myśleniem, logiką jako taką.

Kto mógłby znać odpowiedź? Fay? Jej brat? Charley?

Jasne, że jeśli ktokolwiek zna odpowiedź, to właśnie przykuty do szpitalnego łóżka Charley Hume.

A może i on jej nie zna, pomyślał Nat. Z tego, co mówiła Fay, można było sądzić, że Charley miał do niej ambiwalentny stosunek: czasami kochał ją z beznadziejnym oddaniem, a czasami czuł się tak zagnany w kąt, tak zgnębiony i spodlony, że nieraz jej tym czy owym przyłożył. Leżący w szpitalnym łóżku Charley nie miał o niczym pojęcia; czasami nawiedzała go niejasna myśl, że żona wykorzystwała go do własnych celów i zmusiła do budowy tego wspaniałego domu i że traktuje instrumentalnie także własne córki i wszystkich innych ludzi, ale ta myśl szybko zniknęła i Charty znów zostawał sam na sam ze swoją szaloną miłością. Ale czy tak nie dzieje się między mężczyznami i kobietami od niepamiętnych czasów? Kobiety wygrywają nie w otwartym starciu, lecz sprytem.

Kłopot w tym, zdał sobie sprawę, że kiedy człowiek raz już zacznie tak myśleć, kiedy zacznie szukać sygnałów wskazujących na to, że jest wykorzystywany, to potrafi wszędzie znaleźć dowody na potwierdzenie swoich podejrzeń. Zwykła paranoja. A jeżeli poprosi mnie, żebym zawiózł ją do Petalomy po stufuntowy worek pokarmu dla kaczek, którego w żaden sposób nie potrafiłaby podnieść, czy musi to oznaczać, że już nie jestem mężczyzną, że nie jestem żywym człowiekiem, tylko maszyną, która potrafi podnosić stufuntowe ciężary i wrzucać je na samochód?

Przecież inni też wybierają sobie znajomych spośród ludzi, którzy są dla nich użyteczni. Czyż mężczyźni nie żenią się z kobietami, które im schlebiają, które dla nich gotują i kupują im ubrania? Czy to nie naturalne? Czy miłość ma być normalna tylko wtedy, gdy wiąże ze sobą ludzi, którzy w innym wypadku nie mogliby być dla siebie użyteczni?

Nie mógł przestać łamać sobie nad tym głowy.

Pewnego niedzielnego popołudnia pojechał z Fay na leżące na przylądku ranczo McClure'ów. Ten dziki, porośnięty wrzosami płaskowyż, kończący się opadającym do oceanu urwiskiem, miał wszelkie szanse uzyskać kiedyś status parku narodowego. Było to jedno z bardziej odludnych miejsc w całych Stanach Zjednoczonych, a panujący tu mikroklimat zupełnie nie przypominał kalifornijskiej pogody. Tymczasem jednak teren ten należał do różnych gałęzi klanu McClure'ów i podobnie jak większość ziemi na przylądku, służył hodowli znakomitego mlecznego bydła. Rodzina McClure'ów ofiarowała już władzom stanowym kawałek wybrzeża na publiczną plażę. Władze jednak chciały też dostać resztę rancza. McClure'owie byli zakochani w tej okolicy i w swojej posiadłości, więc spór ciągnął się już od dłuższego czasu, a jego wynik ciągle był niewiadomy. Prawie wszystkim okolicznym mieszkańcom zależało na tym, by McClure'owie zachowali swoją ziemię.

Na razie, żeby dotrzeć do oceanu, trzeba było znać któregoś z McClure'ów, by dostać pozwolenie na przejazd przez ranczo. Mniej więcej dwunastomilowa, wysypana czerwonym żwirem droga, która prowadziła przez ten teren, była zryta głębokimi, powstałymi po zimowych deszczach koleinami. Samochód, który zsunąłby się w takie koleiny albo zjechał na pastwisko, musiał ugrzęznąć. A w okolicy nie było telefonu, z którego można by zadzwonić po pomoc drogową.

Samochód podskakiwał na wybojach i ślizgał się od pobocza do pobocza, a Nat coraz lepiej rozumiał, jak bardzo są tu samotni. Gdyby coś im się stało, nie było nikogo, kto mógłby im pomóc. Po obu stronach drogi pasło się na wpół dzikie bydło. Nat nie widział ani słupów telegraficznych, ani przewodów, żadnego śladu, który mógłby świadczyć o tym, że jest tu elektryczność. Wszędzie tylko łagodne, porośnięte trawą wzgórza. Gdzieś przed nimi był ocean i koniec drogi. Nie znał tej okolicy. Fay przyjeżdżała tu oczywiście parę razy, żeby nazbierać mięczaków. Zła droga najwyraźniej jej nie przeszkadzała: prowadziła pewnie, trąkając przez cały czas.

– Problem polega na tym, że jak masz tutaj volkswagena albo jakiś sportowy wóz – powiedziała – to kiedy zderzysz się z jeleniem, samochód się przewraca. I koniec z tobą. Albo weźmy krowy. Niektóre z tych krow wąż tyle co volkswagen.

Pomyślał, że to przesada. Nie odezwał się jednak. Zrobiło mu się niedobrze od tej jazdy i poczuł się znów jak dziecko wiezione samochodem przez matkę.

W jakimś sensie to uczucie oddawało problem, jaki gnębił go w związku z Fay. Jej stosunek do mężczyzn był stosunkiem matki do dzieci. Przyjmowała za pewnik, że mężczyźni są słabsi, żyją krócej i gorzej rozwiązują problemy. Mit naszych czasów, pomyślał. Wszystkie towary wytwarza się z myślą o kobietach... to one trzymają rękę na rodzinnych funduszach i producenci o tym wiedzą. W serialach telewizyjnych kobiece postacie są odpowiedzialne a mężczyźni to głupawi faceci, żywcem wyjęci z komiksu..

Zadałem sobie wiele trudu, żeby zerwać z rodzicami, szczególnie z matką, usamodzielnąć się, uniezależnić finansowo i założyć własną rodzinę, pomyślał. A teraz zadaję się z silną, wymagającą i wyrachowaną kobietą, która nie mrugnęłaby nawet okiem, gdybym znów znalazł się w poprzedniej sytuacji. Właściwie wydawałoby jej się to całkowicie naturalne.

Kiedy gdzieś razem wychodzili, Fay zawsze starannie przyglądała się temu, w co się ubrał. Postanowiła, że za każdym razem będzie musiał uzyskać jej aprobatę.

– Nie sądzisz, że powinieneś założyć krawat? – pytała.

Jemu nigdy nie przyszło do głowy, żeby oceniać to, co Fay ma na sobie, żeby powiedzieć jej na przykład, iż jego zdaniem szorty i bluzka bez rękawów to nieodpowiedni strój na zakupy w supermarkecie albo że zamszowy płaszcz, żółtozielone spodnie, ciemne okulary i sandały składają się na groteskowy ubiór w ogóle niewart noszenia. Kiedy ubierała rzeczy, które do siebie nie pasowały, on akceptował to jako nieodrodną część jej samej.

Wyżłobione w żwirze koleiny kończyły się w cyprysowym lasku rosnącym na krawędzi oceanicznego klifu. W środku lasku zobaczył niewielki, stary, lecz dobrze utrzymany, otoczony ogródkiem dom, przed którym rosła palma. Do domu przylegały zabudowania gospodarcze. Wyglądały na starsze niż cokolwiek, co widział dotąd w Kalifornii, może z wyjątkiem starych hiszpańskich budynków z wypalanej na słońcu cegły, które teraz były oczywiście zabytkami. Dom i przylegające do niego zabudowania – inaczej niż budynki gospodarcze, które dotychczas widywał – były pomalowane na ciemny kolor. Także w ogrodzie przeważały brązy. Palma, podobnie jak inne drzewa tego gatunku, miała gruby i włochaty pień. Wrażenie opuszczenia było tak zupełne, że Nat zastanowił się, czy ktokolwiek był tu przez ostatni miesiąc. Wszędzie jednak panował porządek. W takiej odległości od samochodów i ludzi nie było nikogo, kto mógłby narobić szkód. Było za daleko nawet dla wandali.

– Niektóre z tych budynków mają po sto lat – poinformowała go Fay, zjeżdżając z drogi, kończącej się tu zamkniętą bramą, na niewielką łąkę. Zatrzymała się przy ogrodzeniu z drutu kolczastego i wyłączyła silnik. – Dalej musimy już iść – powiedziała.

Przynieśli z samochodu wędki oraz lunch i położyli pod płotem. Fay uniosła jeden z drutów i z łatwością prześlizgnęła się przez ogrodzenie. On uznał, że musi przejść przez bramę: nie był tak szczupły jak ona. Ruszyli ścieżką prowadzącą przez pastwisko, po czym zaczęli schodzić po piaszczystym, porośniętym trawą zboczu. Usłyszał szum przybrzeżnych fal oceanu. Wiatr

przybrał na sile. Piasek osuwał się i ustępował pod stopami Nata. Musiał się położyć i przytrzymać splątanych żdźbeł. Przed nim Fay podskakiwała, potykała się, przytrzymywała, lecz szła bez przerwy naprzód, opowiadając mu przez cały czas, jak to z Charleyem, dziewczynkami i grupką przyjaciół przyjechała kiedyś na tę plażę. Mówiła, jak trudno im było zejść, jakie ryby złowili, jakie groziły im niebezpieczeństwa, kto się bał, a kto nie... Wymacywał drogę i myślał, że kobiety można by podzielić na dwie kategorie: te, które potrafią się wspinać, i całą resztę. Kobieta, która umie się wspinać, różni się od innych. Najprawdopodobniej ta różnica wpływa na jej stronę fizyczną i psychiczną. W tym akurat momencie wydało mu się to szczególnie istotne, jakby ktoś objawił mu niezwykle ważną prawdę.

Fay dotarła do jakichś skalnych występów. Wydawało mu się, że przed nią jest już tylko pionowe urwisko, a niżej czubki stojących nisko w dole skałek i grzywy fal. Fay przyklękała i powoli zsunęła się na wystającą półkę. Spomiędzy kupek piasku i kamieni, które osypały się tu ze zbocza, Wyciągnęła linę, przywiązaną do wbitego w skałę pręta.

– Dalej będziemy schodzić po linie! – krzyknęła w jego stronę.

Chryste Panie, pomyślał.

– Dziewczynki dały sobie radę! – zawołała.

– Szczerze mówiąc – powiedział, trzymając się na rozstawionych szeroko nogach i uważając, by nie stracić równowagi – nie jestem pewien, czy potrafię.

– Ja zniosę rzeczy – postanowiła Fay. – Rzuć mi te paczki i wędki.

Ostrożnie opuścił rzeczy. Fay przymocowała sobie pakunki do pleców i zsunęła się po linie, znikając mu z oczu. Po chwili znów ją zobaczył, tym razem już bardzo nisko; stała na plaży i patrzyła w jego stronę, zadzierając głowę prawie pionowo w górę. Mała figurka wśród skał.

– W porządku! – krzyknęła, przykładając dłoń do ust. Klnąc ze strachu, trochę ześlizgując się, a trochę idąc, dotarł poprzez skalne występy do liny. Zauważył, że jest mocno sfatygowana, co nie wpłynęło dodatnio na jego morale. Jednak po raz pierwszy zauważył, że klif nie urywa się tu pionowo; można było w nim znaleźć wygodne oparcie dla stóp, a lina była tylko dodatkową asekuracją. Nawet bez niej, gdyby zaistniała taka konieczność, można było, stawiając krok za krokiem, zejść na plażę. Kiedy znalazł się na dole, Fay była już zajęta szukaniem niecki, dostatecznie głębokiej, by można w niej było łowić. Nie zadała sobie nawet trudu, żeby popatrzeć, jak schodzi.

Potem umocowali wędki między kamieniami i łapali ryby w wypełnionej wodą niecce, którą pozostawiła fala odpływu. W wodzie pełzało kilka krabów, dostrzegł też wieloramienne rozgwiazdy, jakich nigdy przedtem nie widział. Dwanaście ramion... jasnopomarańczowych.

– Zobacz, ślimak morski – powiedziała, pokazując palcem jakiś nieokreślony kształt.

Jako przynęty używali małży. Według Fay można tu było złapać nawet oceaniczne pstrągi. Jednak w niecce nie było widać żadnych ryb, nie bardzo więc liczyli na to, że uda im się coś

złowić. Mimo to było tu ciekawie: dzika plaża u stóp klifu na którą można dotrzeć tylko po linie... nie leżały tu puszki po piwie ani skórki pomarańczy, tylko puste skorupki ślimaków i śliskie skały, wśród których można było znaleźć te zwierzątka.

– Chciałbym cię o coś spytać – powiedział.

– Pytaj – zgodziła się leniwie. Prawie zasnęła, oparta plecami o skałę. Miała na sobie flanelową koszulę, płócienne spodnie i zdarte tenisówki.

– Do czego zmierza nasz związek?

– Pożyjemy, zobaczymy – odparła Fay.

– A dokąd chciałabyś, żeby zmierzał?

Otworzyła jedno oko i przyjrzała mu się uważnie.

– Nie jesteś szczęśliwy? Boże drogi, przecież świetnie cię karmię, możesz korzystać z mojego samochodu, z karty kredytowej, kupiłam ci za własne pieniądze porządne ubranie, i to takie, które nie jest już od dwóch lat niemodne... możesz się ze mną pieprzyć. Zgadza się?

Odkąd pierwszy raz usłyszał, jak Fay wypowiada to słowo, zawsze czuł się niezręcznie. Teraz oczywiście nie przestanie już tak mówić, bo zauważyła jego reakcję.

– I o co ci jeszcze chodzi? – zapytała.

– A co ty chcesz z tego mieć?

– Mam uroczego mężczyznę – odparła. – Bardzo przystojnego. Przecież wiesz. Jesteś najprzystojniejszym facetem, jakiego w życiu widziałam. Kiedy cię zobaczyłam, od razu nabrałam ochoty, żeby zaciągnąć cię do łóżka i pieprzyć się z tobą. Nie mówiłam ci o tym?

– Zastanówmy się, jakie są możliwości rozwoju sytuacji – powiedział, nie tracąc cierpliwości. – Przede wszystkim twój mąż: albo wyzdrowieje, albo nie wyzdrowieje. To znaczy, że albo wróci ze szpitala do domu, albo nie wróci. Czy ty rozumiesz, że nie wiem, co do niego czujesz? Nie wiem, czy chciałabyś, żeby wrócił, a gdyby tak się stało...

– Wiesz co, moglibyśmy położyć się na piasku i trochę popieprzyć – przerwała mu.

– A niech cię szlag trafi – powiedział.

– Dlaczego? – zdziwiła się. – Dlatego, że używam takich samych słów jak ty? Jak chcesz to nazwać? Robisz to ze mną, niezależnie od tego, jaką nadajesz tej czynności nazwę. Pieprzysz się ze mną. Pieprzyliśmy się... pięć razy. Posłuchaj.– Nagle spoważniała.– Ostatnim razem, kiedy myślałam po tym krążek... mówiłam ci już?

– Nie – zaniepokoił się.

– Był całkiem przeżarty. Dziurawy. Jesteś pewien, że twoja sperma nie zawiera kwasu siarkowego? Boże, ten krążek był zupełnie do niczego... musiałam pojechać do Fairfax po nowy, no i musieli mi wziąć miarę. Ta kobieta powiedziała mi, że muszę tak robić za każdym razem, kiedy dostaję nowy krążek. Nie wiedziałam... Zmieniałam go przedtem sześć czy siedem razy bez żadnego mierzenia. Powiedziała mi, że ten, który miałam, był o wiele za mały. Dobrze się

stało, że się zużył.

Po chwili spróbował wrócić do tematu, który poruszył.

– Chcę wiedzieć, czy traktujesz mnie jak kogoś, z kim chciałabyś zostać na stałe.

– A co by było, gdybym powiedziała, że nie?

– Jestem po prostu ciekaw.

– Czy to ma jakieś znaczenie? Dlaczego niby miałbyś otrzymywać odpowiedzi na te twoje doniosłe pytania? Boże drogi.

– Nie zapominaj, że jestem żonaty – powiedział z rosnącą wściekłością. – Muszę wiedzieć, na czym stoję.

– To znaczy chcesz wiedzieć, czy mam czyste intencje?

– Tak – wydusił w końcu.

– Kocham cię – powiedziała Fay. – Wiesz przecież, jak na mnie działasz. Nikt inny nigdy tak na mnie nie działał. Ale... chcesz powiedzieć, że myślisz o małżeństwie, prawda? A potrafiłbyś mnie utrzymać? Wydaję na dom dwanaście tysięcy dolarów rocznie... wiedziałeś o tym?

– Tak.

– Nie zdołałbyś ze swojej pensji utrzymać mnie i moich córek.

– Trzeba by zawrzeć jakąś ugodę – powiedział.

– Do mnie należy połowa domu. To jest współwłasność. Moja część jest warta około piętnastu tysięcy. Poza tym mam jeszcze coś, co Charley dał mi w prezencie... akcje Forda. Mam z nich jakieś sto dolarów miesięcznie. Do tego dochodzi sto pięćdziesiąt na miesiąc z czynszówki w Tampie na Florydzie. Razem daje to dwieście pięćdziesiąt dolarów miesięcznie i to jest wszystko, co mam. No i buick. Jest mój.

– Czy brałabyś pod uwagę możliwość rozstania z Charleyem? – zapytał. – Gdyby wyzdrowiał?

– No cóż. Dziewczynki cię lubią. Charleya się boją, bo widziały, jak mnie bił. Ty byś mnie nigdy nie uderzył, prawda? Nie toleruję takich historii. Parę razy chciałam już od niego odejść. Cholera, kiedyś o mało co nie pojechałam do szeryfa Chisholma, żeby złożyć doniesienie o pobiciu... może trzeba było. – Przerwała i zamyśliła się głęboko. – Powinnam dostać ten dom. Właściwie należy do mnie. Powinien mi go dać.

– To ładny dom – powiedział. Wyobraził sobie, jak by to było. Żyliby częściowo... a właściwie przede wszystkim... z pieniędzy Fay. I mieszkaliby w domu Fay. Dzieci są Fay. Samochód też. Oczywiście jadałby dobrze... zakładając, że ugoda z Charleyem poszłaby po jej myśli. Ale przypuśćmy, że Charley wynająłby prawników i zarzuciłby jej zdradę małżeńską. Przypuśćmy, że oskarżyliby ją o niewywiązywanie się z obowiązków rodzicielskich. Niewykluczone, że to wszystko skończyłoby się bez żadnej ugody z Charleyem, bez alimentów

i bez prawa do dzieci.

– Nie musiałbyś utrzymywać dziewczynek – odezwała się Fay. – Wiem na pewno, że zawsze by na nie łożył.

Pokiwał głową.

– Jak byś się czuł, żyjąc na mój koszt? – zapytała.

– A ty?

– Mnie by to nie przeszkadzało – odparła. – Pieniądze to tylko pieniądze i nic więcej. Poza tym to by była jego forsa.

– A gdyby coś się wydarzyło i nie dostałabyś tych pieniędzy? Nie miałabyś nic poza tym, co ja mógłbym zarobić...

– Mógłbyś przerwać studia – powiedziała. – I zacząć pracować na pełny etat. Nie mógłbyś zarabiać na nieruchomościach tyle, żeby nam starczyło na życie? Znam jednego gościa z San Francisco, który zarabia w ten sposób czternaście tysięcy rocznie. Na takich interesach można zbić fortunę. – A potem zaczęła mu opowiadać zasłyszane od pośredników w handlu nieruchomościami i od spekulantów ziemią historie o dochodowych transakcjach, o ludziach, którzy wzbogacili się z dnia na dzień, i o wygodnym życiu. Na przykład jej dom w Tampie. Dostali go prawie za darmo. Charley miał smykałkę do kupowania nieruchomości za małe pieniądze... te dziesięć akrów w hrabstwie Marin nie kosztowało ich wiele. Kiedyś zdobyli też prawo pierwokupu ziemi w różnych miejscach hrabstwa, a niektóre z tych lokalizacji były po prostu znakomite.

– Myślę, że na dłuższą metę będzie o wiele lepiej, jeśli nie przerwę studiów i zrobię dyplom – powiedział.

– Bzdura – sprzeciwiła się. – Ja mam magisterkę i nie byłam w stanie zarobić ani centa, chociaż próbowałam. Nie miałam kwalifikacji, żeby dostać wysoko płatne stanowisko wymagające profesjonalnego przygotowania, a kiedy próbowałam zdobyć jakąś pracę, którą zwykle daje się absolwentkom szkół dla sekretarek – maszynopisanie, stenografia, takie tam biurowe roboty – to patrzyli na mnie podejrzliwie, bo miałam uniwersytecki dyplom. Mówili mi, że „nie byłabym usatysfakcjonowana”. To działo się oczywiście jeszcze przed ślubem. Teraz, kiedy żyje mi się naprawdę szczęśliwie, wołałabym się raczej zastrzelić, niż pracować w biurze. Podoba mi się na wsi; tak tu pięknie. Za nic w świecie nie wróciłabym do miasta. Chybabym tam umarła.

To, co chce mi przekazać, jest całkowicie jasne, pomyślał. Nie zrobi nic, żeby pomóc mi skończyć studia. Nie powoli na jakiegokolwiek obniżenie standardu swojego życia. Nie wyprowadzi się nawet ze swojego domu ani nie wyjedzie z hrabstwa. Chce – a raczej wymaga – by jej życie wyglądało tak samo jak dotąd, z tym jednak, że ja będę jej mężem zamiast Charleya.

W istocie chodzi jej o to, by mieć wszystko, co dostała od Charleya, i jednocześnie się go

pozbyć. On stanowi jedyny element, na którym jej nie zależy. Chciałaby, żebym zajął jego miejsce. Reszta ma pozostać bez zmian.

Nie żylibyśmy jak małżeństwo. Wskoczyłbym po prostu na miejsce, z którego Charley został wyrzucony. Stałbym się częścią jej życia i zajmował w nim ściśle określoną pozycję.

Ale czy to rzeczywiście byłoby aż tak straszne? – zadał sobie pytanie.

Nie mógłby nawet marzyć, żeby kiedykolwiek ze swoich niewielkich zarobków kupić, wybudować czy wynająć taki dom. A Fay była bez wątpienia wyjątkową kobietą i wymarzonym kompanem dla mężczyzny – kłęła, chodziła po górach i uprawiała sport, nie bała się spróbować czegoś nowego. Rozumiała, czym jest przygoda i odkrywanie nowych lądów.

Pewnego dnia wybrali się nad morze po ostrygi. Kiedy zobaczyła łódź do połowu ostryg i kręcących się przy niej mężczyzn, od razu zapragnęła znaleźć się na morzu razem z nimi. Spytała, kiedy wypływają – była to mała łódź, która zabierała dwie albo trzy osoby załogi i sprzęt – i czy mogłaby się z nimi zabrać. Wszyscy mężczyźni – Meksykanin, który otwierał ostrygi, właściciel łodzi i sam Nat – byli pełni podziwu dla tej drobnej kobiety, która nie okazała ani wahania, ani strachu.

Dobrze mi z nią, pomyślał. W każdej sytuacji potrafi znaleźć coś interesującego. Kiedy tu jechali, zauważyła wiele rzeczy, które umknęły jego uwagi... żyje o wiele intensywniej niż on. Naturalnie tylko terażniejszością. Nie jest zdolna do refleksji. Nie potrafi niczego uważnie przeczytać ani głęboko się zamyślić. Ma ograniczony zakres zainteresowań, zupełnie jak dziecko. A jednak, inaczej niż dziecko – zupełnie inaczej – potrafi przez długi czas dążyć do wytyczonego celu... znów złapał się na tym, że zastanawia się jak długi może być ten czas. Kilka lat? Całe życie? Czy ona w ogóle potrafi się poddać, kiedy czegoś chce?

Przecucie mówiło mu, że tak naprawdę Fay nigdy jeszcze się nie poddała, że nawet wtedy, kiedy mogło się tak wydawać, czekała tylko sposobnej okazji.

A my jesteśmy tylko przedmiotami, które ona chce posiadać lub których posiadać nie chce, pomyślał. Tak się składa, że jestem rzeczą, którą Fay chce mieć. Chce mnie mieć za męża.

Czyż nie jestem szczęściarzem? Czy to wykluczone, by mężczyzna żył pełniej i szczęśliwiej wtedy, gdy jest wykorzystywany przez tak ekscytującą kobietę, niż wtedy, gdy żyje po swojemu, lecz jest to egzystencja jednostajna i ograniczona? Czy nie taki właśnie jest trend społeczny? Czy nie na tym polega nowa rola mężczyzny? Czy jest konieczne, bym dążył do celów, które sam sobie postawiłem? Czy nie mogę pozwolić innej osobie, bardziej witalnej i aktywnej, aby ona mi je stawiała?

Co w tym takiego złego?

A jednak czuł, że jest w tym coś niedobrego. Nawet jeśli idzie o drobiazgi... na przykład kiedyś siedzieli przy obiedzie, nałożyła mu sałatki, której nie lubił, tylko dlatego, że w jej mniemaniu powinien ją zjeść. Nie podawała mu potraw, na które miał ochotę. Nawet pod tym

względem traktowała go jak dziecko i dostawał tylko to, co według niej powinien jeść.

– W ziemniakach są witaminy i sole mineralne – poinformowała go pewnego razu Elsie. Obie dziewczynki w żartach nazywały go „miłym, dużym chłopcem”. Był największym a raczej jedynym chłopcem, który jadał z nimi obiady. Był zupełnie inny niż tatuś. Inny niż człowiek, który leżał w szpitalu.

Ciekawe, czy skończy się tym, że jej kiedyś przyłożę, pomyślał. Nigdy jeszcze nie uderzył kobiety, a jednak czuł przez skórę, że Fay należy do takich kobiet, które zmuszają mężczyzn, by je bili. Nie zostawiają im innego wyjścia. Niewątpliwie jeszcze tego nie zauważyła. Nie odniosłaby żadnej korzyści, gdyby się o tym dowiedziała.

A ten jego atak serca, pomyślał. Kiedy już dostanie wszystko, czego ode mnie chciała, kiedy poczuje się mną zmęczona albo kiedy zacznie się mnie bać i będzie chciała się mnie pozbyć, czyja też dostanę ataku serca?

Do pewnego stopnia bał się tej kobiety.

Jeśli potrafiła mnie zmusić, bym zaryzykował rozbicie mojego małżeństwa i nawiązał z nią romans, pomyślał, to potrafi też mnie zmusić, abym poszedł tą drogą do końca. Czemuż by nie? Mam rozwieść się z Gwen i ożenić z Fay. Zakładając oczywiście, że uda jej się pozbyć Charleya bardziej skutecznie. Nawet gdybym nie chciał przeprowadzić tej sprawy do końca, nawet gdybym kiedykolwiek próbował się uwolnić...

To i tak by mi się nie udało.

Spójrzmy prawdzie w oczy: prawdopodobnie jest już za późno. Nie mogę się od niej uwolnić.

Dlaczego nie? Musiałbym tylko przestać się z nią spotykać. Czy jestem zbyt słaby, aby miało mi się to udać?

Doszedł do wniosku, że Fay znalazłaby jakiś sposób, by ściągnąć go z powrotem, gdyby jej na tym zależało. Zadzwoiłaby któregoś wieczoru i powiedziała cokolwiek, poprosiłaby o coś, a on nie potrafiłby odmówić, to znaczy nie chciałby odmówić.

To taka niezwykła kobieta, pomyślał. Taka skomplikowana. Z jednej strony wydaje się żywa i sprawna, a jednak zdarzało mi się ją widzieć w sytuacjach, w których zachowywała się tak nieporadnie, że wstyd było patrzeć. Robi wrażenie twardej osoby o światowych manierach, a czasami zachowuje się jak niedojrzała nastolatka: miewa zaskorupiałe, mieszczańskie zapatrywania, nie potrafi samodzielnie myśleć, zdaje się na jakieś staroświeckie sądy... jest ofiarą rodzicielskiego wychowania, kobietą, którą szokuje to, co szokuje innych, i która pożąda tego, czego inni pożądamy. Chce mieć dom i męża, a mąż w jej wyobrażeniu to ktoś, kto zarabia określone pieniądze, pomaga w ogrodzie, zmywa naczynia... to postać, którą można znaleźć w komiksach drukowanych w czasopiśmie „This Week”. W gruncie rzeczy Fay reprezentuje punkt widzenia najprymitywniejszych grup społecznych, wszechświat mieszczańskiego życia,

którego styl przechodzi z pokolenia na pokolenie. Chociaż tak przeklina.

Zwykła kura domowa – tak kiedyś o sobie powiedziała, w chwili gdy się rozbierała, by pójść z nim do łóżka. Tamtego popołudnia jej brat gdzieś pojechał, zdaje się, że do Petalomy po zakupy. Nat roześmiał się wtedy.

Dlaczego mnie tak do niej ciągnie? – zadał sobie pytanie. Jej ciało? Przedtem nigdy nie pociągały go tak szczupłe kobiety. Nie można było zaprzeczyć, że Fay jest szczupłą, czasami nawet wydawała się chuda. A może chodzi o te wartości typowe dla klasy średniej, które wyznaje? Sądził, że jest w niej coś niezłomnego a zarazem delikatnego. Może to właśnie w niej podziwiam, pomyślał. Czuję, że byłaby dobrą żoną, właśnie dlatego, że wierzy w to, w co wierzy; dlatego, że tak głęboko tkwi w świecie mieszczańskich pryncypiów. A te pryncypia to materia najmniej postępową i najbardziej konserwatywną. Małżeństwo też jest konserwatywną instytucją.

W głębi duszy jej ufam, zdecydował w końcu. To znaczy ufam temu, czego się nauczyła i co w niej tak głęboko tkwi. Ufam temu, co wyszała z mlekiem matki. Nie ona to wymyśliła i niewielką nad tym ma władzę. Tak, Fay sama rozumie, że pod tym blichтром jest w gruncie rzeczy całkiem zwykłą kobietą, i to w najlepszym sensie tego słowa. Jest atrakcyjna nie dlatego, że jest niezwykła i ekscytująca, lecz dlatego, że potrafiła odnaleźć pewną niezwykłość w czymś bardzo pospolitym – to znaczy w sobie.

– Taka to z ciebie mieszcanka, co? – powiedział do niej.

– A nie wiedziałeś? – zdziwiła się Fay. – Boże, a ty myślałeś, że kim ja jestem? Bitniczką?

– Czemu się mną interesujesz? – zapytał stanowczo.

– Bo jesteś dobrym materiałem na męża – powiedziała. – Jestem wyrachowana i nie ma w tym nic romantycznego.

To mu zamknęło usta. Fay odchyliła się do tyłu, oparła plecami o skałę, zamknęła oczy, rozkoszując się słońcem i hukiem fal. Nat się martwił. I tak spędzili resztę popołudnia.

Rozdział 12

W piątek, mimo że siostra obrzuciła mnie przekleństwami w typowy dla siebie sposób, poszedłem do Inverness Park do domu Claudii Hambro i wziąłem udział w spotkaniu grupy.

Dom stał w kanionie, w połowie wysokości zbocza, przy wąskiej, krętej, nieprzejezdnej drodze. Zewnętrzne ściany wyglądały jak namoknięte; jakby drewno, choć pomalowane, nasiąkło wilgocią ziemi i drzew. Większość stawianych w kanionach budynków nigdy nie wysychała. Wokół domu ze wszystkich stron rosły paprocie. Niektóre z nich wyrastały tak wysoko i tak blisko, iż wyglądało, jakby wżerały się w ściany. Dom był duży: miał dwa piętra, a z jednej strony otoczony barierką ganek. Rośliny sprawiały jednak, że wtapiał się w zbocze kanionu i trudno go było dostrzec. Zauważyłem kilka samochodów zaparkowanych na skraju drogi naprzeciw budynku i dzięki temu domyśliłem się, dokąd powinienem pójść.

Panią Hambro spotkałem w drzwiach. Miała na sobie jedwabne spodnie chińskiego kroju i pantofle, a jej włosy były tym razem splecione w lśniący warkocz, który zwieszał się aż do pasa. Spostrzegłem, że długie i ostre paznokcie pomalowała na srebrno. Na twarz naniosła dość ostry makijaż: jej oczy sprawiały wrażenie wyjątkowo ciemnych i dużych, a usta miała pomalowane szminką tak czerwoną, że jej kolor wpadał nieomal w brąz.

Minąłem dwoje szklanych drzwi, zablokowanych książkami, by się nie zamknęły, i wszedłem do living roomu o ścianach i suficie z ciemnego drewna. W pokoju było pełno regałów z książkami, krzesel i kilka kanap, a w głębi spostrzegłem kominek, nad którym pani Hambro zawiesiła chińską tkaninę przedstawiającą gałąź drzewa na tle góry. Na krzesłach siedziało sześć, może siedem osób. Kiedy chodziłem po pokoju, zauważyłem magnetofon i szpulki taśm oraz sporo egzemplarzy magazynu „Fate” – czasopisma poświęconego niezwykłym faktom naukowym.

Ludzie znajdujący się w pokoju robili wrażenie spiętych, biorąc jednak pod uwagę powód, dla którego wszyscy się tutaj zebraliśmy, trudno było im się dziwić. Pani Hambro przedstawiła mnie zebrany. Starszy, z wiejska ubrany mężczyzna pracował w sklepie żelaznym w Point Reyes. Kolejny, jak powiedziała mi pani Hambro, był cieślą z Inverness. Ostatni z mężczyzn, krótko obcięty blondyn w szerokich spodniach i skórzanych mokasynach, był mniej więcej w moim wieku. Według słów pani Hambro, miał małą farmę mleczną położoną po drugiej stronie zatoki, koło Marshall. Poza nimi w pokoju były same kobiety. Rosła i dobrze ubrana pani po pięćdziesiątce okazała się żoną właściciela baru z Inverness Park. Mąż następnej był pracownikiem technicznym znajdującego się na przylądku nadajnika Radio Corporation of America. Kolejnej – mechanik samochodowy z Point Reyes Station.

Ledwie usiadłem, do pokoju weszła para w średnim wieku. Pani Hambro powiedziała nam,

że właśnie sprowadzili się do Inverness. Mężczyzna był malarzem pejzażystą, a kobieta zajmowała się przerabianiem garderoby. Zamieszkali na północnym zachodzie hrabstwa ze względów zdrowotnych. To najwidoczniej byli już wszyscy, bo pani Hambro zamknęła szklane drzwi i usiadła między nami.

Rozpoczęło się spotkanie. Zaciągnięto zasłony i gospodyni powiedziała tej rosłej, dobrze ubranej kobiecie – noszącej, jak się okazało, nazwisko Bruce – by położyła się na kanapie. Następnie pani Hambro zahipnotyzowała panią Bruce i zmusiła ją, by cofnęła się o kilka poprzednich żywotów w celu nawiązania kontaktu z ukrytą osobowością, która ujawniała się rzadko, a która otrzymywała informacje dotyczące wysoko rozwiniętych istot sprawujących nad nami kontrolę. Wyjaśniono mi i przybyłej po mnie parze, że dzięki ukrytej osobowości pani Bruce grupa zgromadziła precyzyjne informacje na temat planów, które te istoty powzięły w celu unicestwienia Ziemi i jej mieszkańców.

Po chwili wypełnionej wzdychaniem i pomrukami pani Bruce oświadczyła, że wysoko rozwinięte istoty postanowiły nieodwołalnie skończyć z Ziemią i że tylko ci, którzy nawiązali kontakt z prawdziwymi siłami rządzącymi wszechświatem, zostaną uratowani. Zostaną zabrani przez latający spodek na dzień przed mającą nastąpić pożogą. Następnie pani Bruce zapadła w głęboki sen, podczas którego chrapała. W końcu pani Hambro wybudziła ją, licząc do dziesięciu i klaszcząc w dłonie.

Wszyscy byliśmy, rzecz jasna, podekscytowani tą wiadomością. Jeśli miałem przedtem jakiegokolwiek wątpliwości, to teraz ukryta osobowość pani Bruce, która odbierała informacje od wysoko rozwiniętych istot – a widziałem to przecież na własne oczy – przekonała mnie całkowicie. Ostatecznie miałem teraz w rękę potwierdzone doświadczalnie dowody – najlepsze dowody naukowe, jakie można sobie wyobrazić.

Przed grupą stanął teraz problem poznania dokładnej daty końca świata. Pani Hambro przygotowała dwanaście karteczek papieru z powypisywanymi nazwami miesięcy oraz trzydzieści jeden innych, na których widniały liczby od jednego do trzydziestu jeden. Następnie ułożyła te kawałki w dwóch stosikach na stole. Potem znów wprowadziła panią Bruce w trans i zapytała, kto powinien wziąć na siebie rolę narzędzia prawdy objawionej i wybrać odpowiednie karteczki.

Pani Bruce oświadczyła, że powinien być to ktoś, kto tego dnia dołączył do grupy, a jednocześnie przyszedł sam. Najwyraźniej miała mnie na myśli. Pani Hambro obudziła najpierw panią Bruce, a potem kazała mi zamknąć oczy, podejść do stołu i wybrać po jednej karteczce z każdej kupki.

Obserwowany przez wszystkich obecnych, podszedłem, stołu i wyciągnąłem dwie karteczki. Na pierwszej było napisane „kwiecień”. Na drugiej widniała liczba dwadzieścia trzy. Oznaczało to, że w zamyśle wysoko rozwiniętych istot, które panują nad wszechświatem, Ziemia miała

przestać istnieć dwudziestego trzeciego kwietnia.

Poczułem się dość dziwnie, kiedy zrozumiałem, że to właśnie ja zostałem wybrany, by ogłosić datę końca świata. Ale przecież, co sam musiałem przyznać, owe wysoko rozwinięte istoty od dawna miały wpływ na mój los i sprowadziły mnie z Seville do Drake's Landing w tym właśnie celu. Nie było więc nic dziwnego w tym, że podszedłem do stołu i wybrałem tę datę. Wszyscy byliśmy teraz spokojni i opanowani. Popijaliśmy kawę i rozmyślaliśmy w całkowitej niemal ciszy o tym, co się stało.

Zrodziła się niewielka dyskusja o tym, czy powinniśmy zawiadomić „Journal” z San Rafael i wychodzącą w Baywood gazetę „Press”. Ostatecznie doszliśmy do wniosku, że wydawanie publicznego oświadczenia nie ma sensu, ponieważ ci, którzy mają być uratowani przez wysoko rozwinięte istoty – zwane przez nas WRI – zostaną powiadomieni bezpośrednio drogą telepatyczną.

Zakończyliśmy spotkanie w atmosferze pewnego zdziwienia i zadumy i wyszliśmy z domu pani Hambro na palcach, jak wierni, którzy wychodzą z kościoła. Jeden z członków grupy, mężczyzna pracujący w sklepie żelaznym, Podwiózł mnie i wysadził przed domem mojej siostry. Nie pamiętałem jego nazwiska, a po drodze byliśmy zbyt zajęci myślami, by ze sobą rozmawiać.

Kiedy wszedłem do środka, zobaczyłem, że Fay ściera kurze w living roomie. Spodziewałem się, że zapyta mnie o spotkanie grupy, ale ona w ogóle nie zwróciła na mnie uwagi. Odkurzała szybko i nerwowo, więc wywnioskowałem, że pewnie zaprzątnięta jest jakimś swoim problemem i że nie obchodzi jej ani ja, ani to, co miałbym do powiedzenia.

– Dzwonili ze szpitala – odezwała się w końcu. – Chcą żebym przyjechała. Mają mi coś do powiedzenia na temat Charleya.

– Jakieś złe wiadomości? – zapytałem, myśląc jednocześnie, że cokolwiek by to było, to i tak nic w porównaniu z informacją, którą miałem jej do przekazania. A jednak choć wiedziałem, że został nam tylko miesiąc, złapałem się na tym, że niepokoję się o Charleya.

– Co ci powiedzieli? – spytałem stanowczo, idąc za siostrą do sypialni.

– Och – powiedziała wymijająco. – Sama nie wiem. Chcą porozmawiać o terminie wypisania Charleya ze szpitala.

– Chcesz, żebym tam z tobą pojechał?

– Nie chcę prowadzić samochodu – odparła Fay. – Zadzwońłam do Anteilów i oni mnie tam zawiozą. Jestem w takim stanie, że nie mogłabym prowadzić. – Zniknęła w łazience, zamykając za sobą drzwi i przekręcając klucz w zamku. Usłyszałem szum wody. Najwidoczniej postanowiła wziąć prysznic i się przebrać.

– Nie mają ci chyba do zakomunikowania niczego złego – powiedziałem, gdy znów pojawiła się w sypialni – skoro mówią o wypisaniu go do domu...

– Cicho bądź – odrzekła Fay takim tonem, jakim zwracała się zwykle do córek. – Muszę się

zastanowić. – Przerwała i spojrzała na mnie uważnie. – Nie mówiłeś chyba Charleyowi, że Nathan tu przychodził?

– Nie – odpowiedziałem.

– Szlag by cię trafił. – Wciąż mi się przyglądała. – Założę się, że mu powiedziałeś. Wiem, że tak było.

– Do moich zadań należy przekazywanie faktów naukowych – oświadczyłem. – A cóż jest takiego w wizytach Nathana, że nie powinienem o tym mówić Charleyowi? Ostatecznie to jego dom. Ma prawo wiedzieć, kto tu przychodzi.

– To jest mój dom. I moje sprawy – powiedziała, piorunując mnie wzrokiem i stukając się palcem w pierś.

Zaniepokoiłem się, widząc na jej twarzy troskę i wrogość. Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc wyszedłem z domu, żeby pobawić się z psem. Następny obraz, jaki utkwił mi w pamięci, to studebaker Anteilów z Nathanem za kierownicą i siedzącą obok Gwen. Nat zatrafił, a wtedy z domu wyszła Fay, ubrana w kostium, płaszcz i buty na wysokich obcasach, i wsiadła do samochodu.

Kiedy studebaker zaczął się wycofywać z podjazdu, Fay odkręciła szybę i zawołała do mnie:

– Pamiętaj, żebyś był w domu, kiedy dziewczynki wrócą! Jak nie przyjadę do piątej, to zacznij robić obiad! Najlepiej wyjmij steki z zamrażalnika, niech się rozmrożą! Są jeszcze ziemniaki! – A potem samochód odjechał.

Ku mojemu niezadowoleniu, nie nadarzyła się okazja, żeby powiedzieć jej o spotkaniu, o tym, co tam postanowiliśmy, i o tym, że zostałem wybrany przez WRI, by ogłosić dzień, w którym nadejdzie koniec świata. Czuję się oszukany. Wróciłem do domu i usiadłem w living roomie, żeby poczytać gazetę z poprzedniego wieczoru. Ogarnęła mnie też złość i poczucie winy z powodu oskarżeń Fay. Rzecz jasna powiedziałem o wszystkim Charleyowi z poczucia obowiązku, jednak bolało mnie, że Fay się na mnie gniewa. Chociaż nie miała racji, sytuacja nie była zbyt przyjemna. Nie za bardzo lubię, kiedy ktoś się na mnie gniewa.

Wykorzystałem nieobecność Fay, by za pomocą stojącej w gabinecie maszyny do pisania przelać na papier nowy i barwniejszy raport z wydarzeń, z którym, jak byłem przekonany, Charley powinien się zapoznać. Ostatecznie człowiek nie może dokonać żadnego wyboru, jeśli nie dysponuje pewną wiedzą, a trafny wybór możliwy jest tylko wtedy gdy wiedza jest pełna i usystematyzowana w sposób naukowy. Tym właśnie różnimy się od zwierząt.

Za wzór, swojego rodzaju prototyp albo model, posłużyły mi nieliczne zachowane egzemplarze czasopisma „Niesamowite Zjawiska”, a właściwie wybrane historie, które zrobiły na mnie szczególne wrażenie. Kiedy je przestudiowałem, byłem już w stanie wyróżnić metody, za pomocą których autorzy udratyzowali swoje tezy. Zabrałem się więc do roboty. Otwarte

czasopisma leżały obok mnie na biurku.

Jeśli Charley miał niebawem wyjść ze szpitala, byłem zmuszony wręczyć mu moje udratyzowane sprawozdanie od razu. Będzie go potrzebował, nim podejmie jakiegokolwiek działania.

Fay wróciła wieczorem do domu i powiedziała, że Charley najprawdopodobniej będzie za tydzień w domu. Szczęśliwie w ciągu dnia zrobiłem w pracy spore postępy i byłem pewien, że skończę ją na czas. Okazało się, że udało mi się to już następnego dnia i w piątek wsiadłem do autobusu jadącego do San Francisco, trzymając w dłoni zwinięte w rulon i ściągnięte gumką kartki sprawozdania.

Spędziłem chwilę w bibliotece publicznej, przeglądając najświeższe czasopisma, a potem złapałem autobus jadący do kliniki uniwersyteckiej. Znalazłem Charleya w solarium. Siedział na wózku, ubrany w szlafrok.

– Cześć – powiedziałem.

Spojrzał na mnie. Jego wzrok spoczął natychmiast na zwiniętych kartkach, które trzymałem w dłoni, a ja pojąłem, że zrozumiał – przynajmniej mniej więcej – co mu przyniosłem. Chciał coś powiedzieć, lecz się zawahał.

– Już niedługo będziesz w domu – powiedziałem. Nieznacznie kiwnął głową.

Przysunąłem sobie krzesło i usiadłem naprzeciw.

– Nie czytaj mi tego czegoś – odezwał się.

– To fakty w wersji udratyzowanej – oświadczyłem.

– Wynoś się stąd.

To mnie zdenerwowało i jednocześnie zdziwiło. Siedziałem i bawiłem się spinającą kartki gumką, czując się jak idiota. I na co zdała się ta cała praca?

– Różnica między ludźmi i zwierzętami polega na tym, że ludzie używają słów, prawda? – powiedziałem w końcu.

Z wyraźnie widocznym ociąganiem pokiwał głową.

– Poszerzamy granice środowiska, w którym żyjemy – ciągnąłem. – Uczymy się z pomocą utrwalonych w piśmie wyrazów. Nie wiedzielibyśmy nawet, że istnieje tak daleki kraj jak Syjam, gdybyśmy nie umieli czytać. – Potem mówiłem dalej, rozwijając tę tezę. Charley słuchał, lecz nie odzywał się ani słowem. Nie powiedział nic nawet wtedy, gdy skończyłem. Poczekalem chwilę, a potem zdjąłem ściskającą rulonik gumkę, wygładziłem kartki i zacząłem czytać, bardzo wyraźnie akcentując słowa.

Kiedy skończyłem, nie ruszyłem się z miejsca, czekając na jego reakcję.

– Jakim cudem udało ci się coś takiego wysmażyć? – zapytał takim tonem, jakby miał lada moment wybuchnąć śmiechem. Twarz miał wykrzywioną, a oczy błyszczące, jakby jednocześnie był wściekły jak diabli. Spostrzegłem, że trzęsą mu się ręce. – To brzmi jak żywcem wyjęte

z jakiegoś starego brukowego czasopisma. Skąd ci przyszły do głowy takie zdania jak „piersi niby piramidy bitej śmietany” albo „karminowe stożki czystej ekstazy”?

W życiu nie czułem się tak zakłopotany. Odłożyłem kartki na bok i mruknąłem:

– Chciałem to jakoś ożywić.

Spojrzał na mnie, a na jego twarzy w dalszym ciągu malowały się mieszane uczucia rozbawienia i wściekłości. Twarz zaczęła mu się czerwienić, a oddech stał się szybszy. Przez moment miałem wrażenie, że zaraz kichnie. Lecz on się roześmiał. Teraz ja poczułem, że oblewam się rumieńcem upokorzenia. Charley śmiał się coraz głośniej.

– Przeczytaj mi jeszcze raz – wykrztusił – ten kawałek; „Zobaczyłem, jak suknia, spięta tylko broszą na wysokości pępka, rozchyła się aż do pasa”. – I znów zaniósł się paroksyzmem śmiechu.

Reakcja Charleya przeraziła mnie. Nigdy bym się nie spodziewał, że tak się zachowa. Całkiem zbił mnie z pantałyku. Wykonywałem jakieś nie skoordynowane ruchy i mruczałem coś pod nosem, nie mogąc powiedzieć ani słowa.

– I jeszcze ten fragment... – najwyraźniej usiłował go sobie przypomnieć, bo widziałem, jak porusza bezgłośnie ustami – „Ucałowałem jej gorące, słodkie wargi i pchnąłem ją na sofę. Jej ciało poddało się mej woli...”

– To nie w porządku czepiać się poszczególnych zdań – przerwałem mu. – Ważne jest całe dzieło. W tym sprawozdaniu próbowałem oddać prawdę ze wszystkimi szczegółami. Są tam bardzo istotne informacje, z którymi powinieneś się zapoznać, żebyś mógł podjąć odpowiednie działania. No chyba tak jest, prawda? Potrzebujesz informacji, by podjąć odpowiednie działania.

– Działania – powiedział. – A co masz na myśli?

– No, kiedy wrócisz do domu – odparłem, nie widząc w tym nic szczególnie skomplikowanego.

– Posłuchaj no – rzekł Charley. – To wszystko dzieje się tylko w twojej głowie. Jesteś kopnięty. Psychiczny. Spójrzmy prawdzie w oczy: każdy, kto napisałby coś takiego o swojej siostrze, to wariat. Nie wiedziałeś? Czy nigdy w życiu nie przyszło ci do głowy, że jesteś pokreconym, niedorozwiniętym zasrańcem?

Korytarzem szedł właśnie sanitariusz czy pielęgniarz, w każdym razie ktoś z personelu szpitala.

– Weźcie mi stąd tego zasrańca! Doprowadza mnie do szału! – krzyknął Charley w stronę zbliżających się kroków.

Sam wstałem i wyszedłem. Byłem zadowolony, że mogę się stamtąd wynieść. Całą drogę do domu, w autobusie, trząsałem się z wściekłości, nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

To był jeden z najgorszych dni w moim życiu i wiedziałem, nie zapomnę go aż do śmierci.

Kiedy autobus przejeżdżał przez park Samuela P. Taylora – przyszło mi do głowy, by

zwrócić się do kogoś bezstronnego, przedstawić całą tę sytuację – moje wysiłki i reakcję Charleya – i niech ten ktoś obiektywnie osądzi, czy nie zrobiłem tego, co było całkowicie słuszne.

Z początku myślałem, żeby napisać do „San Rafael Journal” albo do „Baywood Press”. Zacząłem nawet układać w myślach taki list.

Lecz potem przyszło mi do głowy lepsze rozwiązanie. Rozwinąłem kartki ze sprawozdaniem i zacząłem je starannie przeglądać, wykreślając niektóre ze zdań, na które Charley zwrócił uwagę. Następnie znów zwinąłem kartki w rulonik i napisałem na nim nazwisko i adres Claudii Hambro.

Wysiadłem z autobusu w Inverness Park i poszedłem do domu pani Hambro. Po cichu, żeby nie przeszkadzać mieszkańcom domu, wsunąłem kartki ze sprawozdaniem przez szparę pod drzwiami. I odszedłem.

Kiedy dochodziłem do Inverness – większą część drogi przeszedłem piechotą, zamiast jechać autobusem – przypomniałem sobie nagle, że na sprawozdaniu nie ma przecież mojego nazwiska. Przystanąłem i przez moment zastanawiałem się, czy nie zawrócić. Jednak zaraz zdałem sobie sprawę, że przecież pani Hambro będzie wiedziała, od kogo pochodzi ten raport. Naważemy ze sobą łączność telepatyczną, kiedy tylko zobaczy te kartki. No, a w samym raporcie pojawiają się przecież imiona mojej siostry i jej kochanka. Pani Hambro bez trudu się domyśli, kto jej to przyniósł.

Kiedy stawiając wielkie kroki, dochodziłem do domu, byłem już w radośniejszym nastroju. Otworzyłem drzwi i kiedy wchodziłem do środka, przyszło mi nagle do głowy, że za miesiąc, tego dnia, który sam ustaliłem, nastąpi koniec świata i oni wszyscy – Charley, Fay, Nat Anteil i Gwen – tak czy inaczej będą musieli umrzeć. W pewnym więc sensie to wszystko i tak nie miało znaczenia. Nie miało znaczenia, czy Charley dostał ode mnie raport, czy też nie. I nie miało także znaczenia, co Charley zrobi w rezultacie tego raportu. Oni wszyscy nie mieli najmniejszego znaczenia. Byli tylko radioaktywnym pyłem. Byli niby garście czarnego, sypkiego jak popiół, radioaktywnego pyłu.

Ten obraz został mi w głowie i widziałem go wyraźnie przez kilka dni. Nie mogłem się od niego uwolnić, chociaż chciałem. Wiele razy próbowałem myśleć o czym innym, lecz zawsze uporczywie do mnie wracał.

Rozdział 13

Pewnego popołudnia Nat Anteil przyjechał do domu Hume'ów. Kiedy parkował samochód, dziewczynki wybiegły mu na spotkanie z widoczną ekscytacją.

– Owca urodziła jagniątko! – zawołała Bonnie, kiedy Nat wysiadał z samochodu. – Urodziła jagniątko kilka minut temu!

– Widzieliśmy przez okno! – wtrąciła Elsie. – Wszystkie Drozdy widziały. Piekliśmy chleb i zobaczyliśmy cztery czarne nóżki, a ja powiedziałam: „Zobaczcie, to jest jagniątko”, i rzeczywiście było. Mamusia powiedziała, że to mała owieczka. Są z tyłu na patio i oglądają je.

Gdy Nat przechodził przez dom, a potem otwierał tylne drzwi, dziewczynki biegły koło niego, podskakując.

Fay, ubrana w szorty, sandały i bluzkę bez rękawów, siedziała na stalowo-płóciennym ogrodowym krześle i popijała martini.

– Jedna z owiec urodziła – powiedziała przez ramię. – Jeszcze zanim Drozdy poszły do domu.

– Dziewczynki mi mówiły – odparł.

Patrzyła na łąkę, sięgając wzrokiem poza płot i siatkę do badmintonu. Po chwili zauważył owcę. Leżała na boku jak wielki szaro-czarny worek. Nie widział jagnięcia. Owca strzygła jednym uchem, poza tym nie można tam było dostrzec żadnego ruchu.

– Kiedy strzygą uszami, znaczy to, że są zdenerwowane – powiedziała Fay. – To u owiec oznaka stresu.

Owca podniosła się z trudem na nogi i Nat zobaczył na trawie ciemną plamkę. To było jagnię. Owca szturchnęła je najpierw nosem, a potem kopytem. Jagnię wstało, drżąc a matka popchnęła je w stronę wymienia.

– Już je karmiła – rzekła Fay. – Zamknęłam psa w łazience, więc kiedy tam pójdziesz, uważaj, żebyś go nie wypuścił. W zeszłym roku ten bydlak pozagryzał wszystkie jagnięta. Znalazł je zaraz, jak się urodziły. Najprawdopodobniej miały jeszcze na sobie krew, a on myślał, że to zwykłe mięso.

– No tak – powiedział. Przysiadł na wyplatany krześle, żeby też popatrzeć. Dziewczynki zostały z nimi przez chwilę, a potem pojechały gdzieś na trzykołowych rowerkach.

– Wygląda mi na to, że urodzi jeszcze jedno – stwierdziła Fay. – Zobacz, jaka jest gruba.

– A nie sądzisz, że to dlatego, że ma tyle mleka? – zapytał.

– Nie – odparła.

Później, o zachodzie słońca, kiedy wnosił do domu trzykołowe rowerki dziewczynek, zobaczył, że owca znów leży na boku. Tym razem jej zad poruszał się rytmicznie i Nat

zrozumiał, że Fay miała rację. Poszedł do kuchni. Fay stała przy piecu i mieszała sałatkę.

– Miałś rację – odezwał się. – Rodzi.

– Jagnię będzie martwe – stwierdziła Fay. – Jeżeli między pierwszym a drugim jest więcej niż godzina przerwy, to drugie zawsze rodzi się nieżywe. – Zostawiła sałatkę i poszła po płaszc.

– Może jednak nie – powiedział. Nie znał się zupełnie na owcach, chciał ją jednak jakoś pocieszyć.

Wzięli lampę – niebo już pociemniało i zaczęły pojawiać się gwiazdy – i poszli przez pastwisko ku owcy. Wstała już i skubała trawę. Jagnię leżało w pobliżu z uniesioną głową.

– Zadzwoń po weterynarza – powiedziała Fay.

Zatelefonowała do weterynarza i długo z nim rozmawiała. Nat plątał się po domu, wyglądając co jakiś czas na łąkę. O tej porze było widać już tylko zarys eukaliptusów rosnących wzdłuż szosy.

– Powiedział, żeby zadzwonić do niego za godzinę, jeśli nic się nie wydarzy – oznajmiła Fay, wychodząc z sypialni. – Powiedział, że moglibyśmy spróbować ją zmusić do chodzenia, bo to może przyspieszyć poród. Zgodził się jednak ze mną, że skoro trwa to tak długo, szanse są niewielkie.

Potem zjedli obiad. Po obiedzie, zanim sprzątnęli ze stołu, znów włożyli płaszcze, wzięli lampę i poszli na łąkę.

Światło wyrwało z mroku najpierw jedną owcę, potem drugą.

– Nie – powiedziała Fay, nie zatrzymując się. – Poświeć tutaj. – Pokazała palcem.

W blasku lampy zobaczyli stojącą owcę, za którą ciągnęło się coś, co wyglądało jak czarna, splątana pajęczyna. Ta płatanina, wisząca jak hamak, prowadziła do ciemnej, ukrytej w trawie plamy. Nat pomyślał, że to jakiś bezużyteczny, rzucony tu przez kogoś śmieć. Jednak Fay podeszła do tego czegoś i powiedziała głucho:

– To martwe jagnię. Duże. – Pochyliła się. – Piękne. Zdaje się, że to baranek. Dopiero co się urodził. – Zaczęła oburącz zgarniać mokrą, krwawą pajęczynę z ciała zwierzęcia. Na pyszczku było widać ślady śluzu. – Baranek – powtórzyła, odwracając jagnię.

– Szkoda go – powiedział, chociaż właściwie nic nie czuł. Zareagował tylko w czysto fizyczny sposób: na widok krwi i śluzu ogarnął go wstręt. Nie chciał dotknąć martwego jagnięcia, więc cofnął się z pewnym poczuciem winy.

Fay złapała jagnię za pysk i rozwarła mu szczęki. Potem zaczęła rytmicznie naciskać żebra zwierzęcia.

– Jest jeszcze ciepły – stwierdziła. – Zwykle znajduję je, kiedy są już sztywne. Ten był za duży. To trwało pięć godzin. Za długo był w środku. – Podniosła baranka za tylne nogi i zaczęła go uderzać otwartą dłonią. – Tak się robi ze świeżo urodzonymi szczeniakami – powiedziała. – Nie. To beznadziejna sprawa. Szkoda go. Jest taki śliczny. Czy to nie dziwne? Rozwija się przez

pięć miesięcy, a potem nagle umiera. Jaka szkoda. – Ciągłe ugniatała zebra baranka wygarniała mu śluz z pyska i klepała otwartą dłonią. Owca z żywym jagnięciem odeszła kawałek dalej. – Czasami szturchają takie jagnię przez godzinę, żeby wstało – mówiła Fay. – Ale ta wie, że on nie żyje, więc nic nie robi. – Wstała. – Popatrz na moje ręce. Są całe we krwi.

– Mam go wrzucić do kubła na śmieci? – zapytał Nat.

– Trzeba go zakopać – odparła.

Teraz nie czuł już takiego obrzydzenia. Złapał jagnię za tylne nogi. Było ciężkie. Poszedł za dom, trzymając je przed sobą. Fay podążała krok albo dwa za nim, oświetlając mu drogę.

– Pewnie i tak byłąby w stanie wykarmić tylko jedno – odezwała się. – Kiedy jagnięta były zbyt słabe, żeby wstać, braliśmy je do domu, myliśmy, wycieraliśmy, dawaliśmy im syrop z wodą, a potem wystawialiśmy znowu na zewnątrz. Nigdy nie udało się nam uratować baranka. Są takie delikatne. Baranki prawie zawsze zdychają. Są za duże, żeby się wydostać.

Widłami i łopatą wygrzebał dół pod cyprysami, gdzie ziemia była wilgotna.

– Zawsze masz jeszcze to drugie jagnię.

Nie odezwała się.

– Naprawdę mi zaimponowałaś – powiedział – kiedy zobaczyłem, jak do niego podchodzisz i bez wahania ścierasz to świństwo. – Jak prawdziwa wieśniaczka, pomyślał. W szortach, sandałach i niebieskim sztruksowym płaszczu. Żadnego niepokoju ani obrzydzenia... tylko ta twardość, o której tyle rozmyślał; ta szczególna cecha, z której istnienia zdawał sobie sprawę, jedna z najlepszych cech jej charakteru. Oczywiście w takiej sytuacji musiała się ujawnić. Fay nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby się zawahać.

– Powinam mu była zrobić sztuczne oddychanie usta-usta – powiedziała Fay. – Ale nie potrafiłam się do tego zmusić. Ten śluz. Zadzwońię do weterynarza i powiem mu, co się stało. – Zostawiła mu lampę i poszła do domu.

Kiedy zakopał już jagnię, umył ręce pod ogrodowym kranem i wszedł za nią. Dziewczynki poszły do siebie na telewizję. Na stole w jadalni stały nie ruszone od obiadu naczynia, wziął więc kilka i zaniósł do zlewu. Zastanawiał się, gdzie też może być Jack. Pewnie w swoim pokoju. Brat Fay nie pokazywał się i siedział sam za każdym razem, kiedy Nat odwiedzał jego siostrę. Nawet z nimi nie jadał.

– Ja to zrobię – powiedziała Fay, wchodząc. – Zostaw te naczynia. – Zapaliła papierosa. – Chodź, posiedzimy trochę w living roomie.

– Gdzie jest twój brat? – spytał, kiedy już usiedli.

– U Claudii Hambro. Na spotkaniu grupy. Mają posiedzenie nadzwyczajne.

– Martwisz się? – zapytał. Fay poruszyła się obok niego.

– Trochę. Po prostu się zastanawiam.

– Ta historia z barankiem każdego wpędziłaby w przygnębienie – powiedział.

– Nie chodzi o baranka – odparła Fay. – Tylko o to, że widziałam, jak zabierasz się do zmywania. Nie powinieneś robić takich rzeczy.

– Dlaczego?

– Mężczyzna nie powinien zajmować się naczyniami.

– Myślałem, że chcesz, żebym pozmywał – powiedział. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo Fay nienawidzi tej czynności: zawsze zmuszała kogoś, żeby to za nią zrobił, jeśli nie brata, to jego samego.

– Nigdy nie zależało mi na tym, żebyś zmywał – oświadczyła. Zduśła papierosa w popielniczce. – Powinieneś być powiedziec „nie”. – Wstała raptownie i zaczęła przemierzać pokój dużymi krokami. – Chyba nie masz nic przeciwko temu, że sobie trochę pochodzę? – zapytała, wykrzywiając twarz w szybkim, sztucznym, przypominającym grymas uśmiechu.

– Prosisz mnie o coś, a jednocześnie chcesz, żebym odmówił – rzekł skonfundowany. – Chcesz, żebym powiedział „nie”.

– Nie powinieneś pozwalać, żebym zmuszała cię do robienia różnych rzeczy. To źle, mężczyzna powinien być stroną silniejszą. Powinien wykorzystywać swoją władzę. Mężczyzna jest najwyższą władzą w małżeństwie. A kobieta za nim podąża... skąd ma wiedzieć, co jest dobre, a co złe, jeśli się tego od niego nie dowie? Czekam, aż mi to powiesz. Jestem od ciebie zależna.

– To znaczy, że robiąc za ciebie to, o co prosiłaś, jednocześnie cię zawiodłem – powiedział.

– Zawiodłeś siebie – poprawiła go. – Myślę więc, że zawiodłeś też mnie. Najlepiej mi się przysłużysz, jeśli będziesz sobą i zaczniesz robić to, co uważasz za słuszne. Będę cię bardziej poważała, jeśli użyjesz swojego moralnego autorytetu. Dziewczynki tego potrzebują.

– Czy to coś złego, że dzieci widzą mężczyznę, który zmywa naczynia? – zapytał.

– Źle, kiedy widzą, że robi cokolwiek, co kazała mu robić kobieta. Powinny patrzeć, jak to on jej wydaje polecenia. To wartość, którą w tobie dostrzegam: wielki moralny autorytet. To właśnie wnosisz do tego domu. Wszystkie tego potrzebujemy.

– I przez ten „wielki moralny autorytet” rozumiesz zdecydowany opór wobec twojej woli – powiedział, z trudem łapiąc oddech. – No i co? Powiedzmy, żebym ci się sprzeciwił. Co byś wtedy zrobiła?

– Miałabym dla ciebie szacunek.

– Nie – zaprzeczył. – Wcale by ci się to nie podobało. Nie widzisz, że to paradoks? Jeśli zrobię to, czego będziesz chciała...

– Dobrze – przerwała mu. – Zwał na mnie odpowiedzialność.

– Co? – zdziwił się.

– Nie wiem, jak mam wybrnąć.

Spojrzał na nią, nie nadążając za jej zmieniającym się nastrojem.

– Nie – rzekł w końcu. – Tu chodzi o coś, w co jesteśmy zaangażowani oboje. Powinniśmy dążyć do osiągnięcia wspólnego poczucia odpowiedzialności i wspólnego autorytetu. Nie chodzi przecież o to, by jedno z nas manipulowało drugim.

– Ty mną manipulujesz – powiedziała Fay. – Próbujesz mnie zmienić.

– Kiedy? – zapytał stanowczo.

– Właśnie teraz. Teraz właśnie próbujesz mnie zmienić.

– Próbuję ci tylko uświadomić, że w tym, czego chcesz, jest sprzeczność.

– Rozumiem – powiedziała. – Jesteś na mnie obrażony.

– Chcesz się kłócić, co? – zapytał Nat.

– Po prostu jestem zmęczona tą twoją skrywaną wrogością – odparła. – Szkoda, że nie jesteś szczerzy. Wolałabym, żebyś ją ujawnił bezpośrednio, zamiast kręcić i opowiadać te świętoszkowate historie jak jakiś belfer.

Milczał przez chwilę.

– Możesz odejść – powiedziała. – W każdej chwili. Nie musisz tu tkwić. Bo niby dlaczego? Tak czy inaczej to nie jest twój dom, tylko mój. To mój dom, moje jedzenie, moje pieniądze. Co ty tu w ogóle robisz? Skąd się tu wzięłeś?

Nie wierzył własnym uszom: pomyślał, że mu się tylko zdaje.

– Dobrze wiesz, że mnie nie lubisz – ciągnęła Fay. – Dawaleś mi to do zrozumienia na tysiąc różnych sposobów. Sądzisz, że jestem nieodpowiedzialna, że jestem wymagająca, samolubna i dziecinna, że chcę zawsze postawić na swoim, że jestem niedojrzała i że tak naprawdę wcale cię nie kocham, tylko chcę cię wykorzystać. Prawda?

– Do... pewnego stopnia – powiedział w końcu.

– Dlaczego nie potrafisz mi się sprzeciwić? – zapytała.

– Ja... nie dlatego zacząłem się z tobą spotykać, żeby ci się sprzeciwiać. Przecież cię kocham.

Nie znalazła słów, by mu odpowiedzieć.

– Nie rozumiem – powiedział Nat. – O co tu właściwie chodzi? – Wstał i podszedł do niej. Chciał ją objąć i pocałować. – Dlaczego taka jesteś?

– Och. – Położyła mu głowę na ramieniu. – To z powodu tego, co powiedział mi dzisiaj doktor Andrews. – Objęła go. – Powiedział, że ilekroć mówię o tobie, to tak naprawdę niczego nie opisuję. Tak, jakbym cię wcale nie zauważała. Jakby nikt nie istniał dla mnie naprawdę. Zabrzmiało to zupełnie tak, jak to, co ty mi mówiłeś... może on ma rację. Boże, gdybym przez chwilę pomyślała, że to może być prawda... – Odsunęła się i spojrzała na niego. – Przypuśćmy, że to, co Charley zawsze o mnie mówił, to prawda, a ja nigdy się z nią nie zgadzałam. Przypuśćmy, że zdeptałam go, wykorzystałam i wycisnęłam z niego to, co chciałam dostać. Byłam takim zepsutym dzieckiem... zawsze dostawałam to, czego chciałam. A jak nie, to

wpadałam w histerię. On musiał się upijać, przychodzić do domu i mnie bić, bo to był jedyny sposób, w jaki mógł się bronić. – Wbiła w niego wzrok. – A ja wpędziłam go w chorobę. I może nawet chcę, żeby umarł, bo już z nim skończyłam, już go nie potrzebuję. Celowo wciągnęłam cię w ten związek i rozbiłam ci małżeństwo, nie zwracając zupełnie uwagi na Gwen, ani nawet na ciebie, bo chciałam cię zdobyć, ponieważ jesteś dobrym kandydatem na męża, a ja potrzebuję właśnie nowego, bo ten pierwszy mi się zużył. Jeśli ze mną zostaniesz, to będę cię traktowała tak, jak traktowałam jego. Znowu będzie to samo: będziesz mi jeździł po sprawunki i zajmował się zamiast mnie domową robotą... zdepczę cię, a ty nie będziesz miał innego wyjścia, tylko upijać się i mnie bić. – Przerwała i stała, patrząc na niego pustym wzrokiem.

– Nigdy cię nie uderzę – powiedział, głaszcząc jej krótkie, suche włosy.

– Charley też nikogo nie uderzył, zanim mnie spotkał.

– Rzecz w tym – rzekł Nat – że my potrafimy ze sobą zmawiać. Możemy ten problem przedyskutować. Używamy takich samych pojęć. A on nie.

Pokiwała głową.

– Potrafimy przekazać sobie, na czym polegają nasze pretensje. Tak, jak teraz to robisz. Potrafimy o nich mówić bez owijania w bawełnę.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – powiedziała Fay. – Jestem nietaktowna i wulgarna. Po co ci jestem potrzebna?

– Ponieważ jesteś inteligentną i dzielną kobietą – odparł. – Przywodziś mi na myśl pierwsze osadniczki – dodał, głaszcząc ją po głowie. Myślał o scenie z barankiem.

– Nie sądzisz, że zrobię z ciebie służącego? – Odsunęła się i poszła po polana i podpałkę, żeby rozpaść ogień. – Potrzebuję całej armii mężczyzn: malarzy, którzy będą malowali dom, ogrodników, elektryków, fryzjerów, cieśli, którzy przebudują mi kuchnię i zbudują nowy pokój, kiedy przyjdzie mi do głowy, aby mieć pracownię po to, żeby sobie w niej lepić z gliny. Zbudowałbyś mi pracownię? Taki pokój, w którym mogłabym mieć koło garncarskie?

– Oczywiście – odparł z uśmiechem.

– A gdybym zrujnowała ci życie? Gdybym cię zmusiła, byś porzucił wszelkie nadzieje na studia? Gdybym zrzuciła na ciebie odpowiedzialność za sprawy finansowe, która uwiązałaby cię na resztę twoich dni... musiałbyś utrzymywać mnie i dziewczynki, a ja może bym chciała mieć więcej dzieci, i to jak najszybciej? A propos, mówiłam ci już o moim krążku dopochwowym?

– Tak – powiedział.

– Gdybym cię zmusiła, żebyś został w nieruchomościach, choć tak naprawdę chcesz... – Zawahała się. – Chcesz zdobyć winy zawód. – Zamrugła oczami. – Kim to chciałeś zostać?

– Może prawnikiem – odparł.

– O Boże, w takim razie mógłbyś wytoczyć mi proces.

– Chcę się z tobą ożenić – powiedział. – Chcę się rozwieść z Gwen i ożenić z tobą.

– A co zrobimy z Charleyem?

– Nie możesz poprosić go o rozwód? – zapytał, czując napięcie w każdym mięśniu swojego ciała.

– Rozwód jest czymś złym. Wiem, że to bardzo mieszczański pogląd, i fakt, że tak uważam, dowodzi, jaka ze mnie zacofana idiotka. Wydaje mi się jednak, że rozwód to nic dobrego; małżeństwo zawiera się na całe życie.

– No tak – powiedział, czując że to wszystko nie ma sensu. – To tyle.

– Zdaje mi się, że to pewnie źle pojęta lojalność – dodała. – Ale nic na to nie poradzę. Kiedy za niego wyszłam, to wyszłam za niego na dobre i na złe. I wzięłam sobie te słowa do serca.

– Więc mogłabyś od niego odejść tylko wtedy, gdyby umarł.

– Gdyby umarł – powiedziała Fay – to musiałabym ponownie wyjść za mąż. Dla dobra dziewczynek. One potrzebują ojca, bo to ojciec jest w domu autorytetem. To on wiąże rodzinę ze światem zewnętrznym, ze społeczeństwem. Matka dba tylko, aby wszyscy byli najedzeni, mieli co na siebie włożyć i żeby było im ciepło.

Po wypełnionej wewnętrznym drżeniem chwili zapytał:

– A może byś go spytała?

– O co?

– Co by wołał – powiedział, czując, że robi błąd, mówiąc te słowa, a jednocześnie zdając sobie sprawę, że chce, by je usłyszała. – Być trupem czy rozwodnikiem.

Wtedy jej twarz nabrała zimnego, wściekłego wyrazu, którego przedtem u niej prawie nie widywał. Lecz kiedy się odezwała, jej głos był całkowicie opanowany, spokojniejszy niż kiedykolwiek. Było w nim coś głęboko racjonalnego, jakby mówiła, sięgając do całej swej mądrości, doświadczenia nabytej wiedzy. Nie brzmiała w nim emocja, lecz tylko zrozumiały dla każdego i nie podlegający dyskusji rozsądek.

– No cóż – powiedziała. – To niemało wymagać od mężczyzny, by wziął na siebie odpowiedzialność za dzieci, zwłaszcza jeśli nie jest ich ojcem. Nie mam do ciebie pretensji. Prowadzisz teraz stosunkowo łatwe życie. Nie sędzę, żebyś potrafił na dłuższą metę utrzymać mnie i dziewczynki. A ja powinnam wyjść za kogoś, kto będzie to w stanie zrobić. Spójrzmy prawdzie w oczy. Ty tego nie potrafisz. – Posłała mu krótki, powściągliwy uśmiech, jeden z tych uśmiechów, których znaczenie nauczył się już rozpoznawać. Uśmiech nieomal łaskawy.

W tej sytuacji nie mógł już nic więcej powiedzieć. Poszedł do szafy i wziął płaszcz.

– Odchodzisz ode mnie? – zapytała.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym zostać – stwierdził Nat.

– Najlepiej będzie, jeśli teraz sobie pójdziesz. Na dłuższą metę pewnie także dla ciebie. W każdym razie tak będzie łatwiej, nie sądzisz?

– Nie – powiedział. – Nie sędzę.

– Oczywiście, że tak – sprzeciwiła się. – To najłatwiejsza rzecz pod słońcem. Musisz tylko włożyć płaszcz i wrócić do domu, do Gwen. – Odprowadziła go do drzwi. Na jej pobladłej twarzy malowało się wewnętrzne napięcie. – Nie pocałujesz mnie na do widzenia?

Pocałował ją.

– Na razie – powiedział.

– Pozdrów Gwen – poprosiła. – Może moglibyśmy się wszyscy spotkać któregoś dnia na obiedzie. Charley powinien wyjść ze szpitala w przyszłym tygodniu.

– Dobrze.

Nie mogąc niemalże uwierzyć w to, co się stało, poszedł po żwirze i cyprysowych igłach w stronę samochodu. Światło paliło się, kiedy wycofywał wóz z podjazdu. A potem kiedy dojechał do drogi, zgasło.

Jechał do domu zupełnie oszołomiony.

Przypuśćmy, że nie zacząłbym sprzątać ze stołu, pomyślał. Czy to by się wtedy nie wydarzyło? Jednak by się wydarzyło, zdecydował. Prędzej czy później. To wzajemne wbijanie sobie szpilek i wątpliwości, które oboje mieliśmy w końcu przechyliłyby szalę i doszłoby do starcia. To była tylko sprawa czasu. To było nieuniknione.

Jednak ciągle jeszcze nie mógł w to wszystko uwierzyć i zaczął się bać, jak będzie się czuł, kiedy w końcu to się stanie. Jaki cała ta historia będzie miała na niego wpływ, kiedy zacznie stawać się rzeczywistością.

Kiedy podjechał pod dom, zauważył, że stoi przed nim jakiś obcy samochód. Wysiadł, poszedł schodkami na górę i wszedł do środka.

Gwen siedziała przy stole w kuchni; przed nią stał kieliszek wina. Naprzeciw niej siedział mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widział – młody blondyn w okularach. Oboje spojrzeli na niego ze zdziwieniem, lecz Gwen nieomal natychmiast odzyskała rezon.

– Wcześniej wróciłeś – powiedziała ostrym głosem, w którym słychać było wrogość. – Myślałam, że zostaniesz dłużej.

– Kto to jest? – zapytał Nat, wskazując palcem młodego mężczyznę. Serce tłukło mu się w piersi. – Nie podoba mi się, że kiedy wracam, przed domem stoi jakiś obcy samochód.

– Och – powiedziała Gwen tym samym tonem. Jad w jej głosie i ogrom nienawiści zupełnie go oszołomiły. Nigdy nie słyszał, by mówiła z takim sarkazmem, zamieniając każdą sylabę w ładunek skierowanej przeciwko niemu i wszystkim innym wrogości. Brzmiało to tak, jakby nie istniało dla niej w tym momencie żadne inne uczucie. Nic, tylko wrogość. Tylko to. – Myślałam, że zostaniesz z Fay przez resztę wieczoru. A może i na noc.

Młody człowiek zaczął wstawać od stołu.

– Nie wychodź – powstrzymała go Gwen. Nie patrzyła już na Nata, lecz ciągle mówiła tym

samym tonem. – Dlaczego miałbyś wychodzić? Właśnie coś omawialiśmy – powiedziała, zwracając się znów do męża. – Może byś sobie poszedł i wrócił kiedy indziej.

– Co omawialiście? – zapytał Nat.

– Porozumienie – wyjaśniła. – Układ między nami. To jest Robert Altrocchi. Mieszka przy tej samej ulicy. Tam, gdzie te ptaki. Hoduje papużki faliste i sprzedaje do tanich sklepików w San Francisco.

Nat się nie odezwał.

– Nie masz chyba nic przeciwko temu, że będziemy kontynuowali? – Zrobiła w jego stronę gest ręką, oznaczający, że może już sobie pójść. – No, jedź już – ponagliła go.

– Wynoś się stąd – zwrócił się Nat do młodego człowieka. Altrocchi odsunął swój kieliszek i podniósł się wyjątkowo powoli.

– I tak już wychodziłem. Muszę wracać do pracy. – Zatrzymał się w drzwiach i powiedział jeszcze do Gwen: – Zobaczymy się o zwykłej porze?

– Tak – odparła Gwen, ignorując obecność Nata. – Zadzwoń do mnie albo ja do ciebie zadzwonię. – Teraz w jej głosie zabrzmiał, bez wątpienia wymuszony, czuły ton. – Dobranoc, Bob.

– Dobranoc – powiedział Altrocchi.

Usłyszeli stuk zamykanych frontowych drzwi, a potem odjeżdżający samochód.

– Jak się miewa Fay? – spytała Gwen. Ciągle siedziała przy stole i popijała wino, przyglądając się Natowi znad kieliszka.

– Dobrze.

– Ty nie widzisz nic złego w tym, że u niej przesiadujesz – głos Gwen trząśł się – ale ja tak.

– Nie podoba mi się, że kiedy wracam do domu, przed drzwiami stoi jakiś obcy samochód – powiedział. – Nie przyprowadzam tu Fay. Nie wolno tu nikogo przyprowadzać. To nie w porządku. Możesz wyjść i spotykać się, z kim chcesz ale nie sprowadzaj tu nikogo. To jest również mój dom.

– U niego nie możemy się spotykać. – Gwen podniosła głos. – Jest żonaty i ma sześciomiesięczne dziecko.

Kiedy to usłyszał, poczuł, jak ogarnia go beznadziejny, dojmujący smutek. A więc to jest rezultat jego związku z Fay. Nie tylko jego małżeństwo legło w gruzach, ale również małżeństwo człowieka, którego nigdy przedtem nie widział, ojca malutkiego dziecka.

– Jeśli nie widzisz nic złego... – zaczęła znowu Gwen.

– Dałem ci przykład – przerwał jej. Nie odezwała się.

– Płacisz pięknym za nadobne – ciągnął. – To jest moja zapłata. Jakiś facet, którego nigdy nie widziałem na oczy. Jego żona i dziecko muszą cierpieć po to, żebyś ty mogła mi się dobrać do skóry. Chcę się ożenić z Fay. Ja wiem, czego chcę. A ty nie. Prawda? Sama zdajesz sobie

sprawę, że nie.

Gwen znów się nie odezwała.

– Straszne – rzekł. – Jak mogłaś coś takiego zrobić?

Twarz jego żony przybrała jeszcze ostrzejszy wyraz cierpienia i determinacji. Wszystko, co mówił, dodawało jej tylko siły.

– Jedno z nas musi stąd wyjść – oznajmił.

– Dobrze – powiedziała. – Więc się wynoś.

– W porządku. – Poszedł do sypialni i usiadł na łóżku. – Ale nie teraz. Później.

– Nie – rzekła Gwen. – Teraz.

– Idź do diabła – warknął. Czuł, jak na czole zbierają mu się kropelki potu. – Zamknij się – dodał słabym głosem. – W ogóle się do mnie nie odzywaj, bo nie odpowiadam za siebie.

– Nie strasz mnie – powiedziała. Nie odezwała się jednak więcej do męża i poszła do living roomu. Usłyszał, jak siada na kanapie.

W domu zapadła cisza.

Boże drogi, pomyślał. Skończyło się. Moje małżeństwo się skończyło. Co się dzieje? Co się właściwie stało? Siedział ciągle w tym samym miejscu, kiedy Gwen wróciła do sypialni.

– To ja odejdę – oświadczyła. – Żebyś nie musiał zbyt długo być bez niej. Pojadę do Sacramento i zamieszkać u rodziców. Mogę wziąć samochód?

– Jeżeli zabierzesz mi samochód, to jak będę dojeżdżał do pracy? – Serce waliło mu w piersi tak mocno, że ledwo mówił. Wydobywał z siebie słowa z największym trudem i po każdym robił przerwę.

– W takim razie odwieź mnie do Sacramento i wróć – powiedziała.

– Dobrze.

– Rozejrzę się, co powinnam ze sobą zabrać – oznajmiła. – Dzisiaj wszystkiego nie wezmę. Przyjadę jutro. A może w ogóle tam dzisiaj nie pojadę. To tak daleko. Trzeba by jechać przez całą noc. Prześpię się w motelu. W Point Reyes jest przecież motel.

– Nie – powiedział. – Odwiozę cię do Sacramento.

Przyjrzała mu się uważnie, a potem bez słowa poszła do drugiego pokoju. Najpierw było tam cicho, lecz po chwili usłyszał, że Gwen się pakuje. Wyciągała z szafy walizkę.

– Sądzę jednak, że masz rację – powiedział, nie ruszając się z łóżka. – Nie mogę cię dzisiaj tam zawieźć. Poczekać do jutra. Prześpij się tutaj, a jutro porozmawiamy.

– Nie będę tu z tobą spała – odparła Gwen. – Jeśli mam tu zostać, to ty jedź do niej.

– Możesz się położyć na kanapie – zaproponował. – Albo ja się tam prześpię.

– Czemu tam nie pojedziesz? Po co tak wcześniej wróciłaś?

– Pokłóciliśmy się – odparł. Nie patrzył na nią, czuł jednak, że mu się przygląda. – Nic ważnego. Urodziło się nieżywe jagnię i to ją zdenerwowało. Straszna historia. Wyglądało jak

bryłka ulepiona z miękkiej smoły. – Zaczął jej opowiadać historię narodzin martwego baranka. Słuchała przez chwilę, a potem gdzieś poszła. Usłyszał, że znów się pakuje. Wściekły, zerwał się z łóżka i poszedł za nią.

– Nie chcesz posłuchać?

– Mam dosyć problemów na głowie.

– A mogłabyś – powiedział, stojąc na środku pokoju. – Czemu nie chcesz posłuchać? Co za cholerna złośliwość. Nie chcesz nawet wiedzieć, co mam ci do powiedzenia. Wściekły na ciebie jestem.

– Przykro mi z powodu tego baranka – odparła Gwen. – Ale nie rozumiem, jaki on ma związek z tą sprawą. Pozwalałam ci do niej jeździć i nigdy nie powiedziałam ani słowa. Pozwalałam ci robić to, na co miałaś ochotę, a kiedy przychodzili tu różni ludzie i dziwili się, dlaczego cię nie ma, mówiłam, że jesteś w Mill Valley i pracujesz. Nigdy nikomu nie powiedziałam o niej i o tobie.

– Dziękuję.

– Nie wiem tylko, co zrobisz, kiedy on wróci ze szpitala. Co ty wtedy poczniesz? Myślisz, że się nie dowie? Ktoś mu doniesie: wiesz, że w takich dziurach nie można niczego utrzymać w tajemnicy. Wszyscy się znają.

– Jeśli teraz stąd wyjdiesz, to nie będzie już żadnych wątpliwości – powiedział. – Absolutnie żadnych.

– Chcesz, żebym została, aby cię nie zabił, kiedy wróci do domu?

– Nic mi nie zrobi. To chory człowiek. Zanim wyzdrowieje, będzie leżał miesiącami w łóżku. Przecież o mało nie umarł. I ciągle jest taka możliwość. Niewiele mu trzeba.

– Może wystarczy mu szok, jaki przeżyje, kiedy się o tym wszystkim dowie – odparła Gwen z goryczą. – I będziesz miał problem z głowy.

– Kocham ją – powiedział. – I chcę się z nią ożenić. I jestem z tego dumny. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie...

– Nie – zaprzeczyła Gwen. – Wcale nie brzmi niewiarygodnie. Ciągnie cię do niej, bo ma dzieci. Zawsze chciałeś mieć dzieci, a my nie mogliśmy sobie na nie pozwolić z powodu twoich studiów. Czy Fay zamierza pomóc ci skończyć studia? W ten sposób będziesz miał jedno i drugie: będziesz mógł studiować, a jednocześnie będziesz miał duży, ładny dom, dzieci i co tylko sobie wymarzysz. Na przykład steki na obiad. Zgadza się?

– Chcę mieć spokojny dom i rodzinę – powiedział.

– A wiesz, co według mnie stanie się z tobą po tym ślubie?

– Co? – Nie mógł się powstrzymać, by nie zadać tego pytania.

– Zostaniesz chłopcem do wszystkiego i służącym, który będzie zajmował się domem. Będziesz jej prowadził rachunki i zakręcał zawory przy kaloryferach, żeby zaoszczędzić na

ogrzewaniu.

– Nie – przerwał jej. – Tak nie będzie, bo wszystko się już skończyło. Więcej się z nią nie zobaczę. Zerwaliśmy ze sobą.

– Dlaczego?

– Właśnie z tego powodu. Nie mam ochoty skończyć jako służący, który zmywa po niej naczynia. – Kiedy to powiedział, poczuł, jak wali się na niego ciężar wiarołomstwa. Był teraz niełojalny w stosunku do Fay, a nie do żony, ponieważ to Fay chciał być wierny i to właśnie względem niej miał moralne zobowiązanie. Stał pośrodku swojego własnego pokoju, przed swoją żoną i mówił jej, że skończył z Fay, chociaż wiedział, że jeśli będzie to od niego zależało, nigdy z nią nie zerwie. Zbyt mocno go do niej ciągnęło. Tęsknił do niej. Marzył, aby być z nią w tamtym domu. Cała reszta była tylko pustą gadaniną.

– Nie wierzę ci – powiedziała Gwen. – Nigdy nie będziesz miał tyle siły, żeby się z nią rozstać. Zupełnie cię omotała, zawsze potrafi postawić na swoim. Ma psychikę dwuletniego dziecka: jak coś zobaczy, zaraz chce to dostać i dostaje, bo idzie po trupach.

– Ona o tym wie – odparł. – I dlatego chodzi do doktora Andrewsa. Walczy, żeby się tego pozbyć.

Gwen roześmiała się.

– Naprawdę? Taki z ciebie optymista? To dlaczego z nią zrywasz?

Nie potrafił znaleźć odpowiedzi.

– Nie rozumiem, jak mogłeś się związać z taką kobietą – ciągnęła Gwen. – Masz zamiar przez resztę życia być popychadłem? Tak ci zależy, żeby wrócić do układu matka-dziecko?

– Nudzi już mnie ten temat.

– Wcale się nie dziwię, że cię nudzi – powiedziała Gwen. – Ciekawi mnie tylko, czy kiedykolwiek znudzi ci się takie życie.

Wyszedł z domu, wsiadł do samochodu i poczekał, aż Gwen się spakuje.

Rozdział 14

Leżąc w szpitalnym łóżku, Charley Hume uniósł głowę i spojrzał ze zdziwieniem na wchodzącego do pokoju Nathana Anteila.

– Cześć – odezwał się Nathan.

– A niech mnie szlag trafi. – Charley opadł znów na poduszkę.

– Przyniosłem ci parę czasopism – powiedział Nat. Położył na stojącym obok łóżka stoliku po egzemplarzu „Life” i „True”. – Mówią, że za parę dni będziesz w domu.

– Zgadza się – potwierdził Charley. – Już się przygotowuję na to doniosłe wydarzenie. – Przyglądał się Nathanowi. – Miło cię widzieć. Co cię sprowadza do San Francisco?

– Po prostu pomyślałem, że wpadnę – odparł Nat. – Zdałem sobie sprawę, że byłem u ciebie tylko raz czy dwa i to nigdy sam. Wiesz, że dobrze wyglądasz?

– Będę musiał przejść na dietę. Czy to nie fatalna wiadomość? Co za świństwo. Niezłe draństwo. Żeby nie utyć. – Kiedy brał do ręki gazety, zauważył, że ten numer „Life” już czytał. Szwagier przyniósł mu go podczas ostatnich odwiedzin. Udał jednak, że przegląda magazyn. – Jak tam leci? – zapytał.

– W porządku.

– U ciebie wszystko gra?

– Nie narzekam – odparł Nat.

– Słuchaj no, chłopcze – powiedział Charley. Postanowił wziąć byka za rogi. – Wiem o tobie i mojej żonie.

Zobaczył, jak pod wpływem szoku z twarzy siedzącego naprzeciw Nata odplywa krew.

– Naprawdę? – zapytał Nat. Mocno zacisnął dłoń na dłoni i zaczął je wykręcać... aż zbieleły. Przez chwilę nie patrzył na Charleya, a potem uniósł głowę i powiedział: – Dlatego przyjechałem do San Francisco. Chciałem tu przyjść i powiedzieć ci to prosto w oczy.

– Cholera, nie – rzekł Charley. – To nie dlatego tu jesteś. Przyjechałeś, żeby się dowiedzieć, co zrobię, kiedy wrócę do domu. Powiem ci, co zrobię, kiedy wrócę... – Zniżył głos i spojrzał, czy nikt nie przechodzi koło otwartych drzwi wiodących na korytarz. – Możesz zamknąć te drzwi?

Nathan wstał, podszedł do drzwi, zamknął je i wrócił na swoje miejsce.

– Kiedy wrócę do Drake’s Landing, zabiję tę kobietę.

Po dłuższym milczeniu Nathan zwilżył językiem wargi i zapytał:

– Dlaczego? Przeze mnie?

– Cholera, nie – powiedział Charley. – Dlatego, że to suka. Zdecydowałem się na to, jak tylko odzyskałem przytomność po zawale. Jedno z nas musi zabić drugie. Nie wiedziałeś? Nic ci

nie mówiła? Chryste, nie możemy mieszkać oboje w tym domu, a jeżeli któreś z nas go kiedykolwiek opuści, to tylko nogami do przodu. Ja się stamtąd w żaden inny sposób nie wyniosę. Ani ona. To nie ma z tobą nic wspólnego. Daję ci słowo honoru.

Nathan milczał i patrzył w podłogę.

– Przez nią tu jestem – dodał Charley. – Przez nią miałem ten atak serca. Wcale nie mam ochoty na następny. To by był mój koniec.

– Nie sądzę, żebyś naprawdę ją zabił – powiedział Nat. – Ty tylko tego chcesz, a to zupełnie inna sprawa.

– Zrobię ci taką przysługę, że większej nie można – rzekł Charley. – Nie sprzeciwiaj się. Pewnego dnia podziękujesz mi jeszcze, że cię od niej uwolniłem. Nie masz tyle siły, żeby samemu z nią zerwać. Wystarczy na ciebie popatrzeć. Boże wszechmogący, tak naprawdę to siedzisz tu i błągasz, żebym to zrobił. Chcesz tego, bo doskonale wiesz, że w innym razie zapłaczesz się w ten cały bałagan i w nią na resztę życia i nie będziesz miał już nigdy chwili spokoju. – Przerwał, żeby chwilę odpocząć. Mówił z takim zapalem, że zasapał się i zmęczył.

– Nie sądzę, żebyś to zrobił – powtórzył Nat. Charley nie odpowiedział.

– Fay ma bardzo zdrowe cechy charakteru – dodał Nat.

– Moje cholerne plecy – jęknął Charley. – Nie oszukuj się. Ona w życiu nie kiwnęła palcem, a jeżeli nawet, to chyba tylko po to, żeby jeszcze bardziej kogoś od siebie uzależnić i potem wykorzystać.

– Wydaje mi się, że potrafię dać sobie z nią radę – powiedział Nathan. – Nie mam w stosunku do niej żadnych złudzeń.

– Owszem, masz. Właściwie nawet dwa. Po pierwsze, wydaje ci się, że mógłbyś z nią wygrać. A po drugie, sądzisz, że będziesz miał szansę, żeby się o tym przekonać. Korzystaj z tego, że jesteś z nią jeszcze przez parę dni, ponieważ dłużej to nie potrwa. I ona o tym wie. A jeżeli tak nie jest, to Fay jest głupsza, niż przypuszczam.

– A gdybym z nią zerwał? – zapytał Nat. – Gdybym przestał się z nią widywać?

– To niczego nie zmieni. Cała ta historia nie ma nic wspólnego z tobą. Lubię cię i nie mam nic przeciwko tobie. Co mnie właściwie obchodzi, że ona ma ochotę kulać się z tobą po sianie? Wisi mi to. Mam natomiast sporo przeciwko tej cholernej babie, z którą przypadkiem jestem żonaty, a ponieważ z moim sercem prędzej czy później kopnę w kalendarz, więc nie mogę czekać w nieskończoność. I tak zbyt długo odkładałem decyzję. Powinienem był to zrobić kilka lat temu, ale ciągle zwlekałem. O mały włos w ogóle straciłbym okazję. – Przerwał, żeby złapać oddech.

– Nie wierzę, że ten pomysł z morderstwem przyszedłby ci do głowy, gdyby nie mój romans z Fay – powiedział Nat.

– Nazywasz mnie kłamcą? – zapytał Charley.

– Wiem, że to z mojego powodu. – Nat poruszył ręką.

– W takim razie się mylisz. Uwierz mi. Nie okłamuję cię. Niby dlaczego miałbym kłamać?

– Jeśli ją zabijesz, to umrę z przeświadczeniem, że byłem za to odpowiedzialny.

Charley roześmiał się.

– Ty? A tobie się wydaje, że kim ty jesteś w całej tej historii? Chcesz wiedzieć, kiedy się w to wszystko wplątałeś? To ci powiem: mniej więcej dziesięć minut temu. Dziesięć sekund! Cholera, moje plecy! – Zamilkł.

– Będę do końca przekonany, że to dlatego, iż związałem się z Fay – powtórzył Nathan. – Jesteś po prostu zbyt wściekły i przestałeś logicznie rozumować. Sam naprawdę nie wiesz, czym się kierujesz.

– Wiem, czym się kieruję.

W tym momencie do pokoju weszła pielęgniarka, uśmiechając się przepraszająco. Poszukała czegoś na stole, uśmiechnęła się do nich i wyszła, zostawiając otwarte drzwi. Nathan wstał i je zamknął.

– Coś ci powiem – rzekł powoli, kiedy wrócił na miejsce. – Gdybyś rzeczywiście spróbował jej coś zrobić, to stanę w jej obronie.

– Jak prawdziwy chrześcijanin, który staje w obronie Chrystusa? – zapytał Charley.

– Zrobię, co będę mógł, żeby ci przeszkodzić.

– No, dosyć już tego – powiedział Charley. – Naprawdę dosyć. Taki smarkacz, taki studencik, przychodzi tu i opowiada, że będzie mi się stawiał, i to w sprawie, która dotyczy tylko mnie i mojej żony. To nie twój interes, gówniarzu jeden. Wydaje ci się, że kim ty, do cholery, jesteś? Gdybym nie leżał tu uwiązany do łóżka i mógł pojechać do Drake's Landing, to bym cię tak kopnął w jaja, że by ci odpadły i poturlały się po schodach na parter.

– To okropne, co mówisz, ale wydaje mi się, że zachowujesz się irracjonalnie i nie panujesz nad sobą... – Gorączkowo szukał właściwych słów. – W każdym razie jestem pewien, że dam sobie z tobą radę, kiedy będzie trzeba. Facet, który bije swoją żonę, to według mnie trzęsąca się kupa gówna, niewarta funta kłaków, kiedy co do czego przyjdzie. – Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Ale ci we łbie zawróciła – powiedział Charley.

– Do zobaczenia – powiedział Nathan od drzwi.

– Do licha, zupełnie cię omotała. – Spróbował gwizdnąć, by okazać niedowierzanie, jednak wargi odmówiły mu posłuszeństwa. – Posłuchaj no, powiem ci, kim ona jest. Czytałem coś o tym. Nie jesteś jedynym facetem, który potrafi rozprawiać na mądre tematy. Widziałem, jak siedzicie i rozmawiacie o Picassie i Freudzie. Posłuchaj no, ona jest psychopatką. Wiedziałeś? Fay jest psychopatką. Zastanów się nad tym.

Nathan nie odpowiedział.

– A wiesz, kto to jest psychopata? – zapytał Charley.

– Oczywiście – odparł Nathan.

– Nie wiesz, bo inaczej od razu byś się zorientował, że Fay jest psychopatką. A ja to wiem, bo doktor Andrews mi powiedział. – Właściwie było to kłamstwo, lecz Charley był zbyt wściekły, aby cały czas trzymać się prawdy. Słowo „psychopata” znalazł w czasopiśmie „This Week” kilka lat temu, a zamieszczony tam opis na tyle przystawał do Fay, żeby wzbudzić jego zainteresowanie. – Nie muszę robić kursów korespondencyjnych na uniwersytecie, żeby o tym wiedzieć. W którym z jej zachowań leży klucz do całej sprawy? Zawsze próbuje postawić na swoim. – Wyciągnął wskazujący palec w stronę Nathana. – No i nie umie czekać. Czy to nie cecha psychopatyczna? I nic jej nie obchodzi inni ludzie. To również cecha psychopatyczna. Naprawdę. Wcale nie żartuję. – Pokiwał triumfalnie głową, ciężko oddychając. – Świat dla niej jest czymś, co należy wyssać do ostatniej kropli. I ludzie też... – zaśmiał się. – No i masz dowód. W ten właśnie sposób traktuje ludzi. Sprawdź to sobie w jakiejś książce.

– Przyznaję, że Fay ma pewne niepokojące cechy charakteru – powiedział Nathan.

– Wiesz, dlaczego zastawiła na ciebie sidła? A tak nawiasem mówiąc, to chyba nie sądziłeś ani przez chwilę, że ta wasza historia to był twój pomysł, co?

Nathan wzruszył ramionami. Ciągle stał koło drzwi.

– Ona cię potrzebuje – ciągnął Charley. – Ponieważ od początku wiedziała, że jeżeli zawał mnie nie zabije, to wrócę i będę chciał ją załatwić, a wtedy przyda się mężczyzna, który stanie w jej obronie. Chodziło jej właśnie o to, co teraz robisz. – Kiedy to jednak powiedział, zrozumiał, że użył wydumanego i słabego argumentu. – To właśnie dlatego – dodał, lecz w jego głosie nie było zdecydowania i zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie przekonać Nathana. Przez chwilę miał go już, lecz teraz znów wymknął mu się z rąk. – To tylko jeden z powodów – poprawił się. – Są też inne. Wie, że kiedy umrę, będzie potrzebowała męża. To bardzo ważny powód. Będziecie siedzieć koło siebie przez resztę życia i głądzić: bla bla bla. Już was widzę przy stole w jadalni. – Zobaczył wyraźnie stół, duże, wychodzące na patio okna, ławkę... zobaczył też owce, konia... jego własnego konia... i psa. Pies machał ogonem na widok Nathana tak samo, jak machał kiedyś na jego widok, i tak samo go witał. Zobaczył też, jak Nathan wiesza płaszcz w szafie, w której wisi, wisiał kiedyś, jego płaszcz. Zobaczył, jak Nathan myje twarz i ręce w jego łazience, wyciera się jego ręcznikiem; zobaczył, jak zagląda do piecyka, żeby się przekonać, co będzie na obiad. Zobaczył, jak bawi się z dziewczynkami w samoloty, jak je nosi w wyciągniętych rękach...

Zobaczył go, jak siedzi w jego fotelu, w otoczeniu jego córek, psa i żony, i słucha muzyki. Widział go w całym domu, jak z niego korzysta, jak się nim cieszy; zobaczył, jak się w nim dobrze czuje.

– Nie jesteś ich ojcem – powiedział głośno. I nagle przestało mu zupełnie zależeć na

zemście. Chciał tylko znaleźć się znowu w domu, usiąść w living roomie, wrócić do dawnego życia. Nie miał nawet ochoty na konne przejażdżki, zabawę z psem czy pieprzenie się z Fay – do diabła z tym wszystkim. Zależało mu tylko na tym, by siedzieć i patrzeć na nich przez okno. Na przykład patrzeć, jak puszczają latawce, tak jak tego ostatniego dnia. Patrzeć, jak długonoga Fay biegnie przez łąkę, tak lekko, jak pędzi coraz szybciej...

Nagle dotarło do niego, że Nathan coś mówi. O co mu chodzi? Mówił chyba, że zdaje sobie sprawę, iż nie jest ojcem dziewczynek. Próbował go słuchać, lecz nie mógł: był zbyt zmęczony i otepiały. Nathan mówił, a on siedział i patrzył na łóżko.

Gdybym tylko mógł tam wrócić, pomyślał. Nie chcę niczego więcej. Wrócić. Do mojej Elsie. Pojeździć furgonetką. Wybrać się na zakupy, przeciągnąć rurę do poidła dla kaczek... zrobić cokolwiek. Czyścić wanny, umywalki, sedesy, wynosić śmieci... wszystko jedno co. Proszę.

Pieprzyć to wszystko, pomyślał. Tego już nie ma. Wiem, że nigdy tam nie wrócę. Nigdy nie zobaczę domu, nawet za milion lat. A ten drugi, ten smarkacz, przyjdzie, weźmie sobie to wszystko i będzie z tego korzystał do końca życia.

Powinienem zabić ich wszystkich, pomyślał. Tego gówniarza, ją i jej pokreconego braciszka z tą jego potworną, tanią historyjką, którą wysmażył, żeby czerpać sadystyczne zadowolenie z jej odczytywania. Wariat. Cała rodzina wariatów. Świat pełen wariatów. Tak jak ci wariaci od latających talerzy z Inverness Park. Wszyscy ze sobą współpracują, jak Eisenhower współpracował z Dullesem.

A niech to wszystko szlag, pomyślał. Wrócę tam i dobiore się im do skóry. Nawet gdybym nie wrócił, też ich załatwię. Tak czy inaczej.

– Słuchaj no – powiedział. – Wiesz, kim jestem? Jestem jedynym człowiekiem na świecie, powtarzam: jedynym, który może uratować cię przed tą cholerną babą. Zgadza się? No przecież wiesz. Zgadza się? Zgadza?

Nathan milczał.

– Nikt inny tego nie potrafi – mówił Charley. – Ani ty ani twoja żona, ani doktor Sebastian, ten stary pastor pierdoła, ani kopnięty brat Fay, ani Fineburgowie, nikt z hrabstwa Marin, z hrabstwa Contra Costa ani z hrabstwa Sonoma, tylko ja, bo ją trzeba zabić, a ja... Boże święty... ty wiesz, że ja to zrobię. Więc się lepiej, za mnie pomódl: jedź do domu, usiądź sobie w pokoju, włącz telewizor, czekaj i módl się, żebym stąd wyszedł i nie umarł za prędko, ponieważ to ty na tym skorzystasz. Ty i nikt inny. A za dziesięć lat... cholera, co ja mówię, za dziesięć dni... będziesz zadowolony. Naprawdę będziesz. Już teraz jakiś głos ci to podpowiada. To podświadomość. Więc jedź do domu. Nie mieszaj się do spraw, które cię nie dotyczą. Gdyby do ciebie zadzwoniła, nie podnoś słuchawki. Gdyby podjechała pod twoje drzwi samochodem i nacisnęła klakson, nie wychodź z domu. Zignoruj ją. Przez tydzień. Tydzień i wszystko będzie

dobrze! – krzyknął. – A potem będziesz mógł dalej studiować, zdobyć dyplom i zostać, kim tam będziesz chciał. Jeśli zrobisz inaczej, to wiesz, co się z tobą stanie?

Nathan milczał.

– Nie muszę ci chyba mówić – powiedział Charley i wtedy ogarnęło go uczucie triumfu i radości, największe od czasu, kiedy to wszystko się zaczęło. Uczucie nieomal mistyczne. Nie musiał już nic mówić, bo twarz Nathana zdradzała, że chłopak zrozumiał. – Wiesz, co to znaczy?! – krzyknął na niego Charley. – To znaczy, że mam rację. Gdybym nie miał racji, nigdy byś nie zrozumiał. To nie jest mój wymysł. Tylko prawda. Obaj o tym wiemy. Obaj wiemy, jaka ona jest. Mamy dowód, że to wszystko prawda. Zgadza się?

Nathan milczał.

Po raz pierwszy widzę wszystko jasno i rozumiem, jaka ona jest naprawdę, pomyślał. To nie żaden mój wymysł. Fay to naprawdę dziwka pierwszej klasy – widzę to na twarzy tego chłopaka, a on na mojej.

Dzięki Bogu. Za tę pewność.

– Zgadza się? – powtórzył.

– Wiedziałem, że ma wady. Kiedy się poznaliśmy, nie zrobiła na mnie dobrego wrażenia. Spostrzegłem wszystkie te cechy charakteru, o których mówiłeś.

– A gównu – przerwał mu Charley. – Wpadłeś po uszy, jak tylko ją zobaczyłeś.

– Nie – powiedział Nathan, podnosząc głowę, i Charley spostrzegł, że jednak się mylił. Znowu mi się wymknął, pomyślał. A niech to szlag.

– A więc przeczuwałeś coś. – Poczul, że powiedział coś niewłaściwego, nie mógł już jednak cofnąć tych słów. – To tylko dowód, że w głębi duszy jesteś przekonany, iż mam rację.

– Do zobaczenia – rzekł Nathan. Wyszedł z pokoju i zamknął za sobą drzwi.

A może on rzeczywiście przeprowadzi wszystko do końca, pomyślał Charley jakiś czas później. Może będzie wobec niej lojalny. Głupi sukinsyn.

Jestem chory, pomyślał. To prawda. Co zrobię, jeśli on rzeczywiście mi się postawi? Zanim dostałem tego ataku, mogłem go załatwić jedną ręką. Mogłem mu rozwalić łeb na kawałki. Ale teraz jestem zbyt słaby. Załatwią mnie, bo Fay jest bystra i spostrzegawcza, a on dołoży do tego swoją siłę fizyczną. Razem są dla mnie groźnymi przeciwnikami, biorąc pod uwagę mój stan. Dranie.

Problem polega na tym, że jestem głupi, pomyślał. Nie potrafię tak gadać jak oni. Wszystko spieprzyłem.

Rozdział 15

Siedziałam w sypialni i zszywałam rozdartą niebieską spódniczkę Elsie, kiedy zadzwonił dzwonek u drzwi, po którym rozległo się szczekanie Binga. Nie przerwałam szycia, bo myślałam, że Jack pójdzie otworzyć, ale po chwili zdałam sobie sprawę, że pewnie zamknął się w swoim pokoju i nic nie słyszy, więc odłożyłam robotę i pobiegłam do drzwi.

Na ganku stała Maud Mayberry z Inverness Park: rosła, rumiana kobieta, której mąż pracował w fabryce koło Olemy. Znałam ją z komitetu rodzicielskiego.

– Wejdz, proszę – powiedziałam. – Przepraszam cię, ale nie od razu usłyszałam dzwonek.

Siedziałyśmy przy stole w jadalni, piłyśmy kawę; ja zszywałam spódniczkę Elsie, a ona opowiadała, co dzieje się w północno-zachodniej części Marin.

– Słyszałaś o tej grupie od latających talerzy? – spytała. – O tej paczce Claudii Hambro?

– A kto by się tam interesował takimi pomysłami – odparłam.

– Twierdzą, że nastąpi koniec świata.

Odłożyłam szycie.

– Nie mogę odmówić szacunku Claudii Hambro – powiedziałam. – Chylę przed nią czoło. Właśnie w chwili, kiedy zaczęłam zauważać, że moje życie to jeden wielki bałagan, a ja sama jestem idiotką, która nie potrafi dać sobie rady w najprostszej sytuacji, dowiaduję się czegoś takiego.

– Oni wszyscy cierpią na jakąś psychozę. Powinien się nimi zająć lekarz.

Potem pani Mayberry opowiedziała mi szczegóły. Znała je co prawda z drugiej ręki, ale była najwidoczniej przekonana, że są prawdziwe. Dowiedziała się o wszystkim od żony młodego pastora z Point Reyes Station. Członkowie grupy pani Hambro najwyraźniej spodziewali się, że zostaną szybko zabrani w kosmos tuż przed katastrofą. Była to najbardziej dziwna bzdura, jaką zdarzyło mi się słyszeć w życiu. Naprawdę.

– Claudię Hambro powinni zabrać do szpitala – stwierdziłam. – Roznosi tę zarazę, jakby to była dżuma. Niedługo wszyscy w północno-zachodniej części hrabstwa pójdą na farmę Norena i będą czekali na latający talerz. To się dostanie do gazet. O takich sprawach ludzie chętnie czytają. Podobne historie zdarzają się raz na dziesięć lat. Nigdy bym nie pomyślała, że w coś takiego będą zamieszani moi znajomi. Dobry Boże, córeczka Claudii Hambro była tu parę dni temu na zbiórce Drozdów. Dobry Boże. – Potrząsnęłam głową: to już naprawdę szczyt wszystkiego. I w coś takiego wplątał się mój brat.

– Twój brat też jest w tej grupie, prawda? – zapytała pani Mayberry.

– Tak – odparłam.

– Jednak nie masz dla niego zrozumienia.

– Mój brat jest tak samo stuknięty jak oni wszyscy i nie interesuje mnie, kto usłyszy z moich ust tę opinię. Żałuję tylko, że go tu sprowadziłam, że dałam się przekonać Charleyowi, aby go tu przywieźć.

– Słyszałaś o opowiadaniu, które twój brat napisał na potrzeby grupy?

– O jakim opowiadaniu? – zdziwiłam się.

– No cóż, pani Baron mówiła, bo od niej mam te informacje, że twój brat napisał coś pod wpływem hipnozy czy też telepatycznego sygnału, który przesłał ich duchowy przywódca... on mieszka, o ile wiem, w San Anselmo. W każdym razie twój brat przyniósł im tę historię, a oni ją teraz czytają, pożyczają sobie i próbują znaleźć ukryte w niej symboliczne znaczenie.

– Chryste Panie – powiedziałam zafascynowana.

– Dziwię się, że nic na ten temat nie słyszałaś – rzekła pani Mayberry. – W związku z tą sprawą odbyli kilka specjalnych spotkań.

– A od kogo miałabym słyszeć? – spytałam. – Czy ja w ogóle gdzieś wychodzę? Boże, przecież muszę jeździć trzy razy w tygodniu do San Francisco, a poza tym od czasu, kiedy mój mąż jest w szpitalu...

– Chodzi o ciebie i tego młodego człowieka, który się tu ostatnio sprowadził – wyjaśniła pani Mayberry. – O Nathana Anteila, który wynajął stary dom Mondavich.

Poczułam, że robi mi się zimno.

– Ja i pan Anteil? Co chcesz przez to powiedzieć?

– Tego opowiadania nie pokazywali nikomu spoza grupy. Pani Baron nic więcej nie wiedziała.

– Czy z innych źródeł słyszałaś może coś o mnie i panu Anteilu?

– Nie – odparła pani Mayberry. – A co miałabym słyszeć?

– Pieprzona Claudia Hambro – rzuciłam, lecz kiedy zobaczyłam wyraz twarzy Maud Mayberry, dodałam zaraz: – Przepraszam. – Rzuciłam spódniczkę Elsie. Byłam tak wściekła i zdenerwowana, że pociemniało mi w oczach. Poszłam po torebkę, wyjęłam papierosy, zapaliłam jednego i zaraz wrzuciłam go do kominka. – Przepraszam cię – powiedziałam – ale muszę wyjść.

Pobiegłam do sypialni, zdjęłam dzinsy, po czym włożyłam bluzkę i spódnicę. Uczesałam się, pomalowałam usta, złapałam torebkę i kluczyki do samochodu, a potem ruszyłam do wyjścia. Przy stole w jadalni siedziała ta krowa pani Mayberry i patrzyła na mnie tak, jakbym była jakimś dziwolągiem.

– Muszę wyjść na chwilę – wyjaśniłam. – Do widzenia. – pobiegłam ścieżką i wskoczyłam za kierownicę buicka. W minutę później pędziłam już drogą do Inverness Park.

Claudię Hambro znalazłam w kaktusowym ogrodzie, zajęta wyrrywaniem chwastów.

– Słuchaj no – powiedziałam. – Myślę, że gdybyś miała choć odrobinę poczucia odpowiedzialności, zadzwoniłabyś do mnie, jak tylko wpadło ci w ręce to, co on napisał. To znaczy Jack. – Tak szybko biegłam od samochodu wyłożoną płaskimi kamieniami ścieżką, że teraz ledwo łapałam oddech. – Mogłabym to zobaczyć?

Claudia wstała, trzymając w ręku rydel.

– Masz na myśli opowiadanie?

– Właśnie – odparłam.

– Jest w czytaniu – powiedziała. – Pożyczamy je sobie po kolei. Nie wiem, kto je teraz ma.

– Czytałaś to? Co tam jest o mnie i o Nacie Anteilu?

– Opowiadanie ma formę typową dla pisania telepatycznego. Możesz je sobie przeczytać. Zannotuję sobie twoje nazwisko i kiedy do mnie wróci, przywiozę ci je. – Musiałam przyznać, że był w niej jakiś zadziwiający spokój. Była całkiem opanowana.

– Pozwę cię do sądu – powiedziałam.

– A, prawda – odparła Claudia. – Masz tego prawnika w San Rafael. Wie pani co, pani Hume? Za miesiąc nikt z nas nie będzie już niczego pamiętał ani niczym się martwił. Wszystko zniknie. – Posłała mi swój oszałamiająco piękny uśmiech. Przypuszczam, że w całej Kalifornii Północnej nie było kobiety piękniejszej niż Claudia Hambro. Nie zdradzała najmniejszego niepokoju. Nawet powieka jej nie drgnęła, a ja byłam zła i zdenerwowana jak nigdy przedtem. Widziałam wyraźnie, że w ciągu tych kilku chwil zdobyła nade mną przewagę. Pewność siebie Claudii Hambro miała źródło w jej charyzmatycznej osobowości. To była naprawdę silna kobieta. Nic dziwnego, że przejęła kontrolę nad grupą. Ja w każdym razie nigdy nie potrafiłam rozmawiać z kobietami. Mogłam tylko trzymać nerwy na wodzy i mówić na tyle rozsądnie, na ile było to możliwe.

– Byłabym wdzięczna, gdybym mogła to dostać – powiedziałam. – Może mogłabyś skontaktować się z członkami twojej grupy i dowiedzieć się, kto ma to opowiadanie, a ja pojechałabym do tego kogoś i je odebrała. Szczerze mówiąc, nie widzę w tym nic trudnego. Jeśli dasz mi ich nazwiska, to mogę zaraz do nich zadzwonić.

– Opowiadanie wróci – odparła Claudia Hambro. – We właściwym czasie.

Odeszłam stamtąd, czując się jak skarcone przez nauczyciela dziecko. Boże, pomyślałam, Claudia Hambro wygrywa na całej linii i nic nie można na to poradzić. Wiem, że nie ma prawa pożyczać nikomu tego cholernego opowiadania, i ona też o tym wie, a jednak sprawiła, że moja prośba zabrzmiała tak, jakbym domagała się czegoś zupełnie niesłuchanego. Jak jej się to udało? Teraz czułam raczej przygnębienie niż złość i nawet się nie bałam. Czułam się po prostu jak jakaś nieporadna idiotka, jak ktoś, kto zupełnie nie potrafi zadbać o swoje własne sprawy.

Kiedy zastanowiłam się nad tym, co się stało, zrozumiałam, że nie powinnam była wprost żądać tego opowiadania, nie powinnam była jej straszyć ani krzyczeć, lecz po prostu bez słowa

wyciągnąć rękę.

Wsiadłam do samochodu i w tym momencie zdecydowałam, że pojedę po Nathana i zmuszę go, by wydobyl dla mnie to cholerne opowiadanie.

W końcu i o nim tam było.

Pojechałam do niego, zaparkowałam samochód i nacisnęłam klakson. Na ganku nikt się nie pokazał, więc wyłączyłam silnik i poszłam po schodach na górę. Na pukanie nikt nie odpowiedział, otworzyłam więc drzwi i zawołałam. W dalszym ciągu nikogo. Co za skurwysyn, pomyślałam.

Wróciłam do samochodu i zaczęłam jeździć bez celu po okolicy, mając w głowie tyle pomysłów na dalszy ciąg tej sprawy, ile miałoby w tym wypadku roczne dziecko.

Po półgodzinie pojechałam do siebie. Było wpół do trzeciej i dziewczynki miały zaraz wrócić do domu. Pani Mayberry na szczęście już poszła. Zajrzałam do pokoju brata, ale Jacka nie było. Podszuchał pewnie moją rozmowę z panią Mayberry i był na tyle rozsądny, żeby się wynieść.

Poszłam do kuchni i nalałam sobie drinka.

Kompletne dno, pomyślałam. Sprawa rozniosła się po całej okolicy, a do tego rozpowszechnianiem tego opowiadania zajmuje się najbardziej popieprzona banda pomyleńców na całym kontynencie północnoamerykańskim. Akurat oni musieli dostać to w swoje łapy. A swoją drogą, co tam w ogóle może być? – zastanowiłam się. Co ta baba mówiła? Zadzwoiłam do Sama Cohena, mojego prawnika. Opisałam mu całą sprawę, a on poradził mi nic na razie nie robić i poczekać, aż przeczytam ten dokument, czy jak to tam nazwać. Podziękowałam mu i poszłam zrobić sobie jeszcze jednego drinka. Potem wykręciłam numer doktora Andrews. Recepcjonistka powiedziała, że nie będzie mógł ze mną rozmawiać przed czwartą, bo ma pacjenta, i poradziła mi, abym zadzwoniła jeszcze raz. Tymczasem wróciły dziewczynki. Odłożyłam słuchawkę, wyszłam na patio i zaczęłam się przyglądać, jak kaczor z gatunku roueńskich goni po zagrodzie kaczkę piźmówkę. Kiedy zagnał ją do koryta na pokarm, przefrunęła na drugą stronę zagrody, do poidła. Pobiegł tam za nią, a wtedy ona odleciała z powrotem.

Dziesięć po czwartej udało mi się dodzwonić do doktora Andrews. Powiedział mi, żebym wzięła jedną z tabletek sparyny, które mi dał, i poczekała, aż przeczytam to cholerne opowiadanie.

– Zanim je przeczytam, to nawet na farmach na przylądku będą wiedzieli o mnie i o Nathanie – stwierdziłam.

W typowy dla siebie, pierdołowaty sposób wymruczał coś o zachowaniu spokoju i dalekowzrocznym spojrzeniu na sprawę.

– Nic innego nie robię, ty psychoanalityku od siedmiu boleści – powiedziałam. – Tępaku

jeden. Zrujnują mi tu reputację. Nie mieszkałeś nigdy w takiej dziurze. Łatwo ci wygadywać takie rzeczy, bo mieszkasz w San Francisco, gdzie możesz się pieprzyć z kim ci tylko przyjdzie ochota, a ludziom to wisi. Tutaj w komitecie rodzicielskim odbyłoby się głosowanie dotyczące twojej osoby, zanim zdażyłbyś zapiąć sobie rozporek. Boże święty, opiekuję się Drozdami i kieruję grupą taneczną – przestaną do mnie przysyłać dzieci. Poczta nie będzie mi dostarczać listów, odetną mi elektryczność, a w Mayfair Market nie sprzedadzą mi nic do jedzenia. Będę musiała jeździć do Petalomy po chleb. Nawet benzyny mi nie sprzedadzą!

Andrews powiedział mi, że zbytnio się unoszę. W końcu posłałam go do diabła i odłożyłam słuchawkę.

Ostatecznie psychoanalicyty są po to, żeby odreagowywać się ich kosztem, pomyślałam.

W pewnym sensie miał rację. Za bardzo się denerwuję.

O szóstej, kiedy jadłam z córkami obiad – Jack ciągle się gdzieś ukrywał – otworzyły się frontowe drzwi i wszedł Nat Anteil.

– Gdzieś ty był? – spytałam, zrywając się od stołu. – Cały dzień cię szukam. – A potem, kiedy przyjrzałam się jego twarzy, zrozumiałam, że już wie. – Możemy ich pozwać do sądu? Na przykład za zniesławienie?

– Nie wiem, o czym mówisz – odrzekł Nat.

– Poczekaj – powiedziałam. Wyszłam z nim z jadalni, zaprowadziłam do gabinetu, zamknęłam za sobą drzwi, by dziewczynki nie mogły nas usłyszeć, i spytałam: – Co się stało?

– Byłem w San Francisco i rozmawiałem z twoim mężem. Jack musiał mu o nas powiedzieć. W każdym razie Charley wie.

– Jack wszystkim powiedział. Opisał tę historię i dał Claudii Hambro.

– Odbyłem z Charleyem długą rozmowę... – zaczął Nat, lecz przerwałam mu, zanim zdażył rozwinąć to zdanie w jedno ze swoich dwugodzinnych przemówień.

– Musisz pojechać do Claudii i to odebrać – powiedziałam. – Powiedz jej, że dostanie sto dolarów, to powinno ją przekonać. – Poszłam do biurka po książeczkę czekową, a potem usiadłam na łóżku, żeby wypisać czek. – W porządku? Zostawiam ci tę sprawę. Jest teraz całkowicie w twoich rękach i jesteś za nią odpowiedzialny.

– Zrobię, co będę mógł – obiecał. Na razie stał jednak z czekiem w ręku i nie robił nic.

– No, dalej – ponagliłam go. – Jedź tam. A może to kolejny z poniżających obowiązków domowych, których wykonywaniem czujesz się tak urażony?

– Twój mąż powiedział, że kiedy tu wróci, to cię zabije.

– A diabła tam zabije – powiedziałam. – To ja jego zabiję. Kupię rewolwer i go zastrzelę. Jedź do Claudii po to opowiadanie, dobrze? Charleyem się nie przejmuj: prawdopodobnie umrze na atak serca w drodze do domu. Od lat opowiada, że ze mną skończy. Kiedyś posłałam go po tampaksy i kiedy wrócił do domu, o mało mnie nie zabił. Tego typu mężczyźni wpadają na

podobne pomysły; można to przewidzieć, a jak się jest z kimś takim...

Nat ruszył do drzwi gabinetu, trzymając w ręku czek.

– Zrobisz to? – spytałam, idąc za nim. – Odbierzesz opowiadanie od Claudii? Zrobisz to dla mnie? Dla nas obojga?

– Dobrze – zgodził się przygnębiony. – Spróbuję.

– Oczaruj ją – powiedziałam. – A znasz w ogóle Claudię Hambro? Poznałeś ją kiedyś? Jedź do domu i załóż ten wspaniały rudy narciarski sweter, który miałaś na sobie tego dnia, kiedy się poznaliśmy. Przybędzie ci niezgorsze doświadczenie, kiedy ją poznasz. – Odprowadziłam go do samochodu. – To najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam. Wygląda jak jakaś księżniczka z dżungli z tą swoją grzywą włosów i zębami jak perły.

Wyjaśniłam mu, jak ma ją znaleźć, a potem Nat odjechał, nie powiedziawszy więcej ani słowa.

Wróciłam do domu w znacznie lepszym nastroju. Dziewczynki wyglupiały się przy stole, przesuając ku sobie kupki szpinaku. Dałam im parę klapsów, a potem usiadłam i zapaliłam papierosa.

Za dużo palę, pomyślałam. Będę musiała powiedzieć Natowi, żeby pomógł mi ograniczyć. Pewnie zmusi mnie, żebym w ogóle przestała, kiedy tylko dam mu szansę. Prawdopodobnie i tak uważa, że papierosy zbyt dużo kosztują.

Później, ponieważ Jack w dalszym ciągu się nie pojawiał, sprzątnęłam ze stołu i kazałam dziewczynkom pozmywać. Siedziałam w living roomie naprzeciw kominka i zastanawiałam się nad tym, co Nat powiedział mi o Charleyu.

Za diabła mnie nie zabije, pomyślałam. A może jednak? Pewnie będę musiała wezwać szeryfa; ściągnąć kogoś, kto tu ze mną posiedzi.

Pomyślałam, żeby zadzwonić do doktora Andrews pod jego domowy numer i spytać go o Charleya. Bywało już tak, że potrafił przewidzieć, co mój mąż ma zamiar zrobić. Jest psychiatrą i to normalne, że wie takie rzeczy. Skąd, do cholery, ja miałabym się tego domyślić? Może ten atak serca wystraszył go do tego stopnia, że naprawdę potrafiłby zabić.

Otworzyły się frontowe drzwi. Przez moment myślałam, że to Nat wraca z tym nieszczęsnym dokumentem, ale okazało się, że przyszedł Jack, ubrany w starą wojskową pelerynę i turystyczne buty. Zerwałam się na równe nogi.

– A niech cię szlag trafi! Nie mam nic przeciwko temu, że powiedziałaś Charleyowi, ale dlaczego, do diabła, musiałaś o wszystkim poinformować tę grupę od latających talerzy z Inverness Park?

Patrzył z zakłopotaniem w podłogę i idiotycznie się uśmiechał.

– Coś tam nawypisywał? – zapytałam. – Masz drugi egzemplarz? Tak? Nie? Nie pamiętasz? Pewnie nawet nie pamiętasz, co tam było napisane, ty... – Nie znalazłam słowa, którym

mogłabym go określić. – Wynoś się stąd. Wynoś się z mojego domu. Bierz swoje rzeczy i idź. Włóż wszystko do samochodu, odwiozę cię do San Francisco. Mówię poważnie. – Po jego reakcji zorientowałam się, że mi nie wierzy. – Nie chcę cię tu widzieć – dodałam. – Ty półgłówku.

– Państwo Hambro zaproponowali mi, że mogę z nimi zamieszkać – powiedział Jack swoim skrzypiącym głosem.

– No to idź i mieszka! – wrzasnęłam. – I powiedz tej kobiecie, żeby przyjechała po ciebie i po te twoje śmieci. – Złapałam coś, zdaje się jakąś zabawkę, i rzuciłam w niego. Byłam tak wściekła, że prawie odchodziłam od zmysłów. Jeśli będzie mógł zostać u Hambro, to nigdy się go nie pozbędziemy z tej okolicy: będzie tam siedział i wywalał wszystko, co wie na nasz temat, pisał jedno telepatyczne sprawozdanie po drugim, dostarczając grupie materiału dla niezliczonych spotkań. – I nie myśl sobie, że cię do niej zawiozę! – krzyknęłam, biegnąc za nim, żeby otworzyć drzwi. – Sam się tam musisz dostać! Zabierz stąd swoje graty jeszcze dziś wieczorem!

Przecisnął się koło mnie, ciągle z tym samym idiotycznym uśmiechem na twarzy, i wyszedł z domu. Bez słowa – w końcu co miałby powiedzieć – poczłapał po podjeździe w stronę drogi, a potem zniknął w ciemności za cyprysami. Zatrzasnęłam z hukiem drzwi, a potem poszłam szybko do jego pokoju i zaczęłam zbierać te śmieci.

Z początku próbowałam zaciągnąć to wszystko na podjazd, jednak po kilku nawrotach dałam sobie spokój. Niby dlaczego mam mu to nosić? Zamięczać się z powodu tych wszystkich gratów...

Coraz bardziej wściekła, powrzucałam wszystko do kartonu, który chcieliśmy przeznaczyć dla świnki morskiej dziewczynek. Złapałam karton za narożnik i wywlokłam go na ławkę do spalarki. A potem zrobiłam coś, co wtedy wydawało mi się niegodziwe. Wzięłam galonową butlę, w której była benzyna do glebogryzarki, oblałam karton i podpaliłam zapalniczką. Po dziesięciu minutach został z niego tylko dopalający się żar. Z wyjątkiem kolekcji kamieni wszystko się spaliło, a ja poczułam ulgę. Teraz, kiedy to zrobiłam, nie czułam już żalu. Byłam zadowolona.

W jakiś czas potem usłyszałam podjeżdżający pod dom samochód. W drzwiach pojawił się Jack.

– Gdzie są moje rzeczy? – zapytał. – Przed drzwiami nie ma wszystkiego.

Usiadłam w dużym fotelu i popatrzyłam mu w twarz.

– Resztę spaliłam. Wrzuciłam ten cały bałagan do spalarki.

Spojrzał na mnie z tępym wyrazem twarzy.

– Naprawdę?

– No idź sobie stąd – powiedziałam. – Na co jeszcze czekasz?

Pokręcił się trochę, a potem wyszedł, zostawiając otwarte drzwi. Zobaczyłam, jak zabiera te śmieci, które wyniosłam na podjazd, i ładuje do samochodu Claudii. A potem Claudia Hambro wycofała samochód i wjechała na drogę.

– Uff – odetchnęłam. – To tyle.

Wzięłam butelkę burbona z kuchennego kredensu, zaniiosłam ją razem ze szklanką i pojemnikiem pełnym kostek lodu do living roomu i postawiłam koło fotela. Przez pewien czas siedziałam tak i piłam, czując się coraz lepiej. W końcu udało mi się pozbyć tego drania z domu i to było jakieś osiągnięcie. Przecież mogę zmusić Nathana, żeby pomagał mi prawie tak jak Jack. Dziewczynki będą co prawda tęsknić za moim bratem, no ale Nat przejmie i tę rolę.

A potem zaczęłam myśleć o Nacie i Claudii Hambro i zaraz przeszedł mi dobry nastrój, i znów zaczęłam się czuć gorzej. Czy jest teraz w jej domu? Czy wszyscy teraz tam są? Mój brat i Nathan? Czy już wszyscy są gośćmi rodziny Hambro?

Claudia Hambro była bez wątpienia dziesięć razy ładniejsza ode mnie. A Nat nigdy jej przedtem nie widział. Miała taką charyzmatyczną osobowość, taką umiejętność wpływania na innych... wystarczy pomyśleć, z jaką łatwością zdobyła nade mną przewagę, a Nat był przecież o wiele słabszy psychicznie niż ja. I było coś jeszcze – nigdy nie ulegało wątpliwości, że jest typem mężczyzny, z którym kobieta potrafi sobie łatwo dać radę. Od razu to zauważyłam. Jeśli przeciętnie wyglądająca kobieta o przeciętnej inteligencji i wdzięku zdołała zmusić go do takich zachowań, to wystarczy pomyśleć, co mogłaby wydobyć z niego Claudia Hambro.

Zastanawiając się nad tym wszystkim, zaczęłam pić jak nigdy przedtem. Po chwili zupełnie straciłam umiar. Nie mogłam przestać myśleć o Claudii i Nacie, a potem przemieszało mi się to jeszcze z Charleyem, który wraca do domu i zabija mnie, a może nawet i dziewczynki... zobaczyłam, jak otwierają się drzwi i wchodzi Charley ze słoikiem wędzonych ostryg, a ja wstaję z fotela i wychodzę mu naprzeciw i sięgam po słoik, zachwycona prezentem.

On mnie naprawdę zabije, zdałam sobie sprawę. Tym razem, kiedy otworzą się drzwi i wejdzie Charley, nie uderzy mnie, lecz zabije.

Wstałam z fotela i powiedziałam córkom, żeby poszły spać. Potem poszłam do pralni i objijając się o pralkę i suszarkę, wzięłam stamtąd małą siekierkę, której używałam do rąbania drewna na podpałkę. Poszłam do sypialni, zamknęłam wszystkie okna, przekręciłam klucz w zamku, usiadłam na łóżku i położyłam sobie siekierkę na kolanach.

Siedziałam ciągle w tej samej pozycji, kiedy usłyszałam, że ktoś wchodzi frontowymi drzwiami. Czy to on? – pomyślałam. Charley, Jack czy Nat? Nie mógł przecież dziś wieczorem wyjść ze szpitala. Mają go wypuścić nie wcześniej niż pojutrze. A Jack nie ma samochodu. Czy rzeczywiście słyszałam samochód? Podeszłam do okna i spróbowałam wyjrzeć na podjazd, ale cyprysy zasłaniały cały widok.

– Fay? – usłyszałam męski głos z głębi domu.

– Tutaj – odezwałam się. Mężczyzna podszedł do drzwi.

– Fay, jesteś tam? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałam.

Spróbował otworzyć drzwi i zorientował się, że są zamknięte na klucz.

– To ja – powiedział. – Nat Anteil.

Wstałam i przekręciłam klucz w zamku.

– Co się dzieje? – zapytał, kiedy zobaczył siekierkę. Gdy wyjmował mi ją z rąk, spostrzegł pustą butelkę po burbonie, którą dokończyłam w sypialni. – Boże świąty – jęknął, obejmując mnie ramionami.

– Nie ściskaj mnie tak – zaprotestowałam. – Idź uściskać Claudię Hambro. – Odepchnęłam go z całej siły. – Jak było? – spytałam. – Jest dobra w łóżku?

Chwycił mnie za ramię i stanowczo poprowadził do kuchni. Tam posadził mnie przy stole i nastawił czajnik.

– A idź do diabła – powiedziałam. – Nie chcę kawy. Od kofeiny dostaję w nocy palpacji serca.

– To zrobię ci bezkofeinowej – oznajmił, zdejmując z półki słoik sanki.

– To nie kawa – powiedziałam, lecz i tak pozwoliłam, by zrobił mi filiżankę tego paskudztwa.

Rozdział 16

Żona miała podjechać o pierwszej po południu pod główne wejście do szpitala i zabrać go do domu. Jednak poprzedniego wieczoru Charley zadzwonił do Billa Jaffersa, szefa produkcji swojego zakładu w Petalumie, i powiedział mu, żeby przyjechał po niego furgonetką o dziewiątej rano. Wyjaśnił mu, że żona jest zbyt zdenerwowana, by wziąć na siebie odpowiedzialność za odwiezienie go do domu.

O wpół do dziewiątej wstał ze szpitalnego łóżka i ubrał się – włożył białą koszulę, krawat i wyczyszczone do połysku czarne oksfordy – sprawdził, czy ma wszystkie rzeczy w walizce, zapłacił w szpitalnym biurze rachunek, a potem usiadł na schodach przed budynkiem i zaczął czekać na Jaffersa. Dzień był chłodny i słoneczny. Nie było mgły.

W końcu pojawił się fabryczny pikap. Jaffers, wielki ciemnowłosy mężczyzna tuż po trzydziestce, wysiadł z samochodu i podszedł do Charleya Hume'a.

– Nieźle pan wygląda – powiedział. Zaczął zbierać stojące obok Charleya pakunki i ładować je na skrzynię pikapa.

– Bo się dobrze czuję – odparł Charley, wstając. Było mu słabo i miał mdłości, więc poczekał, aż Jaffers pomoże mu wejść do szoferki.

Po chwili jechali już przez centrum San Francisco w kierunku mostu Golden Gate. Ruch był jak zawsze duży.

– Niech pan się nie spieszy – powiedział Jaffersowi. Wyliczył sobie, że Fay powinna wyjść z domu koło jedenastej.

Nie chciał się tam znaleźć, zanim ona wyjedzie, mieli więc dwie godziny. – Niech pan nie kwiczy oponami na zakrętach, tak jak w czasie pracy, kiedy zdziera pan gumy, które i tak nic pana nie kosztują. – Był przygnębiony; oparł się o drzwi i patrzył na mijane samochody, domy, ulice. – Musimy się po drodze zatrzymać. Muszę kupić parę rzeczy – oznajmił.

– A co? – spytał Jaffers.

– Nie pana interes – odburknął Charley. – Do sklepu sam pójde.

W jakiś czas później zatrzymali się w centrum handlowym jednego z niewielkich miasteczek w hrabstwie Marin. Zostawił Jaffersa w samochodzie, poszedł kawałek ulicą, potem skręcił w przecznicę, kierując się w stronę sklepu z artykułami żelaznymi, w którym już kiedyś był. W sklepie kupił rewolwer kalibru.22 i dwa pudełka naboju. W domu było sporo broni – strzelb i pistoletów – ale Fay na pewno kazała wszystko pochować. Powiedział sprzedawcy, żeby zrobił taką paczkę, by nie można się było zorientować, co jest w środku, zapłacił gotówką i wyszedł na ulicę. Po chwili siedział już w samochodzie z paczką na kolanach.

– Założę się, że to dla żony – powiedział Jaffers, kiedy ruszyli.

– I ma pan świętą rację – odparł Charley.

– Niezłą ma pan żonę.

– Święta racja.

W Fairfax zatrzymali się w przydrożnym barze, żeby coś zjeść. Jaffers zamówił dla siebie dwa hamburgery i koktajl mleczno-waniliowy. Charley zjadł tylko talerz zupy.

Kiedy jechali przez park narodowy drogą sir Francis Drake’a, Jaffers powiedział:

– Ale tu pięknie. Kiedyś często jeździliśmy w okolice Inverness na ryby. Na łososie i okonie.

– Zaczął opisywać swój sprzęt wędkarski. Charley słuchał jednym uchem. – Sądzę, że spinningi – zakończył swój wykład Jaffers – są niezłe do łapania na błysk, ale jeśli chodzi o łowienie w strumieniu, to nie widzę dla nich zastosowania. Tego typu wędkę potrafią kosztować dziewięćdziesiąt pięć dolców, i to za sam kij.

– Tak, tak – mruknął Charley.

Było dziesięć po jedenastej, kiedy znaleźli się w Drake’s Landing. Na pewno już jej nie ma, pomyślał. Kiedy jednak dojechali do rosnących przed domem cyprysów, dostrzegł między drzewami błysk słońca odbitego od maski buicka. A niech ją diabli, pomyślał. Jeszcze nie wyjechała.

– Jedź pan dalej – powiedział do Jaffersa.

– Jak to? – zdziwił się Jaffers; zwolnił już i właśnie wjeżdżał na podjazd.

– Jedź dalej, durniu – powtórzył ostro. – No jedź, nie skręcaj pod dom.

Zdumiony Jaffers zawrócił na drogę. Charley odwrócił się i zobaczył, że frontowe drzwi są otwarte. Z pewnością była już gotowa do wyjścia.

– Nie rozumiem – powiedział Jaffers. Najwyraźniej skojarzył stojącego pod domem buicka z decyzją Charleya, żeby się nie zatrzymywać. – Czy pana żona nie wie, że miałem pana przywieźć? Na miłość boską, czemu nie chce jej pan zatrzymać, zanim odjedzie?

– Pilnuj pan swego nosa, bo wywalę z pracy – warknął Charley. – Chcesz pan być bezrobotny? To pana wywalę. Z miejsca wypisuję dwutygodniowe wypowiedzenie.

– No dobrze – powiedział Jaffers. – Ale to niezłe draństwo, żeby pozwolić jej jechać na próżno do San Francisco i z powrotem. – Pogrążył się w ponurym milczeniu.

– Niech pan zatrzyma – zażądał Charley, kiedy dotarli do szczytu wzniesienia. – I niech pan zjedzie na pobocze. Albo nie, niech pan zawróci.

Samochód stał tak, że Charley widział całą drogę aż do i Inverness Park. Gdyby buick odjechał sprzed domu, nie mógł go przeoczyć.

– Mogę zapalić? – zapytał Jaffers.

– Oczywiście.

Piętnaście minut później buick pojawił się na drodze i ruszył szybko w stronę szosy numer jeden.

– Pojechała – rzekł Charley. – W porządku, wracamy. Zmęczony jestem. No dalej, jedziemy.

Tym razem podjazd był pusty. Jaffers zatrzymał pikapa i zaczął wnosić rzeczy Charleya do domu. Mam nadzieję, że niczego nie zapomniała, pomyślał Charley, że po coś nie wróci. Wysiadł z szoferki podtrzymywany przez Jaffersa i poszedł ścieżką w stronę domu. Kiedy znalazł się w living roomie, opadł na kanapę.

– Dziękuję – powiedział. – Może pan już iść.

– Chce się pan położyć, prawda? – zapytał Jaffers, nie ruszając się z miejsca.

– Nie – odparł. – Nie chcę się położyć. Gdybym chciał się położyć, to byłbym już w łóżku. Chcę posiedzieć. Niech pan już jedzie.

Jaffers postać jeszcze chwilę i wyszedł. Siedzący na kanapie Charley słyszał, jak furgonetka cofa się z podjazdu i odjeżdża.

Czasu miał na pewno dość. Fay nie dojedzie do kliniki uniwersyteckiej przed pierwszą, a droga powrotna zajmie jej dwie godziny. Miał więc czas do trzeciej. Mógł odpocząć i nabrać sił, a nawet uciąć sobie drzemkę.

Podciągnął nogi na kanapę i podłożył sobie poduszkę pod głowę. Potem przewrócił się na bok, żeby przez okno widzieć pastwisko.

Stał tam jego koń. Skubał zielsko. Za nim zobaczył owcę. Obok niej był jakiś niewielki kształt, który od czasu do czasu się poruszał. Mój Boże, pomyślał, jagniątko. Owca urodziła jagnię. Wypatrywał innych owiec, żeby się przekonać, czy też mają młode. Było jednak widać tylko tę jedną. To chyba była Alice, najstarsza ze wszystkich. Stare, dobre zwierzę, pomyślał, patrząc na nią. Ma już prawie osiem lat i jest mądra jak wszyscy diabli. Mądrzejsza niż niektórzy ludzie.

Patrzył, jak do Alice podchodzi inna owca i jak jagnię wolno idzie w jej stronę. Ta jednak pchnęła je łbem z powrotem do matki, baranek podskoczył. Można by sądzić, że takie uderzenie złamie go na pół, pomyślał, a jednak nie. Musiała go odepchnąć, bo mleko jest jej potrzebne dla własnych jagniąt.

Duża, mądra, stara owca z czarnym pyskiem... przypomniał sobie, jak dziewczynki karmiły Alice z ręki... przypomniał sobie jej szeroki, mądry, spokojny pysk, kiedy pochylała łeb i przyciskała nos do otwartych dłoni jego córek.

– Nie zginajcie palców – pouczył je wtedy. – Z owcą tak samo jak z koniem... dłoń musi być płaska, żeby nie mogła wam odgryźć palca. Owce mają bardzo silne szczęki... tną trawę jak ostrza. Są jak żywe glebogryzarki, tyle tylko, że nie psują się tak często, jak ta żelazna tandeta.

Kiedy dojedzie do szpitala i przekona się, że mnie tam nie ma, zaraz zadzwoni do Anteila i każe mu się tu zjawić. To będzie koło pierwszej. Może więc wcale nie mam aż tak wiele czasu.

Podniósł się z kanapy i przez chwilę stał bez ruchu. Boże, ale jestem słaby, pomyślał. Chwiejnym krokiem przeszedł z living roomu do łazienki. Zamknął drzwi i rozwinął paczkę.

Siedząc na klapie sedesu, załadował rewolwer.

Z bronią w kieszeni płaszcz wyszedł na zewnątrz, na patio. Ociepliło się. Słońce dodało mu sił. Podszedł do ogrodzenia, otworzył bramę i znalazł się na pastwisku.

Koń zobaczył go i ruszył w jego stronę.

Pewnie myśli, że coś dla niego mam. Kostkę cukru. Koń przyspieszył, biegł teraz klusem, prychając z podniecenia.

O Boże, pomyślał, kiedy zwierzę zatrzymało się i popatrzyło na niego. Jak ja mogę coś takiego robić? Cholerne bydlę. Jeśli konie są takie mądre, to dlaczego ten nie ucieka? Wyciągnął rewolwer i odbezpieczył go. Koń na początek, postanowił. Podniósł broń trzęsącą się ręką, wymierzył w łeb zwierzęcia i pociągnął za spust. Rewolwer nie odrzucił, jednak huk sprawił, że Charley się otrząsnął. Koń rzucił łbem, pogrzebał kopytem w ziemi, odwrócił się i popędził przed siebie. Nie trafiłem, pomyślał Charley. Koń jednak runął do przodu i przeokoziłkował. Już leżąc przekręcił się jeszcze i został na boku, wierzgając i rżąc przeraźliwie. Charley patrzył na niego, nie ruszając się z miejsca, a potem wystrzelił jeszcze raz. Zwierzę ciągle wierzgało, więc ruszył w jego stronę, żeby oddać kolejny strzał, tym razem z bliska. Zanim do niego doszedł, koń przestał się ruszać. Żył jeszcze, było to widać po jego oczach. Ale zdychał. Z rany w czaszce sączyła się krew.

Trzy owce na pastwisku patrzyły w jego stronę.

Ruszył w stronę pierwszej z nich. Przez chwilę stała nieruchomo i dopiero, kiedy Charley znalazł się tuż obok, pochyliła łeb i odbiegła truchtem. Jej tłuste boki wyglądały jak przerzucone przez grzbiet tobołki. Ta akurat nie miała młodych. Uniósł rewolwer i wystrzelił. Owca wierzgnęła i przyspieszyła, zataczając łuk. Odszukał wzrokiem jej łeb, wycelował i znów pociągnął za spust. Upadła do przodu, wierzgając.

Do drugiej łatwiej mu było podejść. Leżała, a kiedy się do niej zbliżył, zaczęła się dźwigać na nogi. Udało mu się ją zastrzelić, zanim całkiem wstała. Własny ciężar i ciężar nie narodzonych jagniąt nie pozwoliły jej uciec.

Teraz przyszła pora, by zająć się najstarszą owcą i jej jagnięciem. Wiedział, że Alice nie będzie uciekać, bo była przyzwyczajona, że do niej podchodził. Kiedy się zbliżył, nie ruszyła się nawet. Patrzyła tylko uważnie. Był kilka jardów od niej, kiedy głośno zabeczała. Jagnię powtórzyło ten bek cienkim, metalicznie brzmiącym głosem. A co z jagnięciem? – zastanowił się. Tego akurat nie wziął pod uwagę. To samo, co z innymi zwierzętami, zdecydował. Chociaż nigdy go przedtem nie widziałem, należy tak samo do mnie, jak i do nich. Podniósł broń, wycelował w owcę i pociągnął za spust. W rewolwerze skończyły się naboje. Usłyszał tylko stuk iglicy.

Zaczął wkładać naboje do bębena. W oddali zaszumiały poruszone wiatrem eukaliptusy. Owca i jagnię patrzyły na niego. Skończył ładować broń i odłożył pudełko z amunicją –

Wycelował i strzelił. Pod owcą załamały się nogi. Potem przewróciła się na grzbiet. W sekundę potem, nim zdążyło narobić hałasu, zastrzelił też jagnię. Podobnie jak matka, małe zdechło zupełnie cicho i Charley poczuł się lepiej. Powoli, żeby się nie przemęczyć, poszedł w stronę domu. Na pastwisku nie było już widać żadnego zwierzęcia. Pozabijał wszystkie.

Gdzie też może być pies? – zastanowił się. Zabrała go ze sobą? Zdenerwował się. Przeszedł przez cały dom i wyszedł na ganek. Czasami pies siedział na drodze albo wałęsał się po drugiej stronie. Przywołał go specjalnym gwizdkiem, który miał przy kluczach. W końcu z wnętrza domu dało się słyszeć przytłumione szczekanie. A więc zamknęła go w środku, pewnie w którejś sypialni.

Owczarka collie znalazł w pokoju gościnnym; na widok pana pies radośnie zamachał ogonem.

Wyprowadził psa na patio i zastrzelił, przykładając mu lufę do ucha. Bing zapiszczał jak zepsuty samochodowy hamulec. Pisk był tak cienki, że Charley ledwo go usłyszał. Collie podskoczył, okręcił się wokół własnej osi i upadł na ziemię. Łapami wstrząsnęły drgawki.

Potem Charley poszedł do zagrody dla kaczek.

Ktoś może usłyszeć huk i zawiadomić szeryfa Chisholma, pomyślał, kiedy strzelał do kaczek przez metalową siatkę. Chociaż nie. O tej porze zawsze się poluje; ludzie walą do przepiórek, królików albo jeleni, na co tam akurat jest sezon.

Kiedy pozabijał kaczki, zaczął się rozglądać za kurami. Stado gdzieś zniknęło. A niech je diabli, pomyślał. Zaczął je wabić, tak samo jak wołali je z Fay w porze karmienia, ale żadna się nie pojawiła. Przez chwilę wydawało mu się, że wśród gęstych cyprysów widzi rudawy ogon... może więc poleciały między drzewa, przysiadły w gałęziach i teraz go obserwują. Na pewno z powodu huku zbiły się w stado. Bantamki, pomyślał. Cholernie silna rasa.

Nie było już do czego strzelać, więc wrócił do domu.

Zabijanie zwierząt zupełnie go wykończyło. Wszedł do środka, zdjął płaszcz, rzucił rewolwer i opadł na kanapę. Leżał na wznak z zamkniętymi oczami. Serce na pewno lada moment przestanie bić, pomyślał. A niech je cholera, pomyślał. Błagam, nie zatrzymuj się.

Po chwili poczuł się lepiej. Nie ruszył się jednak. Leżał, na pół drzemiąc, żeby nabrać sił.

Jakieś dwie godziny, pomyślał. Za dwie godziny będę albo martwy, albo dość silny, żeby wstać.

Z zewnątrz, od strony patio, dobiegł go jakiś odgłos, który mógł oznaczać, że któreś ze zwierząt jeszcze żyje. Słyszał coś, co przypominało pojękiwania, i choć wsłuchiwał się uważnie, nie potrafił odgadnąć, jakie to zwierzę. Pewnie koń, pomyślał. Wstać i go dobić? Oczywiście, że tak. Ale czy dam radę? Nie, zdecydował. Nie mogę. Umarłbym, wychodząc z domu albo wracając. Niech sam zdechnie.

Leżał na kanapie, słuchał głosu zdychającego na pastwisku zwierzęcia i ze wszystkich sił

starał się nie umrzeć.

Ze snu wyrwał go warkot silnika.

Opuścił stopy na podłogę i wstał, czując, jak serce łomocze mu w piersi. Poszukał wzrokiem rewolweru, lecz nigdzie go nie mógł dostrzec.

Zobaczył przez okno, jak Fay wchodzi na patio. Cholerny rewolwer, pomyślał. Ciągłe nie mógł go znaleźć. Fay trzymała coś w rękach: torebkę i jakieś paczki. Rzuciła to wszystko i pobiegła do bramy. Nie mogła otworzyć zasuw. Przebiegł przez pokój i otworzył drzwi prowadzące na patio.

Oparte o krawędź ogrodowego grilla stały długie dwuzębne widełki, których używali do przewracania piekących się steków. Złapał je i pognął w jej stronę. Fay tymczasem udało się otworzyć bramę. Przeszła przez nią i przystanąła na chwilę, żeby zrzucić buty na wysokich obcasach. W oczach miała lęk. Kiedy był już blisko, uskoczyła, ciągle patrząc mu w oczy. Nie odrywała od niego wzroku. Gdybym miał ze sobą broń, już by nie żyła, pomyślał. Dotarł do ogrodzenia i przeszedł przez bramę.

– Zostańcie tam! – krzyknęła ostro Fay. Dziewczynki, zrozumiał. Odwrócił głowę i zobaczył je przy narożniku domu. Obie były ubrane w czerwone płaszczyki, ładne, wykończone koronką sukienki i dwukolorowe buciki. Nie odrywały od niego oczu. Żadna z nich nie płakała. Fay odsunęła się od niego i krzyknęła do córek:

– Idźcie do pani Silvy. No, dalej! – w jej głosie brzmiała władczość, jakiś szorstki ton. Obie dziewczynki natychmiast odruchowo rzuciły się w stronę matki. – Do pani Silvy! – krzyknęła znów Fay, pokazując ręką drogę. Tym razem zrozumiały. Zniknęły za węglem domu.

Stał z żoną twarzą w twarz.

– O! – zawołała nieomal z zachwytem. Jej twarz jaśniała. – Rozumiem, pozabijałeś je. – Cofnęła się w stronę martwego konia i obrzuciła go wzrokiem. – No tak. Dobry Boże.

Znów zrobił kilka kroków w jej stronę. Cofnęła się. Odległość między nimi nie zmniejszała się. Była ciągle taka sama.

– Ty skurwysynu – powiedziała. – Ty skurwielu. Ty ściervo. Ty gnoju. Ty gnido. Ty... – Nie przerywała ani na chwilę i ciągle patrzyła mu w oczy. Przekleństwa pomagały jej zachować zimną krew. Ciągłe szedł w jej stronę. Odsuwała się od niego z tą samą prędkością. Ostrożnie.

– Nazywaj mnie, jak chcesz – odparł.

– Powiem ci, czego chcę. Chcę zadzwonić do szeryfa Chisholma, żeby cię zamknął. Ściągnę tu policję. Każę cię aresztować. Ty idioto. Ty durniu. Ty pomyleńcu.

Cofała się ciągle, nie pozwalając mu podejść bliżej niż na dziesięć stóp. Złapała drugi oddech; zobaczył, jak odwraca głowę i mierzy wzrokiem odległość od ogrodzenia z drutu kolczastego, które wyznaczało granicę ich posiadłości. Za ogrodzeniem teren opadał

gwałtownie, przechodził w pas ziemi porośnięty drzewami i krzakami, a dalej w bagno przecięte wartko płynącym strumieniem. Kiedyś z Fay dotarli aż do tego bagna, goniąc kaczkę pizmówkę. Kaczka skryła się w gałęziach wierzby i minął cały dzień, nim udało się im ją osaczyć. Za każdym krokiem stopy zapadały mu się na sześć cali w ziemię...

Nie rozumiem, pomyślał. Teraz Fay przyspieszyła, najwyraźniej chciała przeskoczyć przez ogrodzenie. Jak zwierzę. Najpierw dobrze się przyjrzeć. Dla pewności. Potem skok. I biegiem, jak błyskawica.

Ciągle cofała się krok za krokiem. Była jeszcze zbyt daleko od płotu, by odwrócić się od Charleya plecami.

Teraz on zaczął się spieszyć.

– Aaa – jęknęła. I zaraz potem odwróciła się i przesadziła ogrodzenie. Okręciła się wokół własnej osi. Po drugiej stronie usiłowała złapać równowagę. Upadła na kolana w błoto i krowie placki. Natychmiast jednak zerwała się na nogi i uciekła. Znow pokazała mi plecy, pomyślał, podchodząc do ogrodzenia i pochylając się, żeby przecisnąć się między drutami.

Minęła długa, bardzo długa chwila, nim mu się to udało. Kiedy znalazł się wreszcie po drugiej stronie, z ledwością trzymał się na nogach.

Fay stała niecałe dziesięć stóp dalej i przyglądała mu się. Dlaczego?– zdziwił się. Dlaczego nie uciekła?...

Zaczął się do niej zbliżać, mierząc w jej stronę widełkami do mięsa. Cofała się powoli.

Dlaczego? – zdumiał się znowu, ślizgając się po namokniętym zboczu. A potem zrozumiał. Państwo Silva w towarzystwie jego córek stali za swoim domem i patrzyli w ich kierunku. Cztery osoby. Teraz dołączyła do nich piąta – jakiś starszy mężczyzna. Zrozumiał. Fay chce, żeby go zobaczyli – Boże, pomyślał. Przez nią mnie tu zobaczą. Ona nigdzie nie pobiegnie, nie ucieknie: chce, żebym cały czas za nią szedł. Dowód. Oto on. Tu mnie mają. Gonię ją po łące z widełkami do mięsa. Kiedy zdał sobie z tego sprawę, zamachał widełkami w jej stronę.

– A niech cię szlag trafi! – wrzasnął. Uśmiechnęła się odruchowo.

– Zabiję cię! – krzyknął. Cofała się, krok za krokiem.

Odwrócił się i ruszył w kierunku domu. Została tam, gdzie stała. Nie ruszyła za nim, nie poszła też w drugą stronę. W końcu doszedł do ogrodzenia. Przeczłgał się przez druty i znowu znalazł się na swoim terenie. Byliśmy na gruncie Brackettów, zdał sobie sprawę. Ona ciągle tam jest. Stoi na działce Boba Bracketta, na jego czterdziestu akrach bagien, które kiedyś mogliśmy kupić, ale w końcu zrezygnowaliśmy.

Kiedy znalazł się na patio, obejrzał się za siebie. Trzej mężczyźni, którzy wyszli z jednego z domów stojących przy tej samej drodze, zbliżali się ku niemu przez teren Brackettów. Fay szła kawałek za nimi.

Otworzył tylne drzwi i wszedł do domu. Zamknął za sobą drzwi na klucz i rzucił widełki do

mięsa na podłogę. Martwe zwierzęta, pomyślał. To dowód. To ścierwo na pastwisku. Wszyscy słyszeli, co kiedyś mówiłem. Doktor. Anteil. Dziewczynki widziały, jak ją wtedy uderzyłem. Cholera, wszyscy już wiedzą.

Na podłodze koło kanapy znalazł rewolwer. Podniósł go i stał tak przez chwilę, trzymając broń w ręku. Namyslał się. Potem usiadł na kanapie. Mężczyźni przystanęli przy płocie; widzieli go, jak siedzi z rewolwerem w ręku.

Zauważył, że jest z nimi szeryf Chisholm. Powiedział mężczyznom, żeby odeszli. Potem szeryf zniknął mu z oczu i za boczną ścianą domu. Dopadnie mnie, zanim zdążę mrugnąć okiem, pomyślał Charley. Zna się na swojej robocie. Zastrany kmiot.

Wsunął lufę rewolweru w usta i pociągnął za spust.

Błysk. Światło zamiast huk. I wtedy Charley zrozumiał. Po raz pierwszy. Zrozumiał wszystko. Zrozumiał, że nim manipulowała. Zrozumiał, że go do tego doprowadziła.

Rozumiem, pomyślał jeszcze.

Tak, rozumiem.

Nim umarł, pojął wszystko do końca.

Rozdział 17

Nieźle świństwo – tak spalić moje rzeczy. Nie pierwszy zresztą raz. Zrobili mi taki sam numer w czasie wojny, a i przedtem to się zdarzało. Taka prawidłowość. Może nawet powinienem był spodziewać się czegoś w tym stylu. W każdym razie udało mi się uratować kolekcję minerałów. Oczywiście żaden ze składających się na nią eksponatów nie spłonął.

Tego dnia, którego Charley Hume popełnił samobójstwo, już od samego rana czułem się jakoś dziwnie przygnębiony. Rzecz jasna, wtedy nie wiedziałem jeszcze dlaczego. Nawet pani Hambro wspomniała coś o tym niezwykłym u mnie nastroju. Cały dzień spędziłem na dworze, pracując w położonym na ziemnych tarasach ogrodzie państwa Hambro – był to jeden z obowiązków, które wziąłem na siebie, by odwdzińczyć się im za gościnę. Oprócz tego wyświadczałem podobne przysługi innym członkom grupy. Zajmowałem się między innymi ich zwierzętami – krowami, kozami, owcami i kurami. Moje doświadczenie w tej dziedzinie zdobyte u Charleya wskazywało, że mam do tego rodzaju pracy wrodzone zdolności i zastanawiałem się nawet, czy nie zapisać się na kurs hodowli organizowany w Santa Rosa. Tymczasem jednak rozwijałem życie wewnętrzne poprzez kontakty z grupą. Poza tym pani Hambro przedstawiła mi paru osobom znad zatoki San Francisco, także odznaczającym się szczególną wrażliwością duchową.

O czwartej po południu przygnębienie dało mi się tak mocno we znaki, że rzuciłem robotę, usiadłem na frontowych schodach i zacząłem czytać gazetę. W chwilę później przyjechała pani Hambro, zatrzymała samochód i wysiadła, najwyraźniej czymś podekscytowana. Spytała, czy słyszałem już, że coś strasznego wydarzyło się w domu mojej siostry. Odpowiedziałem, że nie. Pani Hambro też nie wiedziała dokładnie, o co chodzi, bo wieści dotarły do niej okrężną drogą, sądziła jednak, że albo Charley zabił Fay, albo sam zmarł na atak serca. Szeryf Chisholm był już na miejscu, a poza tym widziano tam samochody z miasteczka i ludzi wyglądających na urzędników z hrabstwa – w każdym razie przed domem kręcili się podobno jacyś mężczyźni w garniturach i krawatach.

Pomyślałem, że może powinienem tam pojechać, bo przecież Fay to moja siostra. Zrezygnowałem jednak z tego pomysłu. W końcu wyrzuciła mnie z domu. Resztę dnia spędziłem więc u państwa Hambro, a wieczorem zjadłem z nimi obiad.

O wpół do dziewiątej dostaliśmy bardziej szczegółowe wiadomości od Dorothy Bentley, która mieszkała przy tej samej ulicy co Charley i Fay. Potworność. Nie chciałem wierzyć własnym uszom. Pani Hambro była zdania, że powinienem tam pojechać, a przynajmniej zatelefonować. Omówiliśmy ten problem, a następnie pani Hambro zwołała nadzwyczajne zebranie grupy, by zastanowić się nad powstałą sytuacją i jej wpływem na realizowany przez nas

program kontaktów na skalę kosmiczną.

Po dyskusji członkowie grupy doszli do wniosku, że śmierć Charleya jest symptomatyczna dla anarchii i rozkładu, które towarzyszą agonii naszej planety. Nadal jednak nie udało się nam podjąć decyzji, czy powinienem pojechać do domu mojej siostry. Wprowadzona w trans Marion Lane (jej zahipnotyzowaniem zajęła się pani Hambro) oświadczyła, że dobrze by było, gdybym skontaktował się z Nathanem Anteilem i dowiedział się, czy Fay chce się ze mną zobaczyć. Od czasu, kiedy członkowie grupy dostali ode mnie informacje na temat Fay i Nata, byli tą sprawą bardzo zainteresowani, gdyż uważali ją za toczące się na Ziemi starcie pewnych sił kosmicznych. Nikt z nas nie był pewien, jakie to siły oraz jakie mają zamiary, i nie spodziewaliśmy się tego dowiedzieć przed nadejściem ostatecznej zagłady. To znaczy przed końcem kwietnia 1959 roku. Na razie mogliśmy tylko utrzymywać ze sobą stałą łączność, co i tak zresztą robiliśmy.

Z telefonu w bibliotece pani Hambro zadzwoniłem do Nata Anteila. Odkryliśmy, że dzwoniąc z tego aparatu, osiągamy lepsze wyniki, niż rozmawiając z kuchni albo z living roomu. Był to najszczęśliwszy telefon w całym domu, a dzwoniąc w tak poważnej sprawie, chciałem mieć po swojej stronie wszystkie sprzyjające siły wszechświata.

Nikt jednak nie podniósł słuchawki. Nathan był bez wątpienia w domu Hume'ów.

Następnego dnia wielokrotnie wykręcałem numer Fay i w końcu udało mi się z nią połączyć. Powiedziała mi tylko, że jest zbyt zajęta, aby ze mną rozmawiać, i że oddzwoni, a potem odłożyła słuchawkę i więcej nie zadzwoniła. Następną informacją, którą od niej dostałem, było wydrukowane zawiadomienie o pogrzebie.

Na pogrzeb nie poszedłem, bo podobnie jak Pitagoras, uważam, że ciało jest grobowcem duszy i że człowiek zaczyna umierać już w chwili narodzin. Śmiertelne szczątki Charleya wystawione w domu pogrzebowym nie miały żadnego znaczenia dla kogoś takiego jak ja, czyli dla osoby, która interesuje się nie tym światem, lecz istnieniem prawdziwym, to znaczy wiecznym. Charley Hume – czy może raczej to, co w nim najważniejsze, jego dusza, owa iskierka – wcale nie umarł, żyje tak samo jak przedtem, choć teraz nie możemy go zobaczyć. Pani Hambro powiedziała kiedyś, że „nikczemna istota ludzka powinna przywdziać szatę nieśmiertelności” i wydaje mi się, że te słowa dobrze oddają, o co tu chodzi. Wobec tego wcale nie wydawało mi się, że Charley od nas odszedł. Moim zdaniem krążył po niebie w okolicach Drake's Landing. Zresztą już niedługo i tak wszyscy mieliśmy do niego dołączyć, z czego z pewnością nie zdawał sobie sprawy, kiedy umierał.

W tym czasie w okolicach Point Reyes i zatoki Tomales krążyły spekulacje, czy Nat i Fay zostaną ze sobą, czy też może śmierć Charleya sprawi, że wyrzuty sumienia każą im ze sobą zerwać. Z początku sprawa była nie rozstrzygnięta. Sąsiedzi mieszkający przy tej samej ulicy, a zwłaszcza pani Bentley, donosili, że Nat nie spędza zbyt wiele czasu w domu mojej siostry.

Dziewczynki zostały na pewien czas odebrane ze szkoły, nie można więc ich było wypytać. Potem jednak zauważono, że samochód Nata jeszcze raz odbył drogę w tę i z powrotem i wszyscy zgodnie doszli do wniosku, że ta para znów się zesła.

Notatka, która ukazała się w baywoodzkiej gazecie „Press”, stwierdzała tylko, że Charley Hume z Drake’s Landing „odebrał sobie życie” z powodu depresji wywołanej chorobą. Było tam także napisane, że tuż przed śmiercią wyszedł ze szpitala, w którym leżał po ataku serca. Nie było ani słowa o Nacie, wspomniano tylko, że Charley „pozostawił żonę Fay i dwie córki – Elsie i Bonnie”. Tytuł notatki brzmiał:

SAMOBÓJSTWO C. B. HUME’A

Członkowie grupy uznali, że można było napisać o wiele obszerniejszy artykuł, a ja przygotowałem szczegółowe sprawozdanie, które dokładnie opisywało związek Fay i Nata oraz informowało opinię publiczną, że prawdziwym powodem śmierci Charleya nie była wcale depresja spowodowana chorobą, lecz to, iż odkrył, że w czasie, gdy leżał w szpitalu, żona zdradzała go z innym mężczyzną. „Press” jednak odmówiła publikacji mojego sprawozdania. Właściwie to nie potwierdzili nawet, że dostali ten tekst, chociaż – żeby nie być niesprawiedliwym – muszę przyznać, że byliśmy na tyle ostrożni, aby nie podawać naszych nazwisk i adresów na wypadek, gdyby podjęto przeciwko nam jakieś działania prawne.

Właściwie nie miało znaczenia, czy „Press” wydrukuje moje sprawozdanie, skoro wszyscy okoliczni mieszkańcy i tak znali prawdę. Całymi tygodniami był to główny temat rozmów na pocztce i w sklepie spożywczym. Oczywiście w ustroju demokratycznym jest to najzupełniej normalne. Opinia publiczna powinna znać prawdę. W innym bowiem wypadku nie może wydać osądu.

A jeśli już mowa o wydawaniu osądów, to zauważyliśmy, że nastawienie przeciętnego mieszkańca naszych okolic do Nata i Fay było zdecydowanie negatywne, i często zdarzało nam się słyszeć słowa potępienia, choć oczywiście nie były one kierowane bezpośrednio do samych zainteresowanych, a już na pewno nie do dziewczynek. Drozdy wciąż spotykały się w domu Fay i pod jej opieką. Moja siostra w dalszym ciągu prowadziła zajęcia z tańca i żadna z kobiet ani sama nie zrezygnowała, ani nie odebrała swoich dzieci. Jedynym widocznym objawem niechęci było to, że niektórzy przestali machać do przejeżdżającego samochodu Nata i Fay, a poza tym słyszałem o dwóch czy trzech matkach, które nie pozwalały, żeby Fay zabierała ich córki do siebie, by mogły się tam po południu pobawić. Lecz to wszystko zaczęło się oczywiście jeszcze przed śmiercią Charleya, to znaczy wtedy, gdy członkowie grupy zaczęli rozpowszechniać prawdziwą i udramatyzowaną wersję wydarzeń, którą im udostępniłem. Pani Hambro zleciła wykonanie kopii na powielaczu i powysyłała je do osób, których listę zdobyła w biurze partii

republikańskiej, więc aż po Novato nie brakowało ludzi dobrze poinformowanych.

Nie sądzę, by Fay albo Nat byli świadomi tej powszechnej niechęci, ponieważ mieli na głowie masę własnych spraw.

Wiem tylko, że martwili się, czy dziewczynki nie usłyszą czegoś nieprzyjemnego na placu zabaw, ale ponieważ nic takiego się nie stało, po pewnym czasie przestali się niepokoić. Wydawało mi się, że bardziej ich interesuje, jak mają ułożyć sobie życie, a ja nie mogłem ich winić za to, że tyle uwagi poświęcają tej sprawie, bo z pewnością mieli do rozwiązania ogromne problemy natury moralnej i praktycznej.

Jakiś tydzień później dostałem list z San Rafael od prawnika nazwiskiem Walter W. Sipe, który wzywał mnie, bym się stawił szóstego kwietnia o dziesiątej w jego biurze przy B Street. Sprawa dotyczyła majątku C. B. Hume'a.

Pani Hambro była całkowicie przekonana, że powinienem tam pojechać. Nie tylko zachęcała mnie, żebym pojechał do tego prawnika, lecz nawet obiecała mnie do niego zawieźć. Szóstego kwietnia rano włożyłem więc spodnie, krawat i płaszcz pana Hambro, a potem jego żona odwiozła mnie do San Rafael i wysadziła przed biurowcem.

W kancelarii zobaczyłem Fay z córkami i parę osób, których nie znałem. Potem dowiedziałem się, że byli to pracownicy Charleya z zakładu w Petalumie oraz jego krewni, którzy przylecieli z Chicago.

Nata oczywiście nie było.

Podsunięto nam krzesła, a kiedy usiedliśmy, prawnik odczytał testament sporządzony przez Charleya. Prawie nic z niego nie rozumiałem. Dopiero po kilku dniach pojąłem wreszcie, o co tam chodziło. Przez ten prawniczy język nawet dzisiaj mam jeszcze wątpliwości co do paru szczegółów. W każdym razie Charley rozporządził majątkiem w ten sposób, żeby przede wszystkim zabezpieczyć córki, co było całkiem zrozumiałe. Ponieważ już od lat nie ufał Fay, o czym sam zresztą wiedziałem, zaczął wycofywać kapitał z zakładu i lokować go w akcjach i obligacjach kupowanych na nazwiska dziewczynek. Zdażył z tym przed śmiercią. Znaczyło to, że zakład nie był wart tyle, ile wszyscy myśleli. Właściwie Charley wycisnął z niego, ile się tylko dało.

Według kalifornijskiego prawa połowa wszystkich dóbr nabytych w czasie małżeństwa należała do Fay. Charley nie mógł tego zmienić swoim testamentem. Jednak papiery wartościowe nie należały ani do niego, ani do Fay. Były własnością dziewczynek. W ten sposób odebrał żonie większą część pieniędzy i przekazał córkom. Poza tym wydał rozporządzenie, by z głównej części majątku utworzyć administrowany przez pana Sipe'a fundusz, z którego dochody miały być przekazywane Bonnie i Elsie. Całość pieniędzy dziewczynki miały otrzymać po ukończeniu dwudziestu jeden lat.

Znaczyło to, że do córek Charleya należały nie tylko akcje i obligacje, ale także część

zakładu w Petalumie. Papiery wartościowe, choć należące do dziewczynek, miały być powierzone bratu Charleya, który przyleciał z Chicago. Miał im przekazywać fundusze w miarę potrzeb. Dzieci miały pozostać z matką – na ten akurat temat Charley miał dużo do powiedzenia.

Fay zostawił tylko buicka, to znaczy swoją połowę samochodu, bo ta druga i tak do niej należała. Oczywiście połowa domu w myśl kalifornijskiego prawa była jej, a oprócz tego połowa jego wyposażenia. Tego Charley nie mógł zmienić. A teraz posłuchajcie, co zrobił ze swoją połową domu: swoją połowę Charley zapisał mnie.

Mnie. Spośród wszystkich ludzi na świecie akurat mnie. Fay miała więc jedną połowę domu, a ja drugą.

Swój osobisty majątek zapisał córkom.

Zostawił mi tyle samo, ile Fay, jeśli nie liczyć buicka, który i tak nie był zbyt wiele wart.

Testament zawierał długi paragraf dotyczący warunków współwłasności. Ani mnie, ani Fay nie wolno było siłą usunąć drugiej strony z terenu posiadłości. Wolno nam było natomiast porozumieć się co do sprzedaży domu lub jego użytkowania. Na przykład każde z nas mogło odsprzedać drugiemu swoją część. Lub wynająć, za czynsz, którego wysokość musiała zostać zaakceptowana przez mieszczącą się w Point Reyes filię Bank of America. Charley przeznaczył również na różne cele niewielkie sumy z ich wspólnego konta, którym miał prawo dysponować do połowy jego wysokości. Prawie tysiąc dolarów zostawił mi na leczenie u psychiatry. Gdybym nie chciał się leczyć, sumę tę miały dostać dziewczynki. Zostawił też pieniądze na koszty pogrzebu.

Ponieważ popełnił samobójstwo, polisy ubezpieczenia na życie straciły ważność i Fay nie dostała z tego źródła żadnych pieniędzy.

W sumie wszystko zostawił córkom, a Fay dostała guzik. Według prawa stanu Kalifornia własnością mojej siostry była tylko połowa domu – obciążonego sporym długiem hipotecznym, który należało spłacić – oraz połowa zakładu, warta o wiele mniej, niż można było przedtem przypuszczać, ponieważ Charley całymi latami wyciskał z niego tyle, ile się dało. Fay mogła oczywiście wynająć jakiegoś prawnika i oddać sprawę do sądu, powołując się na to, że spora część papierów wartościowych jest jej własnością, ponieważ kupiono je za pieniądze, które należały tak samo do niej, jak do Charleya. Mogła również podważyć ważność testamentu w inny sposób, na przykład twierdząc, że jej mąż nie mógł dysponować połową buicka, ponieważ samochód kupiła jeszcze przed ślubem. O ile wiem, testament zawierający taki punkt można uznać za nieważny w całości. Charley umieścił jednak w swojej ostatniej woli pewną klauzulę na wypadek, gdyby Fay chciała unieważnić ten dokument. Jeśliby poczyniła w tym kierunku jakies kroki, to zarządca majątku należącego do dziewczynek, czyli brat Charleya, Sam, winien wytoczyć Fay proces o odebranie praw rodzicielskich ze względu na

niewywiązywanie się z obowiązków matki i spowodować oddanie dziewczynek pod opiekę jego rodziny. Co prawda i tę klauzulę można było obalić ze względu na jej punitivny charakter, jednak samo badanie przez Fay zgodności tego punktu testamentu z prawem mogło spowodować podjęcie przewidzianych w nim działań, a Sam oświadczył, że zrobi to, czego brat od niego oczekiwał. Charley rozpiął się też dość szeroko, choć ogólnie, na temat związku Fay z Natem i wspominał, że byłem świadkiem tego, co się między nimi działo. Nie ulegało wątpliwości, że dom i zapisane mi w testamencie pieniądze były zachętą do daleko idącej współpracy w sprawie o uznanie Fay za „niezdolną do wywiązywania się z obowiązków matki”, gdyby moja siostra zdecydowała się podważyć ostatnią wolę męża. Tak przynajmniej to sobie tłumaczyłem.

Nie spróbowała podważyć testamentu, choć przez pewien czas dyskutowała na ten temat z Natem. Wiem, bo przy tym byłem. Jakżeby inaczej. Prawie natychmiast, to znaczy gdy tylko znalazłem środek transportu, przeprowadziłem się do Fay, dziewczynek i do Nata Anteila, który też tam od czasu do czasu pomieszkiwał. Można więc powiedzieć, że Claudia Hambro zawiozła mnie i wszystkie rzeczy do mojego nowego domu.

Kiedy wszedłem do środka frontowymi drzwiami, Fay i Nata zatkało na mój widok. Zrobiłem na nich takie wrażenie, że stali bez słowa, kiedy wyciągałem rzeczy z samochodu i zęgnalem się z Claudią. Specjalnie głośno, by mogli mnie usłyszeć, zaprosiłem Claudię, jej męża i resztę grupy, żeby zorganizowali tu spotkanie lub po prostu wpadli kiedyś w odwiedziny. Potem pani Hambro odjechała, machając mi ręką na pożegnanie.

– Chcesz tu tak po prostu wejść? – zapytała Fay. – Zanim porozmawiamy o tej całej historii?

– A o czym tu rozmawiać? – zdziwiłem się. Czulem się naprawdę znakomicie. – Mam prawo tu przebywać tak samo jak ty. – Tym razem nie musiałem urządzać się w podręcznym magazynku jak jakiś służący. Nie musiałem też wykonywać za nich różnych niezbyt przyjemnych robót, takich jak wynoszenie śmieci czy wycieranie podłóg w łazienkach.

Byłem w siódmym niebie.

Fay i Nat zostali w living roomie, a ja zacząłem rozkładać rzeczy w gabinecie, bo to właśnie pomieszczenie wybrałem sobie na sypialnię. Żadne z nich nie próbowało mi w tym przeszkodzić, choć słyszałem, jak mruczą coś przyciszonymi głosami.

Kiedy wieszałem ubrania w szafie, przyszedł do mnie Nat.

– Chodź do nas, porozmawiamy – powiedział.

Szczerze ubawiony, poszedłem za nim, choć chętniej zostałbym w pokoju, żeby dalej układać rzeczy. Przyjemnie było usiąść sobie na kanapie, zamiast chować się po kątach, kiedy inni rozmawiają o swoich sprawach.

– Jak, do cholery, zamierzasz płacić za dom? – ruszyła na mnie Fay. – Miesięcznie jest tego dwieście czterdzieści dolarów, wliczając procent od pożyczki. Połowa przypada na ciebie. Sto

dwadzieścia miesięcznie. I to bez ubezpieczenia od pożaru i podatku. Jak chcesz to zapłacić? – Głos drżał jej z wściekłości.

Właściwie zupełnie się nad tym nie zastanawiałem. Świadomość, że będę musiał coś płacić, nieco popsła mi znakomity nastrój.

– Nabywając prawo do połowy domu, bierzesz jednocześnie na siebie połowę zadłużenia – odezwał się Nathan. – Musisz pokrywać koszty utrzymania domu w takim samym stopniu jak Fay. A wiesz, ile kosztuje ogrzewanie? Ona na pewno nie będzie sama za wszystko płacić.

– Pięćdziesiąt dolarów miesięcznie: tyle wynosi twój udział w kosztach ogrzewania – wtrąciła Fay. – I sto na inne opłaty. Posiadanie połowy tego domu będzie cię kosztowało trzysta dolarów miesięcznie. Co najmniej trzysta.

– Ach, przestań – odparłem. – Ten dom nie kosztuje przecież sześciu setek miesięcznie.

Wtedy Nathan wyciągnął wielkie kartonowe pudło, w którym Fay trzymała rachunki. Wyjął też książeczkę czekową, odcinki kontrolne czeków i jakieś stare papiery.

– Tyle tego jest – powiedział. – Przecież wiesz, że nie masz pieniędzy. Stracisz swój udział. To się nie może inaczej skończyć. Nie możesz tu mieszkać. Wykluczone.

Jedyna reakcja, jaka przyszła mi do głowy, to uśmiechnąć się do nich i pokazać, że się nie boję.

– Ty durniu – rzekła Fay oskarżycielskim tonem, a potem zwróciła się do Nata: – Dostał to wszystko po to, żeby pójść do sądu i naopowiadać tam o nas jakichś kłamstw... Boże święty, Charley musiał w tym szpitalu kompletnie zwariować, musiał dostać co najmniej paranoi, skoro uwierzył w te wszystkie łągarstwa.

– Spokojnie – odparł Nat. Z nich dwojga to on wydawał mi się bardziej rozsądny. – Lepiej od razu sprzedaj swój udział – powiedział do mnie. – Zanim zostanie obciążony zaległymi płatnościami. – Napisał kilka liczb na kartce. – Twój udział jest wart mniej więcej siedem tysięcy dolarów. I będziesz od tego musiał zapłacić podatek spadkowy, wiedziałeś o tym?

– Chcecie przez to powiedzieć, że kupicie moją część? – spytałem.

– Tak – odpowiedziała Fay. – Inaczej przejmie ją bank, a ty nie dostaniesz złamanego centa. A my będziemy tu mieli Bank of America w charakterze współlokatora – powiedziała do Nata.

– Ale ja nie chcę sprzedać – powiedziałem.

– Nie masz wyboru – rzekł Nat.

Nie odpowiedziałem. Uśmiechałem się tylko.

– Już teraz trzeba coś zapłacić bankowi – powiedziała Fay. – Sto pięćdziesiąt. Masz połowę tej forsy? Musisz mieć. To twój udział. Nie wyobrażaj sobie, że ja za ciebie zapłacę, ty... – tu użyła takiego słowa, że nie mogłem uwierzyć własnym uszom. Nawet Nat wyglądał na zakłopotanego.

Kłóciliśmy się tak bez najmniejszego sensu przez co najmniej godzinę, a potem Fay poszła

do kuchni zrobić sobie drinka. Tymczasem wróciły dziewczynki, które skończyły się właśnie bawić z jakąś koleżanką. Były wyraźnie zadowolone, że mnie widzą. Zacząłem się z nimi bawić w samoloty. Fay i Nat patrzyli na nas z grobowymi minami. Nagle usłyszałem, jak Fay mówi:

– ...bawi się z moimi córkami, a ja co mogę na to poradzić? Nic. – Rzuciła papierosa w kierunku kominka. Nie trafiła i papieros upadł na podłogę. Nat wstał i podniósł go. Fay chodziła w kółko po pokoju, a Nat siedział ze zwieszoną ponuro głową i od czasu do czasu zakładał nogę na nogę.

Kiedy zmęczyłem się zabawą z dziewczynkami, posłałem je do ich pokoju na telewizję, a potem dołączyłem do Fay i Nata. Usiadłem na ulubionym miejscu Charleya, w wielkim, zbyt mocno wypchanym fotelu. Założyłem ręce za głowę, odchyliłem się do tyłu i ułożyłem wygodnie.

Po chwili ciszy Fay odezwała się nagle:

– Coś ci powiem. Nie będę tu mieszkać z tym osłem. I nie pozwolę mu się bawić z moimi córkami.

Nat się nie odezwał. Ja udawałem, że jej nie słyszę.

– Wolę raczej zrezygnować z mojej części domu – ciągnęła. – Sprzedam ją albo po prostu oddam.

– Możesz sprzedać – odparł Nat. – To nie powinno być trudne.

– A może już teraz, co? – zapytała. – Od razu. Jeszcze dzisiaj. Jak ja mam tu spać? – Popatrzyła na Nata. – Nie możemy się nigdzie ruszyć; nie możemy nic zjeść, ani nawet się wykapać... nic nie możemy zrobić.

– Chodź – powiedział Nat. Wstał i kiwnął na nią. Wyszli na patio i stali tam obok siebie, na tyle daleko od domu, że nie słyszałem, o czym mówią.

W rezultacie tej rozmowy postanowili całkiem się wyprowadzić i przenieść się do małego domku, który wynajmował Nat, tego samego, w którym mieszkał kiedyś z Gwen. Nie miałem nic przeciwko temu. Tylko co z dziewczynkami? Tamten dom był za mały dla czterech osób, nawet jeśli to tylko dwoje dorosłych i dwoje dzieci. Przynajmniej z tego, co słyszałem. Była tam tylko jedna sypialnia i mały pokój, w którym Nat uczył się wieczorami. Oprócz tego był oczywiście living room, kuchnia i łazienka.

Tego samego wieczoru, o dziewiątej, zabrali dziewczynki i odjechali. Nie wiem, czy nocowali u Nata, czy w motelu. W każdym razie szykowałem się do snu w zupełnie pustym domu.

Czułem się jakoś dziwnie, kiedy przebrany w piżamę, kładłem się w składanym łóżku, które stało w gabinecie. W końcu był to gabinet Charleya, pokój, w którym spędzał kiedyś sporo czasu. A teraz nie żył, a jego żona pojechała gdzieś, zabierając ze sobą ich dzieci i zostawiając tu tylko mnie. Wszyscy odeszli. Odeszli i zostawili ten dom, w którego budowę włożyli tyle trudu.

A ja? Przez pewien czas, kiedy leżałem już w łóżku, nie mogłem poukładać myśli. Tak naprawdę nie byłem jednym z właścicieli tego domu... to znaczy właścicieli w prawdziwym sensie tego słowa. Może z prawnego punktu widzenia należała do mnie jego część, ale z pewnością nigdy nie myślałem o nim jako o swojej własności. Równie dobrze ktoś mógłby pokazać mi palcem jakieś kino albo dworzec autobusowy i powiedzieć mi, że jestem właścicielem jakiejś jego części. Trochę przypominało mi to sytuację z dzieciństwa, kiedy powiedziano mi, że jako obywatel Stanów Zjednoczonych zostanę pewnego dnia „właścicielem” jakiejś części wszystkich mostów, zapór wodnych i ulic...

Dobrze mi się mieszało w tym domu, choć krótko. Co prawda nie z uwagi na sam dom, lecz na dobre jedzenie i ciepło. Teraz, jeśli przyszłaby mi ochota na ciepło, musiałbym zapłacić za nie połowę rachunku. I musiałbym sobie sam kupować jedzenie, tak samo jak wtedy, gdy wynajmowałem pokój w Seville. Nikt nie upiecze na ogrodowym palenisku rumsztyków i nie da mi ich za darmo.

Zwierzęta też już nie żyły. Z wyjątkiem kur bantamek, które wieczorem poszły spać do kurnika. Nie było kaczek.

Nie było konia. Nie było owiec. Nie było nawet psa. Padlinę odwieziono, żeby zrobić z niej nawóz.

W domu i na zewnątrz było zupełnie cicho. Od czasu do czasu słyszałem tylko w cyprysach furkot przepiórek. Słyszałem, jak nawołują się niby chłopaki z Oklahomy: aaa, uuu, uuu. Taki oklahomski wrzask.

A potem, kiedy leżałem sam w ciemności, w pustym domu, słuchając szumiącej od czasu do czasu lodówki i włączających się na ścianach termostatów, zrozumiałem coś jeszcze. Nie było Fay, nie było dziewczynek ani zwierząt, lecz oprócz mnie był tutaj jeszcze ktoś. Charley ciągle tu mieszkał, tak samo jak zawsze, od czasu, kiedy zbudowano ten dom. Lodówka, którą słyszałem, należała do niego. On sam nadzorował zakładanie centralnego ogrzewania. Te najróżniejsze dźwięki wydawały urządzenia, które były jego własnością i których nigdy nie zostawił. Wiedziałem, że tak jest. To nie była tylko myśl, która powstała w mojej głowie. To była świadomość jego obecności, taka sama jak wtedy, kiedy jeszcze żył. Czulem jego obecność. Wzrokiem, węchem, słuchem, dotykiem.

Leżałem tak przez całą noc i wiedziałem, że Charley jest w domu. Nie odszedł stąd ani na moment. To uczucie nie słabło. I nigdy mnie nie opuściło.

Rozdział 18

O siódmej rano obudził mnie telefon. Dzwoniła Fay.

– Kupimy twój udział – powiedziała. – Możemy ci zaproponować tysiąc gotówką i resztę w miesięcznych ratach po trzydzieści osiem dolarów. Pół nocy o tym dyskutowaliśmy.

– Problem w tym, że ja chcę tu zostać – oświadczyłem.

– Nie możesz – zabrzmiał głos w słuchawce. – Nie pomyślałeś o tym, że wszystko, co znajduje się w tym domu, należy albo do dziewczynek, albo do mnie? Jeśli będziemy chcieli, to zabronimy ci korzystać z lodówki albo ze zlewu... nie wolno ci będzie wycierać się w ręczniki, które wiszą w łazience. Ani jeść z talerzy, które stoją na suszarce. Nawet na krześle nie będzie wolno ci usiąść, a łóżko, w którym teraz śpisz, też nie należy do domu – to część majątku osobistego, a on ci zostawił tylko dom. Pościel. Popielniczki! – Wyliczała tak i wyliczała, coraz bardziej się rozkręcając. – A co będziesz jadł? Pewnie myślisz, że pójdziesz sobie do kuchni i otworzysz parę puszek albo kartoników. Myślisz, że to twoje żarcie? Nieprawda. A jeśli zjesz chociaż trochę, to podam cię do sądu. Zawlokę cię do sądu i wytoczę ci proces!

Nie pomyślałem o tym. Fay miała rację.

– Jest wiele prawdy w tym, co mówisz – przyznałem. – Będę musiał postarać się o meble.

– Ściągnę firmę przewozową z Fairfax i każę wywieźć wszystko, co jest w środku – oświadczyła Fay.

– W porządku. – Całkiem mnie zaskoczyła. Nie mogłem zebrać myśli.

– Ty idioto – powiedziała moja siostra. – Wszystko, co masz na tym świecie, to gołe ściany i dach, z których składa się ten dom... a dokładniej mówiąc, ich połowa. My jesteśmy w stanie spłacać naszą część z tego, co przynosi zakład. – Odłożyła słuchawkę.

Ubrałem się, uczesałem, a potem poszedłem do kuchni i stanąłem, niezdecydowany, czy zrobić sobie śniadanie. Przypuśćmy, że w czasie śniadania weszłaby tu Fay z szeryfem albo z kimś takim. Czy to nie wyglądałoby tak, jakbym kradł jedzenie?

Nie potrafiłem się zdecydować i w końcu zrezygnowałem ze śniadania. Poszedłem za to do kurnika, żeby podrzucić ziarna bantamkom.

Jak pusta była zagroda bez kaczek. Zostało poidło – fajansowe naczynie ustawione przez Charleya i system doprowadzania wody, nad którym pracował. Było tam nawet jedno jajko, na pół zagrzebane w zielsku, gdzie kaczki zrobiły sobie gniazdo. A w kubie na śmieci leżał wypełniony do połowy worek pokarmu. Prawie pięćdziesiąt funtów.

Poszedłem dalej, do zbudowanej przez Charleya stajni. Na ścianie wisiało siodło i cała reszta końskiego ekwipunku. Wyposażenie za ponad trzysta dolarów.

Wróciłem do domu, usiadłem na podłodze koło kominka i pogрузyłem się w myślach.

Zastanawiałem się głęboko prawie do południa i w końcu doszedłem do wniosku, że powinienem znaleźć jakiś sposób, żeby zdobyć pieniądze na te wszystkie opłaty, również na podatek i ubezpieczenie. Musiałem też mieć pieniądze na jedzenie, bo teraz było już jasne, że Fay i Nat nic mi nie dadzą. Chodził mi po głowie nie sprecyzowany pomysł, że moglibyśmy przecież wrócić do starego układu, to znaczy ja opiekowałbym się dziewczynkami – chociaż nie zgodziłbym się na brudną robotę, to znaczy na sprzątanie – a oni dostarczaliby mi to, co potrzebne do życia: jedzenie i inne rzeczy. Tyle tylko, że takie rozwiązanie nie wchodziło w grę.

Po zastanowieniu doszedłem do wniosku, że musiałbym zarabiać prawie pięćset dolarów miesięcznie, żeby zatrzymać swoją połowę domu, a i ta suma nie obejmowała niespodziewanych rachunków za leczenie czy naprawy budynku. W każdym razie z tych pieniędzy mógłbym pokrywać bieżące opłaty, kupić sobie jakieś rzeczy i używane meble.

Wyszedłem więc na drogę, dojechałem autostopem do Point Reyes Station i zabrałem się do szukania pracy.

Najpierw poszedłem do warsztatu samochodowego na rogu. Powiedziałem, że nie jestem co prawda mechanikiem, ale mam zacięcie naukowe i umiem analizować problemy oraz stawiać diagnozy. Powiedzieli mi, że nikogo nie potrzebują, poszedłem więc do sklepu po drugiej stronie ulicy. Tam też nie było wolnych miejsc, nawet przy otwieraniu kartonów i ustawianiu towaru na półkach. Potem spróbowałem szczęścia w dużym sklepie żelaznym. Tam oświadczyli mi, że jeśli w ogóle zatrudniliby nowego pracownika, to tylko takiego, który potrafiłby prowadzić samochód. Poszedłem więc na pocztę, żeby spytać, czy nie potrzebują kogoś do okienka. Powiedzieli, że do tego trzeba mieć zdany egzamin na urzędnika służby państwowej. Odwiedziłem pozostałe warsztaty samochodowe, stacje benzynowe, aptekę, kawiarnię – tam powinna być przynajmniej robota przy zmywaniu naczyń – sklep odzieżowy, a nawet małą bibliotekę publiczną. Pracy nie było nigdzie. Potem poszedłem jeszcze do sklepu z paszą dla zwierząt, do dużego magazynu z materiałami budowlanymi i w końcu do banku.

Urzędnik w banku bardzo chciał mi pomóc. Wiedział, że jestem bratem Fay. Usiedliśmy przy biurku i rozmawialiśmy dłuższą chwilę. Opisałem mu sytuację, w jakiej się znalazłem, powiedziałem, dlaczego szukam zajęcia i ile musiałbym zarabiać. Wy tłumaczył mi, że znalezienie pracy w którejś z tych niewielkich firm jest prawie niemożliwe, ponieważ wszystkie działają na niewielką skalę. Najlepiej będzie, jeśli spróbuję znaleźć coś na jednej z mlecznych farm na przylądku albo w fabryce w Olemie, w zwirowni przy szosie do Petalomy lub w stacji radiowej przy drodze do latarni morskiej. Gdybym potrafił prowadzić, mógłbym dostać pracę jako kierowca szkolnego autobusu, tyle tylko, że to zupełnie nie wchodziło w grę. Latem mógłbym pracować przy zbiorze warzyw, no ale mieliśmy dopiero kwiecień.

Spośród tych różnych możliwości praca na farmie wydawała mi się najlepszym rozwiązaniem, bo przecież kochałem zwierzęta. Podziękowałem urzędnikowi, pojechałem

autostopem na tę stronę zatoki, gdzie leży Inverness, a potem, znów podrzucany kilka razy przez przygodnych kierowców, zajrzałem na kilka farm. Zszedł mi na tym cały dzień. Potrzebowali tylko dojarza i przypomniało mi się, co kiedyś powiedział Charley, że dojenie krów byłoby dla mnie najlepszym zajęciem.

Jednak przy dojeniu krów – choć sama robota wyglądała na ciekawą – można było zarobić tylko dolara trzydzieści za godzinę, a to nie starczyłoby mi na wszystkie wydatki. Oprócz tego musiałbym mieszkać na różnych farmach, a to akurat odbierało tej pracy cały sens. Z dojeniem krów mogłem więc dać sobie spokój. Pod wieczór, mocno już zniechęcony, ruszyłem autostopem w drogę powrotną. Na szczęście gospodarze jednej z farm dali mi porządny lunch, bo inaczej cały dzień przechodziłbym z pustym żołądkiem. Wróciłem do domu o wpół do dziesiątej, zupełnie załamany, zmęczony i bez żadnych widoków na znalezienie pracy.

Zapaliłem światło w living roomie i, ponieważ w domu było bardzo zimno, rozpaliłem ogień w kominku, chociaż wiedziałem, że drewno należy do Fay i jej córek, a nie do mnie. Nawet stare gazety używane zawsze na podpałkę i kartoniki po mleku, których się nie wyrzucało, też nie były moje. Do mnie należały tylko rzeczy, które przywiozłem ze sobą od państwa Hambro.

Kiedy o tym pomyślałem, przyszło mi do głowy, że może któryś z członków grupy mógłby mi pomóc w znalezieniu pracy za pięćset dolarów miesięcznie. Postanowiłem spróbować i zadzwoniłem do pani Hambro. Mimo że wykazała zrozumienie dla sytuacji, w jakiej się znalazłem, była najwyraźniej zdania, że nie ma możliwości, bym znalazł posadę przynoszącą podobne dochody. Powiedziała, że na wsi płace są zwykle niższe niż w mieście, a nawet w San Francisco pięćset dolarów stanowiłoby całkiem niezłą pensję.

O dziesiątej, kiedy siedziałem przed kominkiem, zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę. Dzwoniła Fay.

– Byłam u ciebie – powiedziała. – Gdzieś się podziewał?

– Wyszedłem – odparłem.

– Wybierasz się do psychiatrii? – spytała.

– Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.

– Może gdybyś poszedł do doktora Andrewsa, to udałoby ci się lepiej zrozumieć sytuację, w jakiej się znalazłeś. Sprzedaj swoją połowę. Rozmawiałam z nim dzisiaj i on twierdzi, że identyfikujesz się z Charleyem i mścisz się na nas za jego śmierć. Uważasz, że jesteśmy odpowiedzialni za jego samobójstwo. To dlatego nie chcesz sprzedać swojej części? Boże święty, pomyśl tylko o moich biednych córkach. Mieszkały w tym domu od samego początku... właściwie to zbudowaliśmy go dla nich, a nie dla siebie. A ten sukinsyn nic innego mi nie zostawił, no może jeszcze ten podupały zakład, który ledwo na siebie zarabia. Muszę mieć ten dom: połowa należy do mnie i żebyś nawet stanął na głowie, nie wypuszczę tej połowy z rąk. Tak czy inaczej nie byłbyś w stanie jej odkupić. Boże, przecież ty nie jesteś w stanie zapłacić

nawet półtora dolara za rachunek za wodę.

Nie odezwałem się.

– Myślę, że powinniśmy się spotkać i przedyskutować całą sprawę – dodała. – Będziemy u ciebie za piętnaście minut.

Odłożyła słuchawkę, zanim zdołałem jej powiedzieć, że jestem wykończony i idę właśnie do łóżka. Nigdy nie przychodziło jej do głowy, żeby spytać, czy akurat mam ochotę z nią rozmawiać. Taka była zawsze i na pewno już się nie zmieni.

Kiedy tak siedziałem, czekając na ich przyjazd, ogarnął mnie jeszcze bardziej ponury nastrój. W pewnym sensie Fay miała rację – dzieci miały prawo do tego domu, a ponieważ moja siostra nie chciała ze mną mieszkać, dziewczynki nie mogły tu wrócić, dopóki się nie wyprowadzę. Ona oczywiście uważała, że to jej dom, i do pewnego stopnia miała rację. Jednak nie do końca było tak, jak myślała – ostatecznie nie była jedyną właścicielką. Tak naprawdę był to dom Charleya, a on podzielił go między Fay i mnie w przekonaniu, że będziemy mieszkać razem. Sądził, że ponieważ jesteśmy rodzeństwem, będziemy mogli żyć pod jednym dachem. Nie mam pojęcia, czy wiedział, co zrobi Nat Anteil. Prawdopodobnie w ogóle nie miał pojęcia, że Anteila opuściła żona i że jego małżeństwo się rozpadło. Przypuszczał pewnie, że związek Fay i Nata to tylko przelotny romans. Nie tylko on tak wtedy myślał. Nikt z nas nie sądził, że to taka poważna sprawa. Gdyby Charley wrócił do domu i nie popełnił samobójstwa ani nie zabił Fay, to niewątpliwie jej spotkania z Natem by się skończyły. Nie musiał robić nic więcej – wystarczyłby jego powrót do domu, by ta cała historia się skończyła, a przynajmniej, by jego żona i Nat przestali się widywać. Oczywiście związek czysto uczuciowy mógł przetrwać i dlatego Charley zrobił to, co zrobił. Myślę, że co do Fay, Charley się nie mylił. Zasłużyła sobie na karę. W końcu jednak go przechytrzyła i zmusiła, by zabił nie ją, lecz siebie. Mimo że spisał testament, który pozbawił ją zasadniczej części majątku, ona ciągle żyła nie najgorzej – miała połowę domu, córki, wszystkie sprzęty, nawet samochód. A po Charleyu została tylko wieczna obecność, którą czułem przez cały czas tak wyraźnie.

Właściwie to nawet wtedy, gdy siedziałem i zastanawiałem się, jak znaleźć jakieś wyjście, czułem, że Charley jest w domu. W jednych pomieszczeniach to wrażenie było silniejsze, w innych słabsze, w zależności od tego, gdzie częściej przebywał za życia. Szczególnie w gabinecie, gdzie pracował wieczorami... tam to uczucie było szczególnie intensywne. Mniej w pokojach dziewczynek i w sypialni. A już w ogóle nie czułem go w pracowni, gdzie Fay lepiła z gliny. Tam, gdzie zajmowała się twórczą pracą.

Charley nie pomyślał o tym, że gdyby zabił Fay, żadne z nas nie byłoby już nigdy naprawdę szczęśliwe. Wystarczy pomyśleć o dziewczynkach. Zmarnowałyby im życie. A on sam miałby przed sobą tylko perspektywę kolejnego zawału i śmierci, chyba że przedtem popełniłby samobójstwo. Nat Anteil już przedtem rzucił żonę i postawił kreskę na swoim krótkim

małżeństwie, więc co mogło go jeszcze czekać, gdyby zabrakło Fay? Kto by na tym skorzystał?

Pozabijał zwierzęta – w tym właśnie widać najlepiej cały nihilizm jego postępowania. Śmierć zwierząt najbardziej mnie uderzyła i najtrudniej mi ją było zrozumieć.

Nie mógł przecież nienawidzić tych zwierzaków tak, jak nienawidził Fay; nie mógł przecież sądzić, że one też go zdradziły, chociaż pies oczywiście nauczył się machać ogonem na widok Nata, zamiast na niego szczekać. Gdyby jednak Charley konsekwentnie szedł za tą myślą, to musiałby też zabić swoje córki, bo lubiły Anteila, i możliwe, że zabiłby również mnie, ponieważ za mną przepadały. A może to nawet planował. Przecież owcom i tak wszystko wisiało, a kaczki – przynajmniej na tyle, na ile pozwalały im ich ptasie mózdzki – były mu wierne. W końcu to Charley wybudował im zagrodę.

Kiedy to wszystko dokładnie przemyślałem, doszedłem do wniosku, że nie miał zamiaru pozabijać zwierząt. Wiedział tylko, że kiedy wyjdzie ze szpitala i wróci do domu, to musi się tam coś zasadniczo zmienić i że to on spowoduje tę zmianę – zmianę, która dotyczyć będzie wszystkich żyjących tam stworzeń. Pozabijał zwierzęta, aby pokazać światu, że jego czyny mają jakieś znaczenie, że potrafi zrobić coś, czego nie da się już odwrócić. Jednak, mimo że wymyśliłem tę teorię, wiedziałem już wtedy – i wciąż wiem – że w gruncie rzeczy nie potrafię zrozumieć prawdziwych powodów jego postępowania. Nie potrafię pojąć, co działo się w jego nielogicznym, na pół barbarzyńskim umyśle. Charley nie działał w sposób rozumny i naukowy, lecz szedł za głosem prymitywnego instynktu. Być może identyfikował się z tymi zwierzętami. Być może, zabijając je, rozpoczął proces zabijania samego siebie; być może podświadomie wiedział, że nie zabije Fay i że to on sam, a nie ona, skończy z kulą w głowie. Być może nie chciał jej w ogóle zabić, być może tylko udawał. Może od chwili, kiedy kupił broń, chciał tylko popełnić samobójstwo.

Jeśli tak było, nie można go było za nic winić. No, przynajmniej nie aż tak bardzo. Podobne problemy zawsze pojawiają się wtedy, gdy w sprawę zamieszana jest osoba pozbawiona zmysłu naukowego. Nauka czasami kapituluje przed typowym dla hołoty brakiem rozsądku. Nie można zrozumieć nastrojów, jakim poddają się masy – to niezbity fakt.

Z głębokiego zamyślenia wyrwał mnie odgłos zatrzymującego się przed domem samochodu. Wstałem i poszedłem do frontowych drzwi, żeby zapalić światło na podjeździe.

Z samochodu wysiadła tylko jedna osoba – Nat Anteil. Moja siostra nie przyjechała.

– Gdzie Fay? – spytałem.

– Ktoś musiał zostać z dziewczynkami – wyjaśnił. Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Nie uwierzyłem mu, choć wyjaśnienie było logiczne. Czułem, że Fay nie potrafiła się zmusić, żeby przyjechać do tego domu, dopóki ja w nim jestem. Zrobiło mi się jeszcze bardziej smutno.

– Czasami mężczyznom jest łatwiej porozmawiać o interesach, kiedy są sami – powiedział Nat. – Bez kobiet.

– To prawda – zgodziłem się.

Usiedliśmy naprzeciw siebie w living roomie. Patrzyłem na siedzącego po drugiej stronie kominka Nata i zastanawiałem się, ile też może mieć lat. Jest starszy czy młodszy ode mnie? Jesteśmy w podobnym wieku, zdecydowałem. Jak niewiele działał w życiu. Małżeństwo, które rozpadło się prawie zaraz po ślubie. Romans z mężatką zakończony śmiercią niewinnego człowieka. I z tego, co wiedziałem, dość niepewna sytuacja finansowa. Miał nade mną jedną przewagę – trzeba szczerze przyznać, że był o wiele przystojniejszy. Miał sympatyczną, szczerą, owalną twarz i krótko przystrzyżone kruczoczarne włosy. Był wysoki, lecz nie wydawał się przez to kościsty czy chociażby chudy. Z długimi rękoma i nogami przypominał dobrze wytrenowanego tenisistę.

Miałem również szacunek dla jego inteligencji.

– No tak – powiedziałem. – Mamy tu dość skomplikowaną sytuację.

– Bez wątplenia – zgodził się Nat.

Przez chwilę siedzieliśmy, nic nie mówiąc. Nat zapalił papierosa.

– Nie jesteś chyba psem ogrodnika – odezwał się w końcu. – Nie ma wątpliwości, że nie jesteś w stanie spłacić Fay, a nawet gdyby ci się udało, nie będzie cię stać na to, żeby tu mieszkać: utrzymanie tego domu kosztuje majątek. Jest zupełnie niepraktyczny. Szczerze mówiąc, wcale mi nie zależy, żeby Fay go zatrzymała. Ogrzewanie jest za drogie. Wolałbym, aby go sprzedała i przeprowadziła się do czegoś mniejszego, może do jakiegoś starszego domu.

– Ale jej przecież tak strasznie zależy, żeby tu mieszkać – powiedziałem.

– Tak – przyznał Nat. – Lubi ten dom. Ale jeżeli będzie musiała, to z niego zrezygnuje. Myślę, że po pewnym czasie sama będzie tego chciała. To znaczy, gdy będzie musiała go utrzymywać bez Charleya. Pod pewnymi względami ten dom to nie żaden majątek, tylko obciążenie finansowe. – Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju. – Jest ładny. I wspaniale się w nim mieszka. Ale może sobie na niego pozwolić tylko ktoś bardzo zamożny. To skarbonka. Można się od niego uzależnić, gdyby człowiek próbował go utrzymać. A ja wcale tego nie chcę i mam nadzieję, że nigdy się w nic takiego nie zapłacę. – Miałem wrażenie, że wcale nie mówi do mnie, lecz po prostu głośno myśli.

– Chcecie wziąć ślub? – spytałem. Pokiwał głową.

– Jak tylko rozwiodę się z Gwen. Rozwód i ślub załatwimy pewnie w Meksyku. Tam przynajmniej nie trzeba czekać.

– Charley nie zostawił jej wiele. Nie będziesz musiał wziąć jakiejś posady na pełny etat, żeby zarobić na Fay i jej córki?

– Dziewczynki będą dostawały pieniądze z funduszu – przypomniał. – A Fay wyciągnie

z fabryki i kamienicy na Florydzie tyle, że starczy jej na utrzymanie domu.

– Ale ja nie chcę zrezygnować z mojej części – powiedziałem. – Chcę tu mieszkać.

– Ale dlaczego? – odwrócił się do mnie. – Boże święty, przecież tu są trzy łazienki i cztery sypialnie, a ty mieszkałbyś tu sam, sam w takim wielkim domu. Zbudowano go z myślą o pięciu albo nawet sześciu osobach. Tobie wystarczyłby wynajęty pokój.

Nie odezwałem się.

– Zwariujesz tutaj – ciągnął Nat. – Z samotności. Kiedy Charley poszedł do szpitala, Fay o mało nie dostała kręćka, a przecież miała dziewczynki do towarzystwa.

– No i ciebie – dodałem. Nie odezwał się.

– Czuję, że muszę tu mieszkać – wyjaśniłem.

– Dlaczego?

– Ponieważ to mój obowiązek – oświadczyłem.

– Wobec kogo?

– Wobec niego – wyrwało mi się, zanim zdążyłem się zorientować, co właściwie wygaduję.

Od razu zrozumiał, kogo miałem na myśli.

– Chcesz powiedzieć, iż jesteś przekonany, że musisz tu mieszkać, bo on zapisał ci połowę domu?

– Nie tylko dlatego – powiedziałem. Nie chciałem mu mówić, że Charley ciągle tu jest.

– I tak nie możesz sobie na to pozwolić, więc nie ma znaczenia, czy uważasz swoją obecność w tym domu za obowiązek, czy nie. Według mnie nie stoisz wcale przed decyzją, czy sprzedać swoją połowę, czy ją zatrzymać. Albo ją sprzedasz i coś na tym zyskasz, albo ją stracisz i nie dostaniesz złamanego centa. Mając tysiąc gotówką i trzydzieści osiem dolarów co miesiąc, mógłbyś się nieźle urządzić w miasteczku. Wynająłbyś ładne mieszkanie, kupiłbyś sobie jakieś rzeczy i mógłbyś jadać w dobrych restauracjach. Mógłbyś wychodzić wieczorem, żeby się zabawić. A tymczasem skorzystałbyś z pieniędzy, które Charley zostawił ci na leczenie. Spójrzmy prawdzie w oczy – poczułbyś się o wiele lepiej, gdybyś zaczął chodzić do psychiatry.

Zwrotu „spójrzmy prawdzie w oczy” nauczył się od mojej siostry. To bardzo interesujące, jak język jednej osoby wpływa na otoczenie. Każdy, kto tylko miał z nią do czynienia, zaczyna zaraz mówić „przez całe życie” albo „Boże święty”. Nie wspominając już o tych wszystkich przekleństwach.

– Po prostu nie chcę się stąd wyprowadzić – powiedziałem raz jeszcze. A potem nagle coś mi się przypomniało. Coś, o czym Nat nie wiedział. A jeśli nawet wiedział, na pewno w to nie wierzył.

Za miesiąc nadejdzie koniec świata. Więc to, co miało się potem wydarzyć, było bez znaczenia. Musiałem tu zostać jeszcze przez miesiąc, a nie na zawsze. Potem tego domu i tak już nie będzie.

Powiedziałem Natowi, że nie mogę teraz podjąć decyzji i że muszę całą sprawę jeszcze raz przemyśleć. Pojechał do siebie, a ja przesiedziałem prawie całą noc w living roomie, głęboko się zastanawiając.

W końcu, mniej więcej o czwartej nad ranem, podjąłem decyzję. Poszedłem do gabinetu, położyłem się do łóżka i zasnąłem. Bardzo potrzebowałem snu. Następnego dnia wstałem o ósmej, wykapałem się, ogoliłem, zjadłem trochę płatków z mlekiem i parę grzanek posmarowanych dżemem – niezbyt pożywne śniadanie – a potem poszedłem szosą do Inverness Wye. Zapomniałem o jeszcze jednej możliwości znalezienia pracy i chciałem teraz spróbować. W Inverness Wye był weterynarz, i to taki, który zajmował się nie tylko psami i kotami, jak weterynarze z miasteczka, ale leczył też owce, bydło, krowy i mniejsze zwierzęta gospodarskie. Ponieważ kiedyś pracowałem u weterynarza, wydawało mi się, że może znajdę tam zajęcie.

Po rozmowie z weterynarzem przekonałem się jednak, że jego praktyka to typowo rodzinny interes, w którym pracują jego żona, ojciec i dziesięcioletni syn. Chłopak zajmował się karmieniem zwierząt i zamiataniem, czyli tym, co chciałem robić. Zawróciłem więc i poszedłem z powrotem w stronę Drake's Landing.

Przynajmniej wyczerpałem wszystkie możliwości. Do domu wróciłem mniej więcej o wpół do trzeciej. Od razu zadzwoniłem pod numer Nata Anteila.

Odebrała Fay. Nat pewnie był w pracy albo się uczył.

– Podjąłem decyzję – powiedziałem do siostry.

– Boże święty.

– Sprzedam wam moją część domu za tysiąc dolarów gotówką i resztę w ratach, jeśli pozwolicie mi tu mieszkać przez najbliższy miesiąc. I jeśli będę mógł korzystać z mebli, jedzenia i z innych rzeczy tak, żebym mógł normalnie żyć.

– Zgoda – powiedziała Fay. – Ty dupku żołądny. Tylko nie ruszaj steków z zamrażalnika. Ani rostbefu, ani rumsztyków, ani nowojorskich. Jest tam steków za czterdzieści dolarów.

– Dobrze – odparłem. – Steków nie wliczam. Ale poza tym będę jadł wszystko, co znajdę w kuchni. Pieniądze chcę zaraz. Jutro albo pojutrze, nie później. I nie będę musiał płacić rachunków za ten miesiąc.

– Potrzebujemy parę rzeczy – powiedziała Fay. – Wszystko, co jest potrzebne dziewczynkom. Ich ubrania... Boże święty... moje rzeczy, tysiące drobiazgów. Nie mam ochoty ich stamtąd zabierać tylko po to, żeby je potem znowu przywieźć. Po co ci ten dom na cały miesiąc? Nie możesz mieszkać z tą pokreconą Hambro i jej szurniętym mężem?

Mimo że zgodziła się na moje warunki, dalej próbowała mnie stąd wysiudać. Czułem, że próba zawarcia z nią rozsądnego układu to próżny wysiłek.

– Powiedz Natowi, że się zgodziłem pod warunkiem, że będę mógł tu zostać przez miesiąc. Szczegóły omówię z nim. Ty jesteś zbyt mało racjonalna.

Wymieniliśmy jeszcze kilka zdań, a potem Fay powiedziała mi „do widzenia” i oboje odłożyliśmy słuchawki. Byłem przekonany, że zawarliśmy umowę, chociaż nie była to umowa pisemna. Dom będzie mój aż do końca kwietnia, czy też raczej, patrząc na sprawę realistycznie, do dwudziestego trzeciego kwietnia.

Rozdział 19

O dziewiątej rano Nathan Anteil spotkał się z adwokatem na korytarzu trzeciego wydziału sądu w San Rafael. Miał ze sobą świadka – pulchnego mężczyznę o wyglądzie naukowca, który znał jego i Gwen od lat.

Wszyscy trzej wyszli z budynku i poszli do taniej restauracji po drugiej stronie ulicy. Usiedli przy stoliku i zaczęli rozmawiać o tym, czego oczekuje od nich prawnik. Ani Nat, ani jego świadek nigdy przedtem nie byli na sali sądowej.

– Nie ma się czym denerwować – powiedział adwokat. – Wejdzie pan na podest dla świadków, a ja zacznę panu zadawać pytania, na które będzie pan odpowiadać „tak”. Na przykład zapytam pana, czy prawdą jest, że zawarł pan małżeństwo 10 października 1958 roku, a pan odpowie: „Tak”; następnie zapytam pana, czy mieszka pan w hrabstwie Marin dłużej niż trzy miesiące, i tak dalej. Zapytam też pana, czy prawdą jest, że żona traktowała pana w sposób, który nosił znamiona okrucieństwa, co narażało pana na upokorzenia, i to zarówno wobec obcych, jak i w kręgu znajomych, i że w rezultacie takiego traktowania doznawał pan cierpień fizycznych i psychicznych, przez co nie mógł pan wykonywać pracy zawodowej, co pociągnęło za sobą niemożność prowadzenia normalnego życia i wywiązywania się ze swoich obowiązków. – Adwokat trajkotał jak nakręcony, robiąc jednocześnie krótkie, gwałtowne ruchy prawą ręką. Nat spostrzegł, że jego dłonie są niezwykle blade i małe, a na nadgarstkach nie ma ani jednego włoska. Paznokcie miał starannie wypielęgnowane i Nat pomyślał nawet, że dłonie prawnika wyglądają tak, jakby należały do kobiety. Najwyraźniej nigdy nie pracował fizycznie.

– A ja co mam robić? – zapytał świadek.

– Wejdzie pan na podwyższenie zaraz po panu Anteilu i złoży pan taką samą przysięgę. Potem zapytam pana, czy mieszka pan w hrabstwie Alameda od trzech miesięcy, a w stanie Kalifornia od ponad roku, a pan odpowie: „Tak”. Następnie zapytam pana, czy prawdą jest, że w pana obecności pozwana pani Anteil zachowywała się wobec swojego męża w sposób, który mógł go narazić na dotkliwe upokorzenie, i że zaobserwował pan, iż pan Anteil martwił się z tego powodu oraz cierpiał zarówno fizycznie, jak i psychicznie, co spowodowało, że musiał zwrócić się o poradę lekarską, i że zauważył pan w nim widoczną zmianę, co sprawiło, iż napomknął pan nawet, że pan Anteil... – prawnik machnął ręką – ...że zdrowie nie dopisuje mu już tak jak kiedyś i że w widoczny sposób cierpi z powodu traktowania przez panią Anteil. Widzicie panowie – teraz zwrócił się do nich obu – musimy wykazać, jakie skutki przyniosło postępowanie pani Anteil. Nie wystarczy stwierdzić, że źle pana traktowała, na przykład, że się puszczała albo piła, trzeba także dowieść, że w pana życiu zaszła z tego powodu zauważalna zmiana.

– Zmiana na gorsze – powiedział świadek.

– Tak – potwierdził adwokat. – Zmiana na gorsze. Zamierzam pana także spytać – rzekł do Nata – czy prawdą jest, że ze wszystkich sił starał się pan uratować swoje małżeństwo, jednak pańska żona w sposób widoczny okazywała, że nie interesuje jej pana los, a poza tym często i długo pozostawała poza domem, wykazując niechęć do informowania pana o miejscu swojego pobytu i że, ogólnie rzecz ujmując, nie zachowywała się tak, jak przystoi kobiecie zamężnej.

Popijając kawę, Nat pomyślał, że będzie to potworne przejście i że nie wie, czy da sobie radę, kiedy nadejdzie jego kolej.

– Niech się pan nie przejmuj – powiedział adwokat, kładąc mu rękę na ramieniu. – To zwykły rytuał: wejdzie pan na podwyższenie, wyrecytuje odpowiednią kwestię i dostanie pan to, o co panu chodzi, czyli postanowienie o rozwiązaniu małżeństwa. Wystarczy odpowiadać „tak”. „Tak” na wszystkie pytania, a wyjdziemy stamtąd po dwudziestu minutach. – Spojrzał na zegarek. – Powinniśmy już iść. Nie wiem, jak ten sędzia, ale zwykle zaczynają o wpół do dziesiątej. – Prawnik był z hrabstwa Alameda, a Nat wynajął go dlatego, że kiedyś reprezentował jego i Gwen w sporze z sąsiadami. Polubili go wtedy. Sprawę załatwił ugodowo.

Wrócili do budynku. Kiedy wchodzili po schodach, świadek dyskutował z adwokatem o jakichś banalnych historiach związanych z czynnikiem ekonomicznym w wyrokowaniu sądów. Nat nie słuchał. Patrzył na siedzącego na ławce staruszkę i na grupkę obładowanych zakupami ludzi, którzy szli ulicą.

Było ciepło i pogodnie. W powietrzu unosił się przyjemny zapach. Malarze porozwieszali na budynku płachty i poustawiali drabiny: najwidoczniej trwał remont. Nat i jego towarzysze musieli się schylić pod jakimiś sznurami, kiedy wchodzili do środka.

Kiedy adwokat i świadek mieli już wkroczyć na salę rozpraw, Nat zapytał:

– Zdamę jeszcze do toalety?

– Jeśli się pan pospieszy – powiedział prawnik.

W męskiej toalecie – wyjątkowo czystej – połknął tabletkę uspokajającą, którą dała mu Fay. Potem pobiegł na salę. Prawnik i świadek właśnie stamtąd wychodzili. Adwokat ze strąpioną miną wziął go za ramię i poprowadził korytarzem.

– Rozmawiałem z woźnym – wyjaśnił przyciszonym głosem. – Ten sędzia nie pozwala adwokatowi prowadzić przesłuchań.

– Co to znaczy? – spytał Nat.

– To znaczy, że żadnemu z panów nie będę mógł zadawać pytań. Będziecie zdani na siebie.

– Nie będzie pan nam mógł pomagać? – zapytał świadek.

– Nie, sami będziecie musieli powiedzieć swoje. – Prawnik poprowadził ich z powrotem w kierunku sali rozpraw. – Prawdopodobnie nie będziemy pierwsi. Proszę przysłuchiwać się poprzednikom i wyciągnąć dla siebie wnioski, co należy mówić. – Przytrzymał im drzwi.

Najpierw wszedł Nathan, a zaraz po nim świadek.

Siedział na ławce, która wyglądała, jakby przyniesiono ją tu z kościoła, i przyglądał się stojącej na podwyższeniu dla świadków kobiecie w średnim wieku, która opowiadała, jak jakiś pan Heathers czy Feathers oblał kawą panią Feathers na ogrodowym przyjęciu w San Anselmo i zamiast przeprosić, w obecności dziesięciu osób nazwał ją idiotką i złą matką.

Kobieta zamilkła, a wtedy na twarzy sędziego, siwego, mocno zbudowanego mężczyzny pod siedemdziesiątkę, ubranego w prążkowany garnitur, pojawił się wyraz niesmaku.

– No i jaki to miało wpływ na powódkę? – zapytał. – Czy na skutek tego wydarzenia zaszła w jej życiu jakaś zmiana?

– Tak – odpowiedziała kobieta. – Załamała się. A poza tym powiedziała, że nie może znieść obecności mężczyzny, który traktuje ją w ten sposób i upokarza.

Sprawa się skończyła i zaraz potem zaczęła się następna, bardzo do niej podobna, z udziałem innych kobiet i innego adwokata.

– Ostry ten sędzia – powiedział prawnik półgębkiem. – Niech pan zauważy, jak dokładnie sprawdza podział majątku. Czepia się.

Nat prawie go nie słyszał. Środek uspokajający zaczynał działać. Gapił się przez okno na trawnik. Patrzył na samochody jadące ulicą i na wystawy sklepów.

– Niech pan powie, że musiał pan pójść do lekarza – szepnął mu prawnik. – Niech pan powie, że wpędziła pana w chorobę. Niech pan powie, że potrafiła zniknąć na cały tydzień z domu.

Pokiwał głową.

Na podwyższeniu dla świadków stała roztrzęsiona młoda kobieta i opowiadała łamiącym się głosem, jak bił ją mąż.

Gwen nigdy mnie nie uderzyła, pomyślał Nathan. No, ale siedziała z tym idiotą w kuchni, kiedy wróciłem do domu. Mogę więc powiedzieć, że miała zwyczaj spotykać się z innymi mężczyznami, a kiedy pytałem ją, kim oni są i czym się zajmują, obrzucała mnie obelgami i znieważała.

– Niech pan słucha, co będzie mówił pan Anteil, i niech pan wyciąga wnioski – szepnął adwokat świadkowi.

– Dobrze – odparł świadek.

Była dla mnie nieustannym powodem zmartwień i źródłem upokorzeń, myślał Nathan. Schudłem i zacząłem brać środki uspokajające. Nie spałem po nocach, bo martwiłem się o sprawy finansowe. Pożyczała gdzieś pieniądze, nic mi o tym nie mówiąc. Kiedy nie wracała do domu na noc, dzwoniłem po wszystkich znajomych, którzy w ten sposób dowiadywali się, że nie wiem, gdzie i z kim moja żona spędza noce. Płaciła naszymi wspólnymi kartami kredytowymi bardzo wysokie rachunki za benzynę. Biła mnie, drapała i obrzucała wyzwiskami w obecności

znajomych i obcych. Dawała wyraźnie do zrozumienia, że woli towarzystwo innych mężczyzn i że w ogóle nie żywi dla mnie szacunku.

Ćwiczył rolę.

Krótko potem był już na podeście dla świadków i patrzył na rzędy prawie pustych ławek. Z lewej, nieco poniżej, stał sztywno jakby kij połknął jego adwokat z plikiem papierów w ręce i mówił coś bardzo szybko do sędziego. Świadek, wyraźnie spięty, usiadł w pierwszej ławce boks dla sędziów przysięgłych.

– Czy nazywa się pan Nathan Ruben Anteil? – spytał prawnik.

– Tak – odparł.

– I mieszka pan w Point Reyes w hrabstwie Marin?

– Tak.

– Czy mieszka pan w stanie Kalifornia od ponad roku, a w hrabstwie Marin dłużej niż trzy miesiące? I czy wniósł pan powództwo do Sądu Najwyższego Hrabstwa o rozwiązanie małżeństwa między panem a panią Anteil? Czy małżeństwo to uległo praktycznemu rozpadowi 10 marca 1959 roku i czy prawdą jest, że obecnie nie mieszkają już państwo razem?

Odpowiedział „tak” na każde z tych pytań.

– Czy może pan powiedzieć sądowi – zadał następne pytanie adwokat – dlaczego chce się pan rozwieść z panią Anteil?

Prawniki cofnęli się nieco. Na sali zrobiło się trochę głośniejsze, bo w jednej z ostatnich ławek jakiś adwokat naradzał się półgłosem ze swoim klientem, a para siedząca z przodu zaczęła wiercić się na swoich miejscach i rozmawiać. Nathan nabrał powietrza w płuca.

– Przede wszystkim chodzi o to... – Przerwał, bo opadło go zmęczenie i ospałość wywołane tabletką. Czuł się tak, jakby ktoś zwał na niego jakiś ciężar. – ...że nigdy nie było jej w domu. Ciągle gdzieś wychodziła, a kiedy wracała i pytałem ją, gdzie była, to obrzucała mnie tylko obelgami i mówiła, że to nie mój interes. Dawała mi wyraźnie do zrozumienia, że woli towarzystwo innych mężczyzn.

Zastanawiał się, co jeszcze powiedzieć. Jak kontynuować. Wydawało mu się, że potrafi już tylko gapić się przez okno na trawnik, na rozgrzane, zielone, suche źdźbła. Czuł się potwornie senny. Oczy same mu się zamykały. Głos mu się załamał i z największym trudem zdołał wydusić z siebie następne zdanie.

– Miałem wrażenie – podjął – że mną pogardzała. Nie mogłem nigdy liczyć na to, że w jakiegokolwiek sprawie stanie po mojej stronie. Chodziła swoimi drogami. Nigdy nie zachowywała się tak, jak przystoi mężatce. Jakbyśmy w ogóle nigdy się nie pobrali. Efekt był taki, że nie mogłem już pracować. Zachorowałem i musiałem pójść do lekarza. Do doktora Roberta Andrewsa – dodał. – Z San Francisco.

– Na co pan zachorował? – spytał sędzia.

– Można by to nazwać dolegliwością typu psychoneurotycznego. – Przerwał na chwilę, lecz ponieważ sędzia o nic już nie zapytał, mówił dalej: – Nie potrafiłem skoncentrować się na pracy, co zauważyli wszyscy moi znajomi. Trwało to dosyć długo. Kiedyś zdarzyło się nawet, że moja żona, stojąc na ganku, wykrzykiwała obelgi pod moim adresem w obecności pastora, który akurat wybrał się do nas z wizytą.

Było to w dniu przeprowadzki Gwen. Któraś z sąsiadek musiała się zorientować, że ich małżeństwo się rozpada, i zadzwoniła po doktora Sebastiana. Staruszek przyjechał swoim dziesięcioletnim hudsonem akurat wtedy, kiedy najbardziej się kłócili: Gwen stała na ganku, trzymając stos ręczników, i wrzeszczała do Nata, że jest wrednym sukinsynem, który według niej może się wynosić do diabła. Staruszek wsiadł z powrotem do samochodu i odjechał. Widocznie porzucił myśl o tym, żeby im pomóc, bo zdał sobie sprawę, że jest już za późno, albo dlatego, że to, co powiedziała Gwen, było dla niego za mocne. Był zbyt wrażliwy, aby to znieść.

W końcu jednak skończyła się pakować, pomyślał Nathan, patrząc na rozgrzany, zalany słońcem trawnik, na wystawy sklepów i na przechodniów. A potem pojechała do Sacramento, do rodziców. Oddałem jej nawet fotografie, które nosiłem w portfelu.

Na sali było cicho; wszyscy na niego czekali. Czekali, czy ma jeszcze coś do powiedzenia o tym, jak rozpadło się jego małżeństwo.

– Nie mogłem tolerować tego, że traktowała mnie, jakbym był gorszy od innych mężczyzn. Pewnego dnia zauważyłem przed domem jakiś obcy samochód, a kiedy wszedłem do domu, okazało się, że siedzi tam jakiś mężczyzna, którego nigdy przedtem nie widziałem. Kiedy spytałem żonę, kim jest ten mężczyzna, wpadła w furję i obraziła mnie w taki sposób, że nawet on poczuł się zakłopotany. Chciał wyjść, ale ona kazała mu zostać.

Jakie to dziwne uczucie, pomyślał. Stać tu i opowiadać takie rzeczy.

– Miewała napady szału, w czasie których celowo niszczyła przedmioty mające dla mnie wartość emocjonalną.

W czasie pakowania znalazła gipsowego kota, którego wygrali kiedyś w wesołym miasteczku. Trzymała go w rękę, zastanawiając się, jak go zapakować, kiedy wszedł i oświadczył, że uważa go za swoją własność. Wtedy odwróciła się i rzuciła w niego tą figurką. Kot rozbił się o ścianę za jego plecami.

– W czasie tych napadów szału traciła zupełnie panowanie nad sobą – powiedział.

Prawnik kiwnął mu głową – z niecierpliwością, jak mu się wydawało – i wtedy nagle zrozumiał, że to już koniec. Wstał z krzesła i szedł z podestu. Adwokat poprosił teraz świadka, a Nathan usiadł na pierwszym krześle boksu dla przysięgłych. Przysłuchiwał się, jak jego znajomy opowiada, jak to kiedyś przyszedł do państwa Anteilów, a zastał tylko Nata, i jak przy różnych innych okazjach, kiedy oboje byli w domu, zmuszony był wysłuchiwać niczym nie uzasadnionych jego zdaniem i upokarzających wyzwisk, którymi pani Anteil obrzucała swojego

męża.

Sędzia podpisał jakiś dokument i zamienił kilka słów z adwokatem, a potem Nat, jego świadek i prawnik przeszli między rzędami ławek i znaleźli się na korytarzu.

– Dał? – zapytał Nat.

– Ależ oczywiście – odparł adwokat. – Teraz będziemy musieli pójść do kancelarii i odebrać odpis tymczasowego postanowienia.

Kiedy schodzili po schodach, świadek powiedział:

– Gwen to najspokojniejsza kobieta, jaką w życiu spotkałem. Dziwnie się czułem, kiedy opowiadałem o tych „wyzwiskach”. Nigdy nie słyszałem, żeby mówiła podniesionym głosem.

Adwokat zachichotał. Nat nie powiedział ani słowa. Czuł jednak ulgę, jakby ktoś go uwolnił od ciężaru rozprawy. Weszli do kancelarii – ogromnego, jasno oświetlonego pomieszczenia, gdzie przy ustawionych w rzędy biurkach i segregatorach pracowali urzędnicy. Przy kontuarze, który przecinał salę wzdłuż, klienci załatwiali swoje sprawy z pracownikami sądu.

– No i po wszystkim – powiedział świadek, kiedy adwokat odbierał dokumenty.

Czy w tym, co tam powiedziałem, było choć trochę prawdy? – zastanowił się Nat. Częściowo tak. Prawda pół na pół z kłamstwem. To dziwne uczucie... trochę tak, jakbym oślepił. Jakbym nie wiedział już, co się wydarzyło naprawdę, i wszystko przemieszał. Mówiłem tylko to, co wydawało mi się właściwe.

– Zupełnie jak na procesach moskiewskich – odezwał się. – Człowiek gada, co mu każą.

Adwokat znów zachichotał. Świadek mrugnął okiem. Czuł się rzeczywiście lepiej. Strach minął... jak szkolne przedstawienie. Jak publiczna mowa.

– Dobrze, że mam to już za sobą – powiedział do adwokata.

– Niezły twardeł z tego staruszka – rzekł adwokat, kiedy wychodzili z kancelarii. – Nie pozwolił mi prowadzić przesłuchania. Pewnie ma dzisiaj kłopoty ze stolcem i mści się na wszystkich dookoła.

Rozdzielili się na zalanej słońcem ulicy. Powiedzieli sobie „do widzenia”, a potem każdy z nich poszedł do swojego samochodu.

Było za dwadzieścia jedenasta. Od chwili, gdy rozpoczęła się rozprawa, minęła ledwo godzina i dziesięć minut.

Rozwiodłem się, pomyślał Nathan. Skończone. Teraz na sali jest ktoś inny.

Wsiadł do samochodu.

Naopowiadałem jakichś dziwnych historii, pomyślał. Kiedy ona w ogóle wychodziła z domu? Dopiero wtedy, kiedy ze sobą zerwaliśmy.

Powinienem czuć się winny, pomyślał. Wszedłem na to podwyższenie i kłamałem jak z nut. Banalne łgarstwa. Jednak ulga była silniejsza niż poczucie winy. Do diabła, pomyślał. Jestem cholernie zadowolony, że już po wszystkim.

Lecz nagle przyszyły wątpliwości. Jak to „po wszystkim”? To znaczy, że nie mam już żony? A co się stało z Gwen? Nie rozumiem. Gdzie się podziało nasze wspólne życie? Jak to wszystko mogło się w ogóle wydarzyć?

To niemożliwe, pomyślał. Co to właściwie znaczy, że „nie jestem już żonaty”?

Gapił się przez okno samochodu. Przecież to wszystko nie ma sensu, pomyślał. Rosło w nim przerażenie; zewsząd ogarniało go uczucie, jakby za chwilę miał się załamać i zacząć płakać. A niech mnie szlag trafi, pomyślał. To niemożliwe. Po prostu niemożliwe.

To najgorsze, co zdarzyło mi się w życiu, pomyślał. Coś niesamowitego. Koniec wszystkiego. Co ja mam teraz robić?

Jak ja się w to wszystko wplątałem?

Siedział w samochodzie, patrzył na przechodniów i zastanawiał się, jak doszło do całej tej sytuacji. Uwikłałem się w jakąś potworną historię, pomyślał. To tak, jakby niebo było siecią, która spadła mi na głowę. To pewnie jej sprawka, Fay to wszystko zaaranżowała i nie ma tu w ogóle mojej winy. Nie jestem odpowiedzialny ani za siebie, ani za to, co się stało. Teraz się budzę. Już się obudziłem. I dowiaduję się, że wszystko mi odebrano. Moje życie legło w gruzach, a ja mogę sobie tylko na nie popatrzeć, bo już się obudziłem. Nie mogę nic zrobić. Za późno. Wszystko, co miało się stać, już się stało. Wszedłem na podest dla świadków, opowiedziałem swoje i to był szok, który sprawił, że przejrzałem. Koktajl z kłamstwa i kawałków prawdy. Wszystko przemieszane. Nie można już dojrzeć, gdzie kończy się jedno i zaczyna drugie.

W końcu włożył kluczyk do stacyjki i zapalił silnik. Po chwili wyjechał z San Rafael i skierował się w stronę Point Reyes Station.

Zobaczył ją przed domem. Znalazła wiadro z cebulkami gladioli i tulipanów, które Gwen przywiozła kiedyś z miasta. Ubrana w dżinsy, sandały i bawełnianą koszulę, wygrzebywała rydlem wzdłuż ścieżki prowadzącej do drzwi wejściowych płytki rowek na cebulki. Dziewczynek nie było.

Usłyszała go, kiedy otwierał bramę; podniosła głowę i odwróciła się.

– Nie dostałeś – odezwała się, kiedy spostrzegła wyraz jego twarzy.

– Dostałem – powiedział. Odłożyła rydel i wstała.

– To musiało być dla ciebie straszne przejście. Boże, jesteś błydy jak ściana.

– Nie wiem, co robić – rzekł. Nie chciał tego powiedzieć, ale nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Jak to? – spytała. Podeszła do niego i objęła swoimi silnymi ramionami.

Kiedy poczuł jej dotyk, emanującą od niej władczość i pewność siebie, poprosił:

– Przytul mnie.

– Przecież cię przytulam – powiedziała. – Ty durniu.

– No i zobacz, w co się wplątałem. – Patrzył przez jej ramię na nie zasadzone jeszcze cebulki kwiatów. Większość była już w ziemi. Wiadro było prawie puste. – Wplątałaś mnie w paskudną sytuację. Nie mam możliwości manewru. Zagnałaś mnie w ślepią uliczkę.

– Czemu tak myślisz?

– Rozbiłem swoje małżeństwo.

– Biedactwo – powiedziała. – Tak się boisz. – Ramiona ścisnęły go mocniej. – Pytam, czy dostałeś rozwód? Jaki był wynik rozprawy?

– Musiałem dostać – rzekł Nat. – Przedstawiłem wszystko w odpowiedni sposób. Po to są prawnicy.

– Więc masz rozwód!

– Mam tymczasowe postanowienie – sprostował. – Za rok będę oficjalnie rozwiedziony.

– Sędzia robił jakieś trudności?

– Nie pozwolił adwokatowi prowadzić przesłuchania. Byłem zdany na siebie. – Zaczął opowiadać jej przebieg rozprawy, po chwili jednak zauważył, że oczy Fay nabrały roztargnionego, nieobecnego wyrazu. Nie słuchała.

– Chciałam ci coś powiedzieć – odezwała się, kiedy przerwał. – Dziewczynki upiekły ci ciasto. Mała uroczystość z jedną świeczką. Twój pierwszy rozwód. Są w środku i kłócą się właśnie, jaką zrobić polewę. Powiedziałam im, żeby poczekały na ciebie i same cię spytały.

– Nie mam na nic ochoty. Jestem kompletnie wykończony.

– W życiu nie poszłabym do sądu – stwierdziła. – Wolałabym raczej umrzeć. Nigdy by ci się nie udało zawlec mnie do sądu. – Puściła go i poszła w stronę domu. – Tak się martwiły – dodała. – Bały się, że coś może się nie udać.

– Przestań wreszcie gadać i posłuchaj – powiedział.

Zwolniła kroku, a potem przystanąła. Jednocześnie zamilkła i zatrzymała się. Czekala, co ma jej do powiedzenia. Nie robiła wrażenia zdenerwowanej. Dostał rozwód i wrócił, więc jej ulżyło. Najwidoczniej nie przejęła się specjalnie tym, co dotychczas miał jej do zakomunikowania.

– A niech cię diabli – wybuchnął. – Ty nigdy nie słuchasz. Nie obchodzi cię, co mam do powiedzenia? Więc teraz się dowiesz: wycofuję się, wycofuję się z całego tego cholernego interesu.

– Co? – spytała drżącym głosem.

– Dalej już nie mogę. Nie daję rady. Kiedy wychodziłem z sali sądowej, zdałem sobie z tego sprawę. W końcu przejrzałem na oczy.

– No tak – powiedziała. – Mój Boże.

Stali naprzeciw siebie, nie mówiąc ani słowa. Fay kopnęła czubkiem sandała grudkę ziemi. Nigdy przedtem nie widział jej tak przybitej.

– Sparyna ci pomogła? – spytała.

– Pomogła.

– Zażyłeś, zanim wszedłeś na salę? Dobrze, że ci ją dałam. Jest świetna, zwłaszcza w takich wypadkach jak ten, kiedy sytuacja człowieka przerasta. Nie wiem, jak mógłbyś mnie opuścić – powiedziała, najwyraźniej pozbierawszy już myśli. – Co by się wtedy z tobą stało? To najgorszy moment, jaki mógłbyś wybrać. Przez kilka ostatnich tygodni miałaś wiele traumatycznych przeżyć. Ja też. A już najgorsza musiała być dla ciebie ta wizyta w sądzie i sprawa rozwodowa. – Stała się uprzedzająco miła: mówiła ciszej, a jej twarz przybrała uważny wyraz. Schwyciła go za ramię i pociągnęła w stronę domu. – Nic jeszcze nie jadłeś, prawda?

– Nie – odparł. Opierał się jej, nie chciał, żeby nim kierowała.

– Jesteś na mnie naprawdę wściekły, prawda? – powiedziała w końcu. – Nigdy nie zachowywałeś się w stosunku do mnie tak agresywnie.

– To prawda – zgodził się.

– Myślę, że ta agresja musiała ci zawsze towarzyszyć, ukryta w podświadomości. Doktor Andrews twierdzi, że jeżeli człowiek coś takiego czuje, powinien to powiedzieć, a nie dusić w sobie. – W jej głosie nie było gniewu, raczej rezygnacja. – Nie mam do ciebie pretensji – dodała, przyglądając mu się. Stała bardzo blisko z rękami założonymi za plecy i patrzyła mu prosto w twarz, lekko przekrzywiając głowę. Dzień był gorący i na szyi Fay lśniły kropelki potu. Patrzył, jak pojawiają się, wysychają, a potem na ich miejscu pokazują się następne. Tętnica pulsowała. – Możemy jeszcze o tym porozmawiać? – Nie zachowywała się jak dziecko, lecz wyjątkowo rozsądnie. – Tak poważną decyzję powinno się omówić. Wejdz, usiądź i zjedz lunch. W końcu dokąd miałbyś pójść? Jeśli któreś z nas ma odejść... Boże, przecież to twój dom... nie możesz pozwolić, żebyśmy tu zostały, skoro czujesz do mnie to, co czujesz. Przeniesiemy się do motelu. Nie ma sprawy.

Nie odezwał się.

– Nic ci nie zostanie, kiedy mnie opuścisz – odezwała się znów Fay. – Być może mam pewne cechy charakteru, które należałoby zmienić. Dlatego chodzę do doktora Andrews, przecież wiesz. A jeśli jest we mnie coś niedobrego, to dlaczego mi nie powiesz, jak mam się zachowywać? Czemu nie ustawisz mnie na właściwym miejscu? Chcę, żebyś powiedział mi, co mam robić. Myślisz, że będę miała szacunek dla mężczyzny, którym mogę pomiatać?

– W takim razie pozwól mi odejść – odparł.

– Myślę, że masz źle w głowie, skoro chcesz mnie zostawić.

– Być może – powiedział. Odwrócił się i zaczął odchodzić.

– Obiecałam dziewczynkom, że zabierzemy je dzisiaj po południu do wesołego miasteczka! – zawołała za nim Fay mocnym głosem.

Nie chciał wierzyć własnym uszom.

– Co? – zapytał. – Jak to, do cholery, „do wesołego miasteczka”?

– No, do wesołego miasteczka w Oakland – wyjaśniła, patrząc na niego spokojnie. – Słyszały o nim w audycji dla dzieci. Chcą zobaczyć zamek głupiego króla. Powiedziałam im, że kiedy wrócisz, to tam pojedziemy.

– Ja im niczego nie obiecywałem – zaprotestował. – Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– No tak – powiedziała. – Wiem, że nie lubisz, kiedy zawraca ci się głowę takimi historiami.

– A niech cię diabli. Żeby tak coś za mnie obiecywać.

– Tylko parę godzin. Samej jazdy ledwie godzina.

– Raczej dwie.

– Nie powinno się łamać obietnic danych dzieciom – powiedziała. – Jeśli masz zamiar nas zostawić, to powinieneś zrobić coś, żeby cię zapamiętały. Czy chcesz, żeby ostatnim wspomnieniem po tobie było to, że zlekceważyłeś sobie coś, czego bardzo chciały?

– Ich ostatnie wspomnienie o mnie nie ma najmniejszego znaczenia, ponieważ i tak opowiesz im o mnie coś takiego, że wyjdę na szmatę...

– Mogą cię usłyszeć.

Na ganku pojawiły się dziewczynki. Na wielkim talerzu przyniosły ciasto.

– Zobacz! – zawołała Bonnie. Obie patrzyły na niego z rozjaśnionymi twarzami.

– Śliczne – ocenił.

– No tak – powiedziała Fay. – Nawet tego nie można od ciebie wymagać? W takim razie idź i zostaw nas.

Dziewczynki nie zwracały zupełnie uwagi na dorosłych.

– Jaką chcesz polewę? Mama mówiła, żeby poczekać na ciebie i zapytać.

– Chcecie jechać do wesołego miasteczka? – zapytał. Obie natychmiast zbiegły po schodach; porzucone ciasto zostało na balustradzie.

– Dobrze już – spróbował przekrzyczeć wrzawę. – Pojedziemy. Tylko się pospieszcie.

Fay patrzyła na niego z założonymi na piersi rękami.

– Pójdę po płaszcz – powiedziała. – Wy też załóżcie – poleciła dziewczynkom.

Pobiegły z powrotem do domu.

Nie odezwał się. Wsiadł do samochodu. Fay nie wsiadła za nim. Czekwała na córki. Podniosła paczkę papierosów z miejsca, gdzie je ostatnio zostawiła, zapaliła jednego i znów zajęła się kopaniem.

Dziecięce wycie sprawiło, że poczuł się zmęczony. Wszędzie biegały dzieci; ich krzyk słyszeć było na zewnątrz i w środku pomalowanych jaskrawą świeżą farbą fantastycznych budowli, które według wydziału zieleni miejskiej miasta Oakland miały wyobrażać wesołe miasteczko. Zaparkował dość daleko, bo nie był pewien, gdzie właściwie jest, i długi marsz mocno go wyczerpał.

Bonnie i Elsie zjechały ze zjeżdżalni, pomachały do niego i Fay, a potem pobiegły do dzieci, które wspinały się z powrotem na górę.

– Przyjemnie tu – stwierdziła Fay.

W samym środku wesołego miasteczka karmiono z butelki jagnięta z wierszyka o małej Bo Peep. Jakaś kobieta w średnim wieku nawoływała przez głośniki dzieci, żeby koniecznie przyszły popatrzeć.

– Śmieszne – powiedziała Fay. – Jechaliśmy taki kawał drogi, żeby popatrzeć, jak karmi się jagnięta. Ciekawe, dlaczego karmią je z butelek. Pewnie im się wydaje, że tak jest bardziej słodko.

Poszli dalej, gdy dziewczynkom znudziła się już zjeżdżalnia. Znalazły studnię życzeń i zaczęły się przy niej wygłupiać. Prawie wcale nie zwracały uwagi na matkę i Nata.

– Ciekawe, który to ten zamek głupiego króla – powiedziała Fay.

Nic nie odpowiedział.

– Męczące to wszystko – odezwała się znów. – Masz pewnie dosyć na dzisiaj.

Dotarli do bufetu. Kupili dziewczynkom sok pomarańczowy i hot dogi. Kawalek dalej spostrzegli okienko kasy i budynek stacji kolejki wąskotorowej. Wąski tor przecinał wesołe miasteczko, ginąc wśród rosnących za ogrodzeniem drzew. Ten tor widzieli już przedtem z samochodu, a potem chcieli dojść wzdłuż niego do głównej bramy, tyle tylko, że brama była po drugiej stronie i musieli obejść cały teren. Kiedy błąkali się w poszukiwaniu wejścia, Fay powiedziała do niego:

– Ale z ciebie niefartowny gość.

– Kto to taki? – domagały się odpowiedzi dziewczynki.

– Niefartowny to taki, co podchodzi do kasy na stadionie w chwili, kiedy właśnie sprzedano ostatnie zwykle miejsce na trybunach, a nie ma przy sobie dość pieniędzy na lożę – wyjaśniła Fay.

– To właśnie ktoś taki jak ja – powiedział.

– Widzicie, Nat zaparkował po drugiej stronie wesołego miasteczka i musimy teraz pójść naokoło. Gdybym to ja prowadziła samochód, zatrzymalibyśmy się tuż przed bramą. No, ale niefartowny gość ma zawsze pecha. Pakuje się w niego instynktownie.

Tak, pomyślał wtedy. To prawda, taki właśnie jestem. Pech sprawia, że pakuję się w sytuacje, które zupełnie mi nie odpowiadają, i nie pozwala mi się uwolnić. Trzyma mnie za kark. I nie jestem w stanie sam się wypłatać.

– Też mi los, żenić się z facetem bez fartu – dodała Fay. – Chociaż teraz może to się jakoś wyrówna.

Stał z Fay i dziewczynkami w kolejce po bilety na wąskotorówkę. Bolały go nogi i zastanawiał się, czy wytrzyma to stanie w kolejce, a potem czekanie, aż pociąg wróci po

pasażerów. Pociąg był gdzieś na terenie wesołego miasteczka i nie było go widać. Cała chmara dzieciaków, już z biletami, czekała niecierpliwie na peronie po drugiej stronie kasy.

– To potrwa przynajmniej pół godziny – powiedział do Fay. – Warto w ogóle czekać?

– To główna atrakcja – odparła. – Przecież widziałeś, że wszystkie dzieci jeżdżą tą kolejką, więc Bonnie i Elsie też muszą.

Czekał.

Po dłuższym czasie dotarł wreszcie do okienka i kupił dla wszystkich bilety. Potem przepchali się na peron. Pociąg właśnie przyjechał i wysypywali się z niego pasażerowie – dzieci i ich rodzice; konduktor wskazywał drogę. Nowa grupa ruszyła biegiem w stronę wagonów i zaczęła wsiadać. Wagoniki były małe i miały dziwne kształty. Głowy pasażerów w czasie jazdy trzęsły się, co wyglądało, jakby mały pociąg był pełen zgrzybiałych starców.

– W pewnym sensie zawiodłam się na tym wesołym miasteczku – powiedziała Fay. – Wydaje mi się, że za mało tu atrakcji. Dzieciom nie wolno wchodzić do tych malutkich domków, mogą sobie tylko popatrzeć. Przecież to nie muzeum.

Był tak zmęczony i apatyczny, że nic jej nie odpowiedział. Nie czuł już związku między sobą a otaczającym go zgiełkiem, ruchem, dziecięcą wrzawą.

Przez peron szedł konduktor i zbierał bilety. Głośno liczył pasażerów. Zatrzymał się przy Nathanie.

– Trzydzieści trzy – powiedział. Potem wziął bilet Elsie. – Państwo są razem? – zapytał Nathana.

– Tak – odrzekła Fay.

– Mam nadzieję, że uda mi się was razem ulokować – powiedział, odbierając bilety od Fay, Bonnie i Nathana.

– Ile osób wchodzi do pociągu? – spytała Fay.

– To zależy, ilu jest dorosłych – odparł konduktor. – Dzieci można upychać bez końca. Z dorosłymi jest inaczej. – Odszedł z biletami w ręku.

– Pewnie pojedziemy – powiedziała Fay. – Zabrał nasze bilety.

Ich bilety były ostatnie. Za nimi pięcioosobowa rodzina martwiła się głośno, że nie może jechać.

Nie wsiadą, pomyślał Nat. Będą musieli poczekać. Patrzył bezmyślnie na stojący za bufetem przysadzisty domek, który zbudowała trzecia świnka.

Kiedy pociąg przyjechał, przeszedł razem z Fay, dziewczynkami i całą grupą przez bramę i znalazł się na peronie. Wagony opustoszały i nowi pasażerowie zaczęli się gramolić do środka. Konduktor zamykał drzwi. Rodzinę z biletami zatrzymano przy bramie.

– Nie – powiedział pracownik wesołego miasteczka. – Z biletami nie mogą państwo wsiąść.

Idiotyzm, pomyślał Nathan, patrząc, jak mały chłopiec, od którego nie odebrano biletu, stoi

z nadzieją w oczach obok pociągu, trzymając kartonik w uniesionej nad głową ręczce. Jak masz bilet, nie wolno ci wsiąść. Jeśli nie, proszę bardzo. Fay i dziewczynki pobiegły razem z innymi w stronę ostatniego wagonu. Nat miał nogi jak z ołowiu. Został z tyłu. Dzieci przeciskały się obok niego i wskakiwały do środka.

Kiedy dotarł do ostatniego wagonu, zauważył, że Fay i Elsie znalazły miejsca. Konduktor zamykał już drzwi, kiedy zauważył Bonnie.

– Miejsce dla młodej damy – powiedział do niej. Podniósł ją i podał siedzącej w wagonie Fay.

Dzieci bez biletów zniknęły w pociągu. Zostało ich tylko kilkoro, a potem Nathan zdał sobie sprawę, że jest na peronie sam. Wszyscy oprócz niego znaleźli już miejsca. Konduktor zamknął drzwi wagonu Fay i zaczął odchodzić. Nagle spostrzegł Nata.

– Zupełnie o panu zapomniałem – stwierdził. Nathan zauważył ze zdumieniem, że się uśmiecha. Za nim, koło bramy, czekająca na następny pociąg rodzina machała do niego i krzyczała coś ze współczuciem. A może to wcale nie było współczucie? Szedł z konduktorem wzdłuż pociągu w kierunku lokomotywy. Kolejarz gadał coś o tym, jak to przypadkiem przeoczył Nata. Zatrzymali się przy pierwszym wagonie. Konduktor zajrzał do środka i oznajmił:

– Tu może pan wsiąść.

Wspiął się po stopniach, przecisnął przez wąskie wejście i nagle znalazł się twarzą w twarz z czterema skautami w niebieskich mundurkach. Patrzyli na niego uważnie, kiedy usiłował usiąść na ławce.

– Może byś mi zrobił miejsce – powiedział w końcu do tego, który siedział najbliżej.

Chłopiec natychmiast się przesunął i Nathanowi udało się usiąść. Dotykał głową dachu wagonu i musiał się pochylić. Teraz nie wydawał się wyższy od skautów, był od nich tylko potężniejszy: bardziej niezgrabny i zabierał więcej miejsca, tak jak to przedtem powiedział konduktor. Drzwi zamknęły się i konduktor dał sygnał maszynieście.

Rozległy się jakieś dziwne dźwięki, a potem pociąg szarpnął i ruszył.

Pod nogami Nathana wibrowała podłoga. Pociągiem rytmicznie trzęsło. Zostawili za sobą peron i machających, krzyczących coś ludzi. Prawie natychmiast znaleźli się poza terenem wesołego miasteczka, między rosnącymi wśród trawy dębami.

Siedział z przodu pociągu, widział więc tył lokomotywy i rozpościerający się przed nimi teren. Patrzył na linię szyn, na trawiaste zbocza i na ciągnącą się po prawej stronie drogę. Za drogą rosły dęby, a za dębami dostrzegł jezioro. Od czasu do czasu widać było ludzi, którzy rozłożyli się tam na piknik. Patrzyli w stronę pociągu i siedzący obok skaut zaczął nawet do nich machać, lecz zaraz przestał, jakby pod wpływem nagłego impulsu. W całym wagonie nikt nic nie mówił. Stukot kół był tak rytmiczny, jakby nie miały się już nigdy zatrzymać. Pasażerowie

siedzieli w zamyśleniu, gapiąc się przez okna.

Pociąg jechał przed siebie, ciągle z tą samą prędkością.

Niezmienny odgłos kół, wibracja i bieg pociągu sprawiły, że z nóg Nata zaczęło odpływać zmęczenie. Mimo że siedział skurczony, poczuł się lepiej. Widok migających za oknami dębów usypiał. Ruch, którego nic nie mogło zatrzymać... przed sobą widział tor – dwie szyny, z których pociąg nie mógł zjechać. A i pasażerowie nie mogli zrobić nic, tylko siedzieć na swoich miejscach, zamknięci w wagonikach o dziwnym kształcie za zaryglowanymi drzwiami, ściśnięci i skurczeni w pozycjach, które przybrali, kiedy tu wsiedli. Dotykali się kolanami, a ich głowy były tak blisko siebie, że w oczy mogli popatrzeć sobie tylko ci, którzy przypadkiem siedzieli naprzeciwko siebie. Nikt jednak nie protestował. Nikt się nie skarżył, nikt nie próbował ruszyć się z miejsca.

Jak dziwnie muszę wyglądać w tym pociągu, pomyślał. Obok skautów w niebieskich mundurkach. Wielki, niezgrabny dorosły, którego nie powinno tu wcale być. Na moim miejscu zmieściłoby się kilkoro dzieci; przecież to dziecięcy pociąg z wesołego miasteczka. Czy magistrat miasta Oakland w ogóle przewidział, że się tu znajdę? Na pewno nie. To tylko pech niefartownego gościa, pomyślał. Posadzono mnie w tym wagonie, z dala od Fay i dziewczynek. Jestem tu, a one tam.

Ta myśl nie wzbudziła w nim jednak żadnych emocji. Czuł tylko ulgę, bo minęło napięcie, więcej nic.

A może tylko o to chodzi, pomyślał. Może to tylko nagromadzenie napięcia, niepokoju i lęku? Coś, co minie. Czy jazda trzęsącą się kolejką dla dzieci może mnie uspokoić i usunąć mi z drogi to, co mnie czeka? Przerazenie i poczucie nadchodzącej zguby...

Nie czuł już strachu i opuściło go przeświadczenie, że został wbrew swej woli wciągnięty w układ, który ktoś inny zaaranżował dla własnej wygody.

Z pewnością nie ma już nadziei, że się wyplączę z tej historii, pomyślał. I nie ma w tym nawet nic przerażającego. To tylko śmieszne. Żenujące. Trochę żenujące, jeśli stwierdzam teraz, że nie panuję już nad własnym życiem i że najważniejsze decyzje podjął kto inny, i to na długo przedtem, zanim zauważyłem, że coś się w ogóle zaczyna zmieniać.

Kiedy ją spotkałem, a raczej kiedy to ona spostrzegła mnie i Gwen przez okno samochodu... wtedy właśnie zapadła ta najważniejsza decyzja, jeśli w ogóle ktoś kiedyś podejmował jakąś decyzję. To ona ją podjęła, a wszystko, co się potem wydarzyło, było po prostu nieuniknione.

Pewnie będzie dobrą żoną, pomyślał. Pewnie będzie wobec mnie lojalna i pomoże mi zrealizować moje plany. Jej obsesja, by stale mieć mnie pod kontrolą, w końcu osłabnie. Jej energia nie będzie już tak przemożna. Ja zmienię ją, a ona mnie. I pewnego dnia nie zdołamy już powiedzieć, kto kogo prowadził na smyczy. I dlaczego.

Staniemy się tylko małżeństwem: parą, która mieszka ze sobą. Ja będę zarabiał na życie,

będziemy mieli dwójkę dzieci z jej pierwszego małżeństwa, potem może nawet własne. Najważniejszym pytaniem będzie: czy jesteśmy szczęśliwi? To tylko przyszłość może pokazać. I nawet Fay nie potrafi nam tego zagwarantować. W tym wypadku jest tak samo bezwolna jak ja. Potrafiła dopiąć swego, a mimo to może się okazać, że jest godna pożałowania. To ja mogę wygrać pomyślność i spokój. Żadne z nas nie może wiedzieć, jak będzie.

Kiedy pociąg dojeżdżał już do stacji, Nat spostrzegł grupę ludzi czekających w kolejce na peronie. Siedzący obok skaut zebrał się wreszcie na odwagę i pomachał im ręką. Parę osób odpowiedziało mu tym samym, a to z kolei ośmieliło pozostałych skautów.

Nat też machał.

Rozdział 20

Pieniądze, które siostra wypłaciła mi gotówką jako zadatek za moją część domu, wpłaciłem na nowo założony rachunek czekowy w Bank of America w Point Reyes Station. Potem jak najszybciej – bo czas naglił – poszedłem kupić to, co najpotrzebniejsze.

Najpierw kupiłem za dwieście dolarów konia, którego kazałem przywieźć ciężarówką i wypuścić na pastwisko za domem. Był prawie tej samej maści co koń Charleya, może nieco ciemniejszy, jednak tej samej wielkości i w dobrej kondycji fizycznej. Biegał jak dziki przez jakiś dzień, a potem się uspokoił i zaczął szczypać trawę. Od tej chwili czuł się jak u siebie w domu.

Potem wybrałem się po owce – takie z czarnymi pyskami. Z tym było więcej kłopotu. W końcu musiałem pojechać po nie do Petaluma. Kupiłem trzy samice po mniej więcej pięćdziesiąt dolarów za sztukę. Co do jagniąt, nie mogłem się najpierw zdecydować. W końcu doszedłem do wniosku, że Charley nie uznawał tamtych jagniąt za swoją własność, dałem więc sobie spokój. Znalezienie owczarka collie, takiego jak Bing, było naprawdę trudne. Musiałem pojechać autobusem do San Francisco i chodzić od hodowcy do hodowcy, zanim znalazłem podobnego psa. Jest bardzo wiele różnych odmian owczarków collie i ceny też są zróżnicowane. Ten, który był podobny do Binga, kosztował niecałe dwieście dolarów, czyli prawie tyle co koń.

Kaczki dostałem za półtora dolara za sztukę. Kupiłem je po sąsiedzku.

Chciałem, żeby wszystko było urządzone tak, jak być powinno. Uważałem za możliwe, że dwudziestego trzeciego kwietnia Charley Hume powstanie z martwych. Oczywiście całkowitej pewności być nie mogło. Przyszłość nigdy nie jest do końca przewidywalna. Niemniej jednak wydawało mi się, że moje działania zwiększą prawdopodobieństwo takiego zmartwychwstania. Biblia mówi, że kiedy nadejdzie koniec świata, zmarli powstaną z grobów na ostatni dźwięk trąby. Po tym właśnie poznamy, że nadchodzi koniec świata. To będzie ważny dowód potwierdzający prawdziwość tej teorii. Przez ten miesiąc, który spędziłem w domu Charleya, czułem, jak jego obecność staje się coraz bardziej realna, w miarę jak zbliżała się chwila zmartwychwstania.

Zwłaszcza w nocy. Ponad wszelką wątpliwość Charley miał już niebawem znaleźć się znowu wśród żywych. Jego prochy – został spalony zgodnie z życzeniem zawartym w testamencie – wysłano omyłkowo do Mayfair Market. Odebrał je stamtąd doktor Sebastian (sprzedawcy z Mayfair zadzwonili do niego z informacją o pomyłce) i zawiózł do Fay. A moja siostra wysypała je do oceanu. Jeśli więc Charley miał wrócić, to na pewno gdzieś w okolicy przylądka Reyes, a skoro wszystko w jego domu było tak samo jak przedtem: koń, pies, owce i kaczki, nie mogło być wątpliwości, że pojawi się właśnie tu.

Popołudniami, kiedy wiatr z nad przylądka był najsilniejszy, wychodziłem na patio i widziałem wirujące w powietrzu drobinki popiołu. Nawet kilku sąsiadów zauważyło, że przed zachodem w powietrzu jest wyjątkowo dużo pyłu. Pył ten powodował, że zachodzące słońce nabierało purpurowego odcienia. Niewątpliwie więc miało się zdarzyć coś wyjątkowo ważnego. Można to było wyczuć przez skórę, nawet jeśli człowiek nie był we wszystko wtajemniczony.

Z każdym dniem stawałem się coraz bardziej podenerwowany. Pod koniec miesiąca prawie nie sypiałem po nocach.

Dwudziestego trzeciego kwietnia obudziłem się, kiedy było jeszcze ciemno. Leżałem chwilę w łóżku niesamowicie zdenerwowany. O wpół do szóstej wstałem, ubrałem się i zjadłem śniadanie. Udało mi się jakoś zjeść talerz płatków Wheat Chex i talerz musu jabłkowego. Rozpaliłem ogień na kominku w living roomie, a potem zacząłem krążyć po domu. Nie wiedziałem dokładnie, w jakim pomieszczeniu Charley się pojawi, chodziłem więc od jednego do drugiego i w każdym zatrzymywałem się na piętnaście minut.

Około południa czułem jego obecność tak silnie, że odwracałem głowę, by dojrzeć go kątem oka. O drugiej jednak wszystko się załamało. Zjadłem kanapkę z serem, wypilem szklanek mleka, przez co zrobiło mi się różniej na duszy, ale uczucie, że Charley jest tu obecny, nie stało się wcale silniejsze.

Nadeszła szósta, a Charley ciągle nie zmartwychwstawał. Zacząłem się niepokoić i postanowiłem zadzwonić do pani Hambro.

– Słucham – odezwała się chrapliwym głosem.

– Mówi Jack Seville. – Zamierzałem oczywiście powiedzieć: Jack Isidore. – Chciałbym się dowiedzieć, czy zauważyła pani jakieś wyraźne oznaki.

– Medytujemy – odparła. – Myślałam, że będziesz tu z nami. Nie otrzymałeś telepatycznego przekazu?

– A kiedy został wysłany? – spytałem.

– Dwa dni temu – powiedziała. – O północy, kiedy odbiór jest najlepszy.

– Nic do mnie nie doszło – odparłem podekscytowany. – Zresztą i tak muszę tu zostać. Czekam na zmartwychwstanie Charleya Hume'a.

– Wydaje mi się jednak, że powinieneś być z nami. – W jej głosie zabrzmiał gniew. – Musi być jakiś ważny powód braku oczekiwanych rezultatów.

– Myśli pani, że to moja wina? Ze to dlatego, że nie jestem z wami?

– Jakiś powód musi być – powiedziała. – Nie rozumiem, dlaczego musisz tam tkwić i czekać na zmartwychwstanie tego akurat człowieka.

Sprzeczałyśmy się jeszcze przez chwilę, a potem oboje w niezbyt przyjaznych nastrojach odłożyliśmy słuchawki. Znowu zacząłem się kręcić po domu, tym razem zaglądając do wszystkich szaf, na wypadek gdyby Charley zmartwychwstał w miejscu, z którego sam nie

potrafiłby się wydostać.

O wpół do dwunastej zacząłem się poważnie martwić. Jeszcze raz zadzwoniłem do pani Hambro, lecz tym razem nikt nie odebrał. Kwadrans przed północą odchodziłem już od zmysłów z niepokoju. Włączyłem radio i zacząłem słuchać stacji nadającej muzykę taneczną i wiadomości. W końcu prowadzący program powiedział, że jest za minutę dwunasta i odczytał reklamę linii lotniczych United Airlines. Była północ. Charley nie zmartwychwstał. A potem nastał dwudziesty czwarty kwietnia. I świat się nie skończył.

W życiu nie byłem tak zawiedziony.

Kiedy patrzę na te wszystkie wydarzenia z perspektywy czasu, to najbardziej irytuje mnie to, że za półdarmo pozbyłem się swojej części domu. Siostra mi ją odebrała i wykorzystała mnie przy tym tak samo, jak wykorzystuje innych. A ja odkupiłem przecież konia, psa, owce i kaczki. I co mi z tego przyszło? Bardzo niewiele.

Siedziałem w wielkim fotelu w living roomie, czując, że to chyba najgorszy moment w moim życiu. Byłem tak przygnębiony, że nie mogłem nawet myśleć. W głowie miałem zupełny chaos. Wszystko, co stanowiło podstawę moich przekonań, straciło nagle sens.

Zdałem sobie sprawę, że co do jednego nie może być wątpliwości: grupa pani Hambro się myliła. Charley nie zmartwychwstał i nie nadszedł koniec świata, a ja przypomniałem sobie, co kiedyś powiedział o mnie mój szwagier – a mianowicie, że jestem łgarzem. Wszystkie wiadomości, które sobie przyswoilem, to zwykłe łgarstwa.

Siedząc w tym fotelu, zdałem też sobie sprawę, że jestem durniem.

Przyjemna świadomość. Tyle zmarnowanych lat. Wszystko stanęło mi teraz przed oczami: Morze Sargassowe, Atlantyda, latające talerze, ludzie, którzy mieszkają pod ziemią – to wszystko była tylko kupa łgarstw. A więc ten niby ironiczny tytuł mojej książki wcale nie był ironiczny. Albo może podwójnie ironiczny, to znaczy jestem co prawda łgarzem, ale sam sobie z tego nie zdaję sprawy i tak dalej... W każdym razie byłem przerażony. Cała ta paczka z Inverness Park to zwykłe czubki. A pani Hambro jest szurnięta. Może nawet bardziej niż ja.

Nie ma się co dziwić, że Charley zostawił mi tysiąc dolarów na psychoanalityka. Stałem bez wątpienia na krawędzi przepaści.

Boże, nie było nawet zwykłego trzęsienia ziemi.

No i co dalej? Mogłem tu mieszkać parę dni, a z pieniędzy od Fay i Nathana zostało mi jeszcze kilkaset dolarów. Starczyłoby, żeby wrócić nad zatokę, znaleźć jakieś przyzwoite mieszkanie i zacząć się rozglądać za pracą. Może nawet mógłbym wrócić do „Opon w Jeden Dzień” pana Poity’ego, choć on też pewnie miał już dosyć moich łgarstw.

Właściwie nie było tak źle.

Oczywiście nie należy przesadzać z oskarżaniem samego siebie. Miałem pewną teorię, której

prawdziwości nie można było sprawdzić do dwudziestego trzeciego kwietnia, w związku z czym do tego dnia nie można było też ostatecznie stwierdzić, że jestem idiotą, tylko dlatego, że w nią wierzę. Przecież mógł nastąpić koniec świata. No, ale nie nastąpił. Fay, Charley i Nat Anteil mieli jednak rację.

No, niby mieli, ale kiedy zacząłem się porządnie nad nimi zastanawiać, doszedłem do wniosku, że wcale nie są ode mnie o wiele lepsi. Chcę przez to powiedzieć, że w tym, co wygadują, też jest sporo głupstw. Na swój sposób to też wariaci, tyle tylko, że nie rzuca się to tak bardzo w oczy, jak w moim wypadku.

Weźmy taki przykład: każdy, kto popełnia samobójstwo, jest niespełna rozumu. Spójrzmy prawdzie w oczy (jak mówi Fay). Już przedtem wiedziałem, że to, iż pozabijał te bezbronne zwierzęta, świadczy, że nie miał wszystkich klepek w porządku. Nat Anteil to następny wariat – ożenił się ze wspaniałą kobietą, którą zaraz potem rzucił, aby związać się z moją siostrą... nie można tego chyba nazwać logicznym działaniem. Puścić kantem taką cudowną i delikatną dziewczynę, żeby związać się z jędzą.

Moim skromnym zdaniem, najbardziej ze wszystkich szurnięta jest moja siostra; to najgorszy przypadek, możecie mi wierzyć. Fay jest psychopatką. Ludzie to dla niej przedmioty, które można przesuwac jak pionki. Ma psychikę trzyletniego dziecka. I to ma być zdrowe?

Nie wydaje mi się więc, abym był jedyną osobą, którą można oskarżyć o to, że wierzy w oczywiste bzdury. Chodzi mi tylko o to, żeby winę rozłożyć sprawiedliwie. Przez krótki czas rozważałem możliwość opisanie tej całej historii w formie listu do redakcji i rozesłania do gazet w San Rafael. Oni muszą drukować takie rzeczy, bo to ich obowiązek wobec społeczeństwa. W końcu jednak zdecydowałem się tego nie robić. Do diabła z gazetami. Listy do redakcji i tak czytają tylko wariaci. Właściwie na tym świecie roi się od szaleńców. Można się załamać.

Kiedy już wszystko sobie przemyślałem i rozważyłem, zdecydowałem się skorzystać z szansy, którą dał mi Charley Hume w swoim testamencie, i wydać te tysiąc dolarów na psychoanalizę. Pozbierałem więc rzeczy, które miałem w domu, spakowałem je i poprosiłem sąsiada, by odwiózł mnie na przystanek greyhounda. Kilka dni przed terminem wyprowadziłem się z domu, który zbudowali Fay i Charley – to znaczy z domu Fay – i ruszyłem z powrotem nad zatokę.

W autobusie zacząłem się zastanawiać, jak by tu znaleźć najlepszego psychoanalityka. W końcu postanowiłem spisać sobie nazwiska wszystkich psychiatrów praktykujących w miastach nad zatoką i kolejno ich odwiedzać. Zacząłem sobie w myślach układać kwestionariusz, który dam im do wypełnienia: ilu mieli pacjentów, liczba wyleczeń, liczba porażek, czas trwania terapii, liczba częściowych wyleczeń i tak dalej. Na podstawie tych kwestionariuszy będę mógł sobie narysować wykres i obliczyć, jaki lekarz mógłby mi pomóc.

Doszedłem do wniosku, że powinienem przynajmniej mądrze wydać pieniądze Charleya,

zamiast przepuścić je na jakiegoś szarlatana. Biorąc pod uwagę decyzje, które podejmowałem w przeszłości, wydaje się dość oczywiste, że umiejętność oceny sytuacji nie należy do moich silnych stron.